

Kurt Vonnegut Jr.

Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater

(Przełożył: Lech Jęczmyk)

Alwinowi Davisowi, telepacie, przyjacielowi
obwiesiów

Wszystkie osoby, żywe i umarłe, są czysto
przypadkowe i nie należy niczego się
doszukiwać.

Druga wojna światowa skończyła się – i
oto stałem na Times Square w samo
południe z odznaką Purpurowego Serca na
piersi

Eliot Rosewater

Prezes Fundacji

Rosewatera

1

Jest to opowieść o ludziach, ale jej głównym bohaterem jest pewna suma
pieniędzy, tak jak pewna ilość miodu może być głównym bohaterem opowieści o
pszczołach.

Suma ta wynosiła 87 472 033 dolary i 61 centów w dniu pierwszego czerwca.
1964 roku, jeśli już musimy wybrać jakąś datę. Tego dnia zwrócił na nią swoje
łagodne oczy młody kombinator nazwiskiem Norman Mushari. Procenty od tej sumy
dawały 3 500 000 dolarów rocznie, czyli prawie 10 000 dolarów dziennie, także w
niedziele.

Suma ta stała się podstawą fundacji dobroczynno-kulturalnej w roku 1947,
kiedy Norman Mushari miał zaledwie sześć lat. Do tego czasu stanowiła ona
czternasty co do wielkości majątek rodzinny w Ameryce, majątek Rosewaterów.
Została nazwana fundacją, aby nie mogli się do nie dobrać poborcy podatkowi oraz
inni drapieżcy, nie noszący nazwiska Rosewater. Statut Fundacji Rosewatera,
który

był barokowym majstersztykiem, stanowił, iż prezesura Fundacji ma być
dziedziczna,

podobnie jak korona brytyjska. Miała do końca świata przechodzić na najbliższych
i

najstarszych wiekiem krewnych założyciela Fundacji, senatora Listera Amesa
Rosewatera z Indiany.

Potomkowie prezesa mieli zostawać członkami zarządu Fundacji z chwilą
osiągnięcia wieku dwudziestu jeden lat.

Wszyscy członkowie zarządu pełnili swoje funkcje dożywotnio, jeżeli nie zostali
przez sąd ubezwłasnowolnieni. Mieli prawo wynagradzać się za swoje wysiłki
najhojniej, jak tylko chcieli, wyłącznie jednak z dochodów Fundacji, bez
naruszania

kapitału.

* * *

Zgodnie z wymogami prawa, status zabraniał potomkom senatora mieszania
się do zarządzania kapitałem Fundacji. O kapitał troszczyła się Korporacja,
która

powstała jednocześnie z Fundacją. Nazywała się dość otwarcie Korporacją
Rosewatera. Jak prawie wszystkie korporacje, zajmowała się roztroptym
powiększaniem zysków i sporządzaniem bilansów. Jej pracownicy mieli bardzo dobre
płace, w związku z czym byli przemyślni, weseli i energiczni. Główne ich zajęcie
polegało na spekulowaniu akcjami i obligacjami innych korporacji. Poza tym

zajmowali się jeszcze zarządzaniem wytwórniami pił, kręgielnią, motelem, bankiem, browarem, rozległymi gospodarstwami rolnymi w okręgu Rosewater w stanie Indiana oraz kilkoma kopalniami węgla w północnym Kentucky.

Korporacja Rosewatera zajmowała dwa piętra pod numerem pięćsetnym na Piątej Alei w Nowym Jorku i utrzymywała małe oddziały w Londynie, Tokio, Buenos Aires oraz w okręgu Rosewater. Nikt z zarządu Fundacji Rosewatera nie miał prawa rozkazywać Korporacji, co ma robić z kapitałem. I odwrotnie, Korporacja nie miała

prawa mówić Fundacji, co ma robić z obfitymi zyskami, które Korporacja wypracowała.

* * *

Młody Norman Mushari dowiedział się o tym wszystkim, kiedy skończywszy z pierwszą lokatą wydział prawa w Cornell, zaczął pracować w waszyngtońskiej firmie

prawniczej, która powołała do życia zarówno Fundację, jak i Korporację, w firmie McAllister, Robjent, Reed i McGeen. Był on z pochodzenia Libańczykiem, synem brooklyńskiego sprzedawcy dywanów. Miał metr sześćdziesiąt wzrostu i ogromny tyłek, który, jeśli go obnażono, świecił.

Był najmłodszym, najniższym i niewątpliwie najmniej anglosaskim spośród męskich pracowników firmy. Skierowano go do pracy pod kierownictwem najbardziej sędziwego ze współwłaścicieli, Thurmonda McAllistera, uroczego siedemdziesięciosześcioletniego błązna. Nie zatrudniono by go, gdyby pozostali współwłaściciele nie uznali, że transakcjom McAllistera przydałoby się nieco

bezwzględności.

Nikt nigdy nie był z Musharim na lunchu. Pożywał się samotnie w tanich barach samoobsługowych i snuł plany opanowania Fundacji Rosewatera. Nie znał Rosewaterów osobiście. Jego namiętności rozpałił wyłącznie fakt, iż fortuna Rosewaterów była największą sumą pieniędzy należącą do jednego właściciela spośród tych, które powierzono firmie McAllister, Robjent, Reed i McGee.

Pamiętał,

co jego ulubiony profesor Leonard Leech powiedział mu kiedyś na temat robienia kariery w zawodzie prawnika. Leech uważał, że tak jak dobry lotnik powinien

zawsze rozglądać się za miejscem do lądowania, tak prawnik powinien mieć oko na

sytuację,

kiedy duże sumy pieniędzy zmieniają właściciela.
– W każdej wielkiej transakcji – mówił Leech – następuje magiczna chwila, kiedy jeden człowiek już wypuścił pieniądze z ręki, a ten drugi, który ma je

otrzymać, jeszcze ich nie przyjął. Czułny prawnik wykorzystuje ten moment, wchodząc w posiadanie skarbu na magiczny ułamek sekundy i zagarniając coś dla siebie, zanim

go przekaże dalej. Jeżeli ten, kto ma otrzymać majątek, jest nie przyzwyczajony do bogactwa, ma kompleks niższości i bliżej nie określone poczucie winy, co zdarza

się większości ludzi, wówczas prawnik może zagarnąć choćby i połowę forsy, a mimo to usłyszeć bełkotliwe podziękowania odbiorcy.

Im dłużej Mushari wertował poufne archiwa firmy dotyczące Fundacji Rosewatera, tym większe odczuwał podniecenie. Szczególnie rozpałiła jego wyobraźnię część statutu, wymagająca natychmiastowego odwołania każdego członka zarządu, który zostanie uznany za niepoczytalnego. W biurze stale szeptało o tym, że

sam pierwszy prezes Fundacji, syn senatora, Eliot Rosewater, jest pomyłony.

Wypowiedzi te miały charakter nieco żartobliwy, ale Mushari wiedział, że w sądzie to

nie jest żadnym argumentem. Koledzy Mushariego nazywali Eliota różnie:

Szaleniec,

Święty, Złotousty, Jan Chrzciciel i temu podobne.

- Za wszelką cenę - mrucał do siebie Mushari - musimy postawić tego osobnika przed sędzią.

Sądząc ze wszystkich relacji, następny w kolejności kandydat na prezesa Fundacji, kuzyn ze stanu Rhode Island, ustępował Eliotowi pod każdym względem.

Kiedy nadeszłaby magiczna chwila, Mushari byłby jego przedstawicielem.

Mushari, któremu słoń na ucho nadepnął, nie wiedział, że on też ma w biurze przezwisko. Było ono zawarte w melodii, którą pogwizdywano na jego widok.

Piosenka miała tytuł "Idzie łasica".

* * *

Eliot Rosewater został prezesem Fundacji w roku 1947. Kiedy siedemnaście lat później Mushari zaczął się nim interesować, Eliot miał czterdzieści sześć lat.

Mushari,

który wyobrażał sobie, że jest dzielnym małym Dawidem, szykującym się do powalenia Goliata, był dokładnie o połowę młodszy. I wyglądało na to, że sam Bóg pragnie zwycięstwa małego Dawida, gdyż stale przybywało poufnych dokumentów dowodzących, iż Eliot ma niewątpliwego kota.

W tajnym archiwum w skarbcu firmy znajdowała się na przykład koperta z trzema pieczęciami, która miała być w stanie nie naruszonym wręczona temu, kto przejmowałby fundację w razie śmierci Eliota.

Koperta zawierała list Eliota następującej treści:

Kochany Kuzynie lub kimkolwiek jesteś!

Gratuluje Ci wielkiego szczęścia. Baw się dobrze. Może rozszerzy Twoje horyzonty świadomość, kto pomnażał Twoje niewiarygodne bogactwo i zarządzał nim przed Tobą.

Podobnie jak wiele słynnych amerykańskich fortun, bogactwo

Rosewaterów zapoczątkował pozbawiony poczucia humoru, cierpiący na zatwardzenie protestancki kmiotek, który podczas Wojny Secesyjnej został spekulantem i łapówkarzem. Tym kmiotkiem był Noah Rosewater, mój pradziadek, urodzony w okręgu Rosewater w stanie Indiana.

Noah i jego brat George odziedziczyli po swoim ojcu-pionierze sześćset akrów ziemi uprawnej, ciemnej i tłustej jak tort czekoladowy, oraz mały tartak bliski bankructwa. Przyszła wojna.

George zebrał kompanię strzelców i odmaszerował na jej czele.

Noah wynajął wioskowego przygłupka, aby poszedł zamiast niego do wojska, tartak przystosował do produkcji szabel i bagnietów, a gospodarstwo przestawił na hodowlę świń. Abraham Lincoln oświadczył, że nie ma ceny, której nie warto by zapłacić za przywrócenie jedności, więc Noah żądał za swoje wyroby cen proporcjonalnych do rozmiarów tragedii narodowej. Dokonał też pewnego odkrycia: zastrzeżenia rządu do ceny albo jakości jego produktów można było rozproszyć za pomocą śmiesznie małych łapówek.

Noah poślubił Cleotę Herrick, najbrzydszą kobietę w stanie Indiana, ponieważ posiadała czterysta tysięcy dolarów. Dzięki tym pieniądzom rozbudował fabrykę i kupił nowe farmy, wszystkie w okręgu Rosewater. Stał się największym hodowcą świń na Północy. I aby nie dać się wyzyskiwać odbiorcom mięsa, wykupił większą część udziałów rzeźni w Indianapolis. Aby nie dać się wyzyskiwać dostawcom stali, wykupił większą część udziałów stalowni w Pittsburgu. Aby nie dać się wyzyskiwać dostawcom węgla, wykupił pakiety akcji gwarantujące kontrolę nad kilkoma kopalniami. Aby nie dać się wyzyskiwać lichwiarzom, założył bank.

Ten paranoiczny lęk przed wyzyskiem sprawił, że coraz więcej miał do czynienia z papierami wartościowymi, akcjami i obligacjami, a coraz mniej z bronią sieczną i wieprzowiną. Drobnie eksperymenty z papierami bezwartościowymi przekonały go, że papiery takie można bez większego trudu sprzedawać. Chociaż więc nadal przekupywał osobistości rządowe za przekazywanie mu własności i bogactw naturalnych narodu, to główną jego pasją stało się puszczanie w obieg rozwodnionych akcji.

Kiedy Stany Zjednoczone Ameryki, które miały być krainą powszechnej szczęśliwości, liczyły sobie niecałe sto lat, Noah Rosewater i kilku jemu podobnych wykazali szaleństwo ojców-założycieli republiki w jednym względzie: otóż ci świeżo oplakani przodkowie nie ustanowili w krainie szczęśliwości prawa ograniczającego bogactwo poszczególnych obywateli. Przeoczenie to zrodziło się ze słabości do ludzi kochających się w zbytkach oraz z przekonania, iż kontynent jest tak rozległy i bogaty, ludność zaś tak nieliczna i przedsiębiorcza, że

żaden złodziej, choćby nie wiadomo jak szybko kradł, nie potrafi nikomu naprawdę dokuczyć.

Noah i jeszcze paru takich jak on zorientowali się, że kontynent jest jednak ograniczony i że można przekonać sprzedajnych urzędników, zwłaszcza z ciał ustawodawczych, aby rozrzucali wielkie kawały kontynentu na rozgrabienie, i to w taki sposób, aby spadały tam, gdzie stoi Noah i jemu podobni.

Tak doszło do tego, że w rękach garstki zachłannych obywateli znalazło się wszystko, co w Ameryce warte było posiadania. I tak stworzono barbarzyński, idiotyczny, całkowicie niewłaściwy, niepotrzebny i pozbawiony humoru amerykański system klasowy. Uczciwych, pracowitych, spokojnych obywateli nazywano wyzyskiwaczami, kiedy domagali się, aby im płacono przyzwoite pensje. Wiedzieli oni, że wszelkie honory są odtąd zarezerwowane dla tych, którzy

znaleźli sposoby zgarniania olbrzymich pieniędzy za popełnianie zbrodni nie przewidzianych kodeksem. I tak amerykański ideał przewrócił się brzuchem do góry, zzieleniał, wypłynął na brudną powierzchnię nieograniczonej chciwości, napełnił się gazem i pękł z hukiem w samo południe.

E pluribus unum – trudno było znaleźć bardziej ironiczną dewizę na banknoty tej zbankrutowanej utopii, w której garstka groteskowo bogatych Amerykanów cieszy się bogactwem, przywilejami i luksusami, jakich odmówiono większości. W świetle historii tworzonej przez Noahów Rosewaterów znacznie bardziej pouczająca byłaby dewiza: "Zagarniaj więcej, niż ci potrzeba, bo

inaczej nie dostaniesz nic". I Noah zrodził Samuela, który poślubił Geraldinę Ames Rockefeller. Samuel jeszcze bardziej niż jego ojciec zajmował się polityką, służył

niezmordowanie Partii Republikańskiej jako "twórca królów", sprawiając, iż partia obsadzała stanowiska ludźmi, którzy tańczyli jak marionetki, trajkotali płynnie po babilońsku i rozkazywali policji strzelać do tłumów, ilekroć zachodziła

obawa, że jakiś biedny człowiek może napomknąć, iż on i Rosewater są równi wobec prawa.

I Samuel kupił gazety i kaznodziejów także. Kazał im głosić prostą prawdę: Każdy, kto myśli, że Stany Zjednoczone Ameryki mają być rajem dla wszystkich, jest świńskim, leniwym, cholernym głupcem. I oni robili to dobrze. Samuel głosił wszem i wobec, że żaden robotnik fabryczny w Ameryce nie jest wart więcej niż osiemdziesiąt centów dziennie. A jednocześnie potrafił się cieszyć, że okazjnie kupił za sto tysięcy dolarów albo za więcej obraz jakiegoś Włocha, który od trzystu lat był nieboszczykiem. Dla przypieczętowania tej zniewagi rozdawał te

obrazy muzeom, aby zapewnić pokarm duchowy ubogim. Muzea były nieczynne w niedziele.

I Samuel zrodził Listera Amesa Rosewatera, który poślubił Eunice Morgan. Jest coś, co można powiedzieć na korzyść Listera i Eunice: w przeciwieństwie do Noaha i Cleoty oraz Samuela i Geraldiny, umieli śmiać się naprawdę szczerze. Jako ciekawostkę można podać, że Eunice zdobyła szachowe mistrzostwo Stanów Zjednoczonych w konkurencji pań w roku 1927 i powtórnie w 1933.

Napisała również powieść historyczną o kobiecie-gładiatorce pod tytułem "Ramba z Macedonu", która była bestsellerem w roku 1936. Eunice zginęła w roku 1937 w wypadku na morzu w Cotuit w stanie Massachusetts. Była mądrą i pogodną kobietą, szczerze przejmującą się losem biedaków. Była moją matką. Jej mąż Lister nigdy nie prowadził interesów. Od chwili, gdy przyszedł na świat, do czasu, kiedy piszę te słowa, pozostawił obracanie swoimi pieniędzmi prawnikom i bankom. Spędził prawie całe swoje życie od pełnoletności w Kongresie Stanów Zjednoczonych, gdzie prawił o moralności, początkowo jako reprezentant regionu, którego sercem jest okręg Rosewater, a następnie jako senator z Indiany. Twierdzenie, iż jest lub kiedykolwiek był kimś w skali stanu, byłoby wierutnym politycznym łgarstwem. I Lister zrodził Eliota.

Lister zastanawiał się nad skutkami i implikacjami swojej odziedziczonej fortuny nie częściej, niż większość ludzi zastanawia się nad dużym palcem lewej nogi. Bogactwo nigdy go nie cieszyło, nie martwiło i nie pociągało. Przekazując dziewięćdziesiąt pięć procent swoich pieniędzy Fundacji, którą Ty obecnie przejmujesz, nawet nie mrugnął okiem.

I Eliot poślubił Sylwię Duvrais Zetterling, paryską piękność, która go potem znienawidziła. Jej matka była opiekunką malarzy. Jej ojciec był największym współczesnym wiolonczelistą. Jej dziadkowie ze strony matki nazywali się Rothschild i Dupont.

I Eliot został pijakiem, utopijnym marzycielem, prorokiem dla ubogich i zagubionym głupcem.

I nie zrodził nikogo.

Bon voyage, drogi Kuzynie czy kimkolwiek jesteś. Bądź hojny. Bądź dobry.

Możesz spokojnie machnąć ręką na naukę i sztukę: one jeszcze nigdy nikomu nie pomogły. Bądź szczerym i troskliwym przyjacielem ubogich.

List był podpisany:

Ś.P. Eliot Rosewater.

Z sercem walącym jak dzwon alarmowy Norman Mushari wynajął duży sejf i umieścił w nim list. Pierwszy niezbity dowód rzeczowy miał niedługo pozostać w samotności.

Mushari wrócił do swego pokoiku i zastanowił się nad faktem, że Sylwia rozwodzi się z Eliotem, stary Mc Allister zaś reprezentuje pozwanego. Mieszkała w

Paryżu i Mushari napisał do niej, sugerując, iż w przyjacielskich, kulturalnych rozwodach przyjęte jest zwracać sobie listy. Poprosił, aby przysłała mu wszystkie listy

od Eliota, jakie zachowała.

Odwrotną pocztą otrzymał pięćdziesiąt trzy takie listy.

2

Eliot Rosewater urodził się w roku 1918 w Waszyngtonie. Podobnie jak jego ojciec, który utrzymywał, że jest reprezentantem stanu Indiana, Eliot był wychowywany, kształcony i zabawiany na Wschodnim Wybrzeżu i w Europie. Rodzina odwiedzała tak zwany "dom" w okręgu Rosewater raz do roku na krótko, tyle

tylko, aby podtrzymać kłamstwo, że to jest dom rodzinny.

Eliot uczył się nieszczęśliwie najpierw w Loomis, a potem na Uniwersytecie Harvarda. Został doskonałym żeglarzem dzięki latom w Cotuit i na Cape Cod oraz miernym narciarzem dzięki zimowym feriom w Szwajcarii.

Przerwał studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Harvarda ósmego grudnia 1941 roku i zgłosił się ochotniczo do piechoty w Armii Stanów Zjednoczonych. Wyróżnił się w wielu bitwach. Awansował do stopnia kapitana, dowodził kompanią. Pod koniec wojny w Europie ujawniło się u niego coś, co określono jako przemęczenie

frontowe. Umieszczono go w paryskim szpitalu, gdzie oczarował i zdobył Sylwię.

Po wojnie Eliot wrócił ze swoją urzekającą żoną na uczelnię i ukończył prawo.

Specjalizował się w prawie międzynarodowym, marząc o tym, że przyda się na coś w ONZ. Uzyskał doktorat w tej dziedzinie i jednocześnie przekazano mu prezesurę Fundacji Rosewatera. Zgodnie ze statutem, jego obowiązki mogły być tak ulotne lub

tak poważne, jak sam je sobie określi.

Eliot postanowił potraktować Fundację poważnie. Kupił nowy dom w Nowym Jorku z fontanną w hallu. Wstawił do garażu bentleya i jaguara. Wynajął lokal biurowy w Empire State Building. Kazał go pomalować na kolor cytrynowy, brązowopomarańczowy i ostrygowobiały. Oświadczył, iż tu będzie ośrodek wszystkich

tych pięknych, dobrych i uczonych rzeczy, których miał nadzieję dokonać.

Pił dużo, ale nikt się tym nie przejmował, gdyż żadna ilość alkoholu nie zwałała go z nóg.

* * *

W latach od 1947 do 1953 Fundacja Rosewatera wydatkowała czternaście milionów dolarów. Donacje Eliota obejmowały pełny wachlarz filantropijnych możliwości: od kliniki świadomego macierzyństwa w Detroit do El Greca dla muzeum w Tampa na Florydzie. Dolary Rosewatera zwalczały raka i choroby umysłowe, przesady rasowe, brutalność policji i niezliczone inne plagi, zachęcały profesorów do

poszukiwania prawdy i kupowały piękno bez względu na cenę.

Ironia chciała, że jeden z tematów naukowych finansowanych przez Eliota dotyczył alkoholizmu w San Diego. Kiedy przedłożono mu sprawozdanie, był tak pijany, że nie mógł go odczytać. Sylwia musiała przyjść do biura, aby go odprowadzić

do domu. Przynajmniej sto osób widziało, jak usiłowała przeprowadzić go przez chodnik do czekającej taksówki, podczas gdy Eliot deklamował wierszyk, który układał przez całe przedpołudnie:

Wiele, wiele dobrych rzeczy kupiłem!

Wiele, wiele złych rzeczy zwalczyłem!

* * *

Eliot, skruszony, nie pił przez dwa dni po tym incydencie, a potem zniknął na tydzień. Między innymi wdarł się na zjazd pisarzy fantastycznonaukowych w Milford,

w stanie Pensylwania. Norman Mushari dowiedział się o tym epizodzie z raportu prywatnego detektywa, znajdującego się w archiwach firmy McAllister, Robjent, Reed

i McGee. Stary McAllister wynajął detektywa do śledzenia kroków Eliota, aby wiedzieć, czy nie robi on czegoś, co mogłoby później sprawić Fundacji kłopoty prawne.

Raport cytował słowo w słowo przemówienie Eliota do pisarzy. Całe spotkanie włącznie z monologiem pijanego Eliota zostało nagrane na taśmę.

“Kocham was, wy sucze syny – powiedział Eliot w Milford. – I was teraz tylko czytam. Tylko wy mówicie o tych naprawdę straszliwych zmianach, jakie zachodzą w

świecie, tylko wy jesteście na tyle szaleni, by wiedzieć, że życie jest podróżą kosmiczną, i to wcale nie krótką, ale taką, która trwać będzie miliardy lat.

Tylko wy macie dość odwagi, aby naprawdę troszczyć się o przyszłość, tylko wy naprawdę zauważacie, co robią z nami maszyny, co robią z nami wojny, co robią z nami miasta, co robią z nami wielkie i proste idee, co robią z nami kolosalne nieporozumienia, błędy, wypadki i katastrofy. Tylko wy jesteście na tyle głupi, aby zadręczać się czasem i przestrzenią bez końca, tajemnicami, które nigdy nie zostaną rozwiązane, a także tym, że właśnie teraz decydujemy, czy miliardletnia podróż kosmiczna zaprowadzi nas do nieba czy do piekła".

* * *

Eliot przyznał później, że autorzy fantastycznonaukowi znają się na pisaniu jak kura na pieprzu, ale oświadczył, że jest to bez znaczenia. Powiedział, że i tak są poetami, gdyż wykazują większą wrażliwość na ważne przemiany niż wszyscy ci, którzy piszą lepiej od nich.

- Do diabła z utalentowanymi miniwypierdkami, którzy subtelnie opisują jeden mały fragment czyjegoś jednego życia, podczas gdy gra idzie o całe galaktyki, eony i tryliony jeszcze nie narodzonych dusz.

* * *

- Chciałbym, aby był tutaj Kilgore Trout - powiedział Eliot - abym mógł uściskać jego dłoń i powiedzieć mu, że jest największym współczesnym pisarzem. Dowiedziałem się przed chwilą, że nie przyjechał, ponieważ nie mógł sobie pozwolić

na opuszczenie pracy! I jakąż to pracę dało to społeczeństwo największemu ze swoich

proroków? - Eliotowi słowa uwięzły w gardle i przez chwilę nie mógł się zmusić do

wypowiedzenia, czym się trudni Trout. - Zrobiono z niego magazyniera w ośrodku realizacji premiowych bonów handlowych w Hyannis!

Była to prawda. Trout, autor osiemdziesięciu siedmiu pocket-booków, był człowiekiem bardzo biednym i zupełnie nieznanym poza gronem miłośników fantastyki. Miał sześćdziesiąt sześć lat, kiedy Eliot mówił o nim tak ciepło.

- Za dziesięć tysięcy lat - prorokował Eliot w pijackiej wienie - nazwiska naszych generałów i prezydentów pójdą w niepamięć i jedynym bohaterem naszych czasów, który nie zostanie zapomniany, będzie autor "2BRO2B". Był to tytuł książki

Trouta, tytuł, który po zbadaniu okazał się słynnym To be or not to be Hamleta.

* * *

Mushari pilnie wyruszył na poszukiwanie egzemplarza książki, aby go włączyć do akt Eliota. Żaden szanujący się księgarz nie słyszał nawet nazwiska Trouta.

Mushari po raz ostatni spróbował szczęścia w norze handlarza pornografią. Tam, wśród najgorszych świństw, znalazł potargane egzemplarze wszystkich co do jednej książek Trouta. Za "2BRO2B", która powinna kosztować dwadzieścia pięć centów, zapłacił pięć dolarów, czyli tyle samo co za "Kamasutrę" Witsayany.

Mushari, przeglądając "Kamasutrę", zakazany do niedawna wschodni podręcznik sztuki i techniki miłości, znalazł następujący ustęp:

Jeżeli mężczyzna przygotowuje rodzaj galaretki z soku owoców cassia fistula oraz eugenie jambolina, zmieszanego z proszkiem ziół soma, veronia

anthelminica, eclipta prostata i lohopa-juihirka, a następnie posmaruje tą miksturą yoni kobiety, z którą ma odbyć stosunek, to natychmiast przestanie ją kochać.

Mushari nie widział w tym nic śmiesznego. Mushari do tego stopnia przejął się wypranym z wszelkiego poczucia humoru duchem prawa, że nic go już nie śmieszyło. Był także na tyle głupi, by sobie wyobrazić, że książki Trouta muszą być niezwykle świńskie, skoro sprzedaje się je za tak wysoką cenę takim podejrzanym osobnikom i w takim miejscu. Nie rozumiał, że to, co łączy Trouta z pornografią, to nie jest seks, tylko nieosiągalne marzenie o świecie, w którym wszystkie pragnienia zostaną zrealizowane.

* * *

Tak więc Mushari czuł się oszukany, gdy przedzierając się przez jarmarczną literaturę, zamiast seksu znajdował automatyzację. Ulubionym chwytem Trouta było opisywanie absolutnie odrażającego społeczeństwa, nie różniącego się zbytnio od tego, w jakim żył sam, po to, by potem, pod koniec, zasugerować sposoby jego poprawy. W "2BRO2B" przedstawił hipotetyczną Amerykę, w której prawie całą pracę wykonywały maszyny i aby znaleźć jakiegokolwiek zajęcie, należało mieć co najmniej trzy doktoraty. Występował też poważny problem przeludnienia.

Opanowano wszystkie poważniejsze choroby, a co za tym idzie, śmierć była dobrowolna i rząd, aby zachęcić ochotników, pobudował Salony Etycznego Samobójstwa o fioletowych dachach na każdym większym skrzyżowaniu, tuż obok lokali Howarda Johnsona, które miały dachy koloru pomarańczowego. Salony oferowały piękne hostessy, superwygodne fotele, przyciszoną muzykę i czternaście rodzajów bezbolesnej śmierci. Salony samobójcze cieszyły się powodzeniem, ponieważ bardzo wielu ludzi czuło się głupio i bezużytecznie i ponieważ samobójstwo

uważano za dowód postawy społecznej i patriotycznej. Samobójcy otrzymywali też za

darmo ostatni posiłek u Howarda Johnsona.

I tak dalej. Trout miał wspaniałą wyobraźnię.

Jeden z bohaterów książki pyta hostessę śmierci, czy pójdzie do nieba, a ona mu odpowiada, że oczywiście tak. Wtedy on pyta, czy zobaczy Boga, a ona odpowiada:

- Oczywiście, kochanie.

A on na to:

- Mam nadzieję. Bo chcę Go spytać o coś, na co nie znalazłem odpowiedzi tutaj.

- Co to za pytanie? - zainteresowała się hostessa, przywiązując go do fotela.

- Po co, u licha, są ludzie?

* * *

Eliot powiedział w Milford pisarzom, że przydałaby się im lepsza znajomość spraw seksu, ekonomii i stylu, ale możliwe, iż ludzie zajmujący się naprawdę wielkimi

sprawami nie mają czasu na takie drobiazgi.

Przyszło mu też do głowy, że nigdy nie napisano naprawdę dobrej powieści fantastycznonaukowej o pieniądzech.

- Pomyślcie tylko o dziwacznych drogach, jakimi krążą pieniądze na Ziemi! - powiedział. - Nie trzeba lecieć na planetę Tralfamadorię w antymaterialnej galaktyce

508G, aby znaleźć niesamowite istoty wyposażone w nieprawdopodobne moce.

Spójrzcie na potęgę ziemskiego milionera! Spójrzcie na mnie. Urodziłem się goły tak

samo jak wy, ale, na Boga, przyjaciele i bliźni moi, mogę wydawać tysiące dolarów dziennie!

Przerwał i dla zademonstrowania swoich nieprzeciętnych zdolności magicznych nabazgrał czek na dwieście dolarów dla każdego z obecnych na sali. – Oto macie fantazję – powiedział – która stanie się rzeczywistością, kiedy jutro pójdziecie do banku. To szaleństwo, że mogę zrobić coś takiego, choć pieniądze są tak ważne. – Stracił na moment równowagę, odzyskał ją i omal nie zasnął na stojąco. Z największym trudem otworzył oczy. – Wam to zostawiam, przyjaciele i bliźni moi, a zwłaszcza nieśmiertelnemu Kilgore'owi Troutowi: zastanówcie się nad głupotą obecnego systemu pieniężnego i wymyślcie coś lepszego.

* * *

Eliot chwiejnym krokiem opuścił Milford i autostopem dojechał do Swarthmore w Pensylwanii. Tam wszedł do małego baru i ogłosił, że stawia każdemu, kto okaże odznakę ochotniczej straży pożarnej. Wlał się na płaczliwie i twierdził, iż głęboko go wzrusza pomysł stworzenia zamieszkanego planety z atmosferą, która bardzo chętnie łączy się w sposób gwałtowny prawie ze wszystkim, co drogie jej mieszkańcom. Miał na myśli Ziemię i tlen. – Kiedy się nad tym zastanowić, chłopcy – mówił złamanym głosem – to jest to rzecz, która najbardziej nas łączy, poza może grawitacją. My – nieliczni, wybrani szczęśliwcy -jesteśmy braćmi związanymi wielką sprawą ochrony naszego pożywienia, domów, odzieży i naszych bliskich przed łączeniem się z tlenem. Powiadam wam, chłopcy, że należałem do ochotniczej straży pożarnej i należałbym do niej i dzisiaj, gdyby coś tak ludzkiego, tak humanitarnego, istniało w Nowym Jorku. To była lipa z tym, że Eliot był strażakiem. Jeżeli miał z tym coś wspólnego, to tylko w dzieciństwie podczas corocznych wizyt w Rosewater, w rodzinnym gnieździe. Zausznicy spośród władz miejskich, aby się przypochlebić Rosewaterom, zrobili z Eliota maskotkę oddziału ochotniczej straży pożarnej. Nigdy nie gasił pożaru. – Powiadam wam, chłopcy – kontynuował – że jeżeli pewnego dnia wylądują tu rosyjskie barki desantowe, i nie będzie sposobu, żeby je zatrzymać, to wszystkie te nadęte bubki, które dzięki lizusostwu obsadziły wszystkie lepsze stołki w tym kraju, wyjdą powitać zwycięzców z wódką i kawiozem, zgłaszając się do każdej roboty, jaką im Rosjanie dadzą. A wiecie, kto pójdzie do lasu z kordelasami i strzelbami, kto będzie walczyć choćby i sto lat, na Boga? Ludzie z ochotniczych straży pożarnych. Eliota zamknięto w Swarthmore pod zarzutem pijaństwa i naruszenia porządku publicznego. Kiedy się rano ocknął, policja zatelefonowała do jego żony. Przeprosił ją i chyłkiem wrócił do domu.

* * *

Ale za miesiąc znów go poniosło i jednego dnia pił ze strażakiem w Clover Lick w Wirginii Zachodniej, a następnego w Nowym Egipcie w stanie New Jersey. W czasie

tej-wyprawy zamienił się z kimś na ubrania i przehandlował swój garnitur za czterysta dolarów na dwurzędówkę z tenisu model 1939 z ramionami jak Gibraltar, klapami jak skrzydła Archanioła Gabriela i zaszytymi kantami na spodniach.

- Chyba oszalałeś - mówił mu strażak z Nowego Egiptu.

- Nie chcę być podobny do siebie - odpowiedział Eliot. - Chcę być podobny do was. Na Boga, wy jesteście solą Ziemi. Wy, ludzie w takich ubraniach, jesteście tym, co zdrowe w Ameryce. Wy jesteście sercem amerykańskiej piechoty.

Stopniowo Eliot pozamieniał całą swoją garderobę z wyjątkiem fraka, smokingu i jednego garnituru z szarej flaneli. Jego olbrzymia szafa zmieniła się w przygnębiające muzeum dresów, kombinezonów, kurtek polowych, kurtek a la Eisenhower, podkoszulków i tak dalej. Gdy Sylwia chciała to spalić, Eliot powiedział jej:

- Spal lepiej mój frak, mój smoking i mój szary flanelowy garnitur.

* * *

Eliot był już wtedy człowiekiem wyraźnie chorym, ale nikt nie wypychał go na leczenie i nikt jeszcze nie był urzeczony zyskami, jakie można osiągnąć, udowadniając jego niepoczytalność. Mały Norman Mushari miał w owych niespokojnych czasach dopiero dwanaście lat, sklejał plastikowe modele samolotów, onanizował się oraz wyklejał swój pokój zdjęciami senatora Joego McCarthy'ego i Roya Cohna. Eliot Rosewater jeszcze dla niego nie istniał.

Sylwia, wychowana wśród bogatych i czarujących dziwaków, zbyt była Europejką, aby go zamknąć, senator zaś pochłonięty był najważniejszą rozgrywką polityczną swojego życia, skupiając republikańskie siły reakcji zdezorientowane wyborem Dwighta Dawida Eisenhowera. Kiedy mu donoszono o dziwnym trybie życia syna, oświadczał, że nie ma powodów do obaw, gdyż chłopiec otrzymał dobre wychowanie.

- Ma nerw, ma kręgosłup - mówił senator. - Eksperymentuje sobie, ale ustatkuje się natychmiast, gdy tylko poczuje, że do tego dojrzał. W naszej rodzinie nigdy nie było i nigdy nie będzie chronicznych alkoholików ani chronicznych wariatów.

Po tych słowach udał się do Senatu, aby wygłosić swoje dość słynne przemówienie o złotym wieku Rzymu, w którym powiedział między innymi: Chciałbym powiedzieć o imperatorze Oktawianie, znanym później jako Cezar August. Ten wielki humanista, gdyż był on humanistą w najgłębszym tego słowa znaczeniu, przejął władzę nad Imperium Rzymskim w okresie degeneracji, zadziwiająco przypominającym nasze czasy. Nierząd, rozwody, alkoholizm, liberalizm, homoseksualizm, pornografia, sztuczne poronienia, sprzedajność, morderstwa, zorganizowany szantaż, przestępczość nieletnich, tchórzostwo, bezbożnictwo, zdzierstwo, potwarze i złodziejstwo były niezwykle modne. Ówczesny Rzym, podobnie jak dzisiejsza Ameryka, był rajem dla gangsterów, zbrodniarzy i leniwych robotników. I podobnie jak w Ameryce, siły porządku i prawa były otwarcie atakowane przez tłumy, dzieci od mawiały posłuszeństwa, nie okazując żadnego szacunku dla rodziców i ojczyzny, a uczciwa kobieta nie mogła bezpiecznie wyjść na ulicę nawet w biały dzień! I wszędzie panoszyli się chytry, przewrotni, szafujący łapówkami cudzoziemcy, uczciwi farmerzy zaś, ostoja rzymskiej armii, dusza i serce Rzymu, siedzieli w kieszeni wielkomięskich

bankierów.

Co można było zrobić? Głupkowaci liberałowie, jakich i teraz nie brak, mówili to, co zawsze mówią liberałowie, kiedy doprowadzą wielki naród do stanu bezprawia, rozpasania i wynarodowienia: "Sprawy nigdy nie wyglądały lepiej! Spójrzcie, ile swobody! Spójrzcie, jaka równość! Spójrzcie, jak znikła hipokryzja seksualna! Ludzie byli jak sparaliżowani, kiedy myśleli o gwałcie lub nierzędzie.

Teraz mogą robić jedno i drugie z radością!"

A co mieli do powiedzenia w tych szczęśliwych czasach ci okropni, niegodziwi, ponurzy konserwatyści? Po pierwsze, niewielu z nich pozostało.

Wymierali, wyśmiewani, ze starości. Ich dzieci zwróciły się przeciwko nim, podszczuwane przez liberałów, przez dostawców syntetycznego słońca i sztucznego księżyca, przez demagogicznych politycznych striptizerów, przez ludzi, którzy kochali wszystkich łącznie z barbarzyńcami, przez ludzi, którzy tak

bardzo kochali barbarzyńców, że chcieli otworzyć wszystkie bramy, rozbroić wszystkich żołnierzy i wpuścić barbarzyńców do miasta!

Taki był Rzym, do którego wrócił Cezar August po zwycięstwie nad tą parą maniaków seksualnych, Antoniuszem i Kleopatram, w wielkiej bitwie morskiej pod Akcjum. I nie sądzicie, że muszę odtwarzać to, co myślał, patrząc na Rzym, którym miał rządzić. Niech każdy z nas zastanowi się przez chwilę w milczeniu, co by zrobił z dzisiejszymi naszymi problemami.

Zapanowała rzeczywiście chwila ciszy, może trzydzieści sekund, które niejednemu wydały się wiekiem.

I jakież metody zastosował Cezar August, aby przywrócić porządek w tym domu rozpusty? Zrobił to, czego – jak nam tak często powtarzają – nie powinniśmy pod żadnym pozorem robić, co – jak nam mówią – nigdy nie da wyników: uczynił moralność prawem i wymusił te rzekomo nierealne prawa przy pomocy policji okrutnej i pozbawionej poczucia humoru. Rzymianin, który zachowywał się jak bydło, naruszał prawo. Słyszycie? Naruszał prawo! I Rzymianie złapani na tym, że zachowują się jak bydła, byli wieszani za kciuki, wrzucani do studni i do lwich klatek oraz poddawani innym eksperymentom, które miały ich przekonać, że powinni się poprawić. Czy to coś pomogło? Oczywiście, że pomogło! Bydła cudem gdzieś znikły! I jak nazywamy okres, który nastąpił po tych czasach niewyobrażalnego ucisku?

Ni mniej, ni więcej, przyjaciele i bliźni, tylko Złotym Wiekiem Rzymu.

* * *

Czy proponuję, abyśmy skorzystali z tego krwawego przykładu?

Oczywiście. Nie ma dnia, żebym nie mówił w ten czy inny sposób: "Zmusimy Amerykanów, aby byli tak dobrzy, jak być powinni". Czy jestem za tym, żeby rzucić kombinatorów ze związków zawodowych na pożarcie lwom? No więc, aby dać odczuć dreszcz rozkoszy tym, którym sprawia przyjemność wyobrażanie sobie, że jestem pokryty przedpotopową łuską, powiadam: "Tak. Absolutnie. Dziś po południu, jeżeli to tylko możliwe". Aby rozczarować moich krytyków, dodam, że żartowałem. Nie bawi mnie bynajmniej wizja okrutnych i niezwykłych represji. Fascynuje mnie natomiast fakt, że marchewka przed nosem i bat z tyłu wprawiają osła w ruch i że to odkrycie epoki kosmicznej może mieć pewne zastosowanie w świecie istot ludzkich.

I tak dalej. Senator powiedział, że marchew i bat zostały wbudowane w system wolnej konkurencji stworzony przez Ojców Założycieli, ale filantropi, którzy przyzwyczaili ludzi, że o nic nie trzeba walczyć, zniekształcili logikę systemu nie do poznania.

Reasumując – powiedział – widzę przed nami dwie możliwości. Możemy moralność uczynić prawem i egzekwować tę moralność brutalnie albo możemy wrócić do prawdziwego systemu wolnej konkurencji, który ma wbudowaną sprawiedliwość Cezara Augusta typu "toń albo pływaj". Jestem zdecydowanie za tą drugą możliwością. Musimy być twardzi, gdyż musimy znowu stać się krajem pływaków, w którym problem nie umiejących pływać zostaje rozwiązany automatycznie. Mówiłem o innych ciężkich czasach, w historii starożytnej. W razie gdybyście zapomnieli ich nazwę, odświeżę waszą pamięć: Złoty Wiek Rzymu, przyjaciele i bliźni moi, Złoty Wiek Rzymu.

Co do przyjaciół, którzy mogliby pomóc Eliotowi w ciężkich dla niego chwilach, to ich nie miał. Bogatych przyjaciół wypłoszył, mówiąc im, że wszystko,

co posiadają, zawdzięczają ślepemu przypadkowi. Przyjaciół artystów poinformował, że jedyni ludzie, zwracający jakąkolwiek uwagę na ich dzieła, to bogate dupki, których nie stać na bardziej atletyczne wyczyny. Swoich przyjaciół humanistów spytał: "Kto ma czas czytać te wszystkie wasze nudne wypociny i słuchać waszego nudnego głędzenia?". Przyjaciół uczonych odstraszył, dziękując im wylewnie za osiągnięcia naukowe, o których czytał ostatnio w gazetach i czasopiśmie, i zapewniając ich z kamienną twarzą, że dzięki pracy uczonych życie staje się coraz lepsze.

* * *

Potem Eliot poddał się psychoanalizie. Wyrzekł się alkoholu, zaczął znowu dbać o swój wygląd, przejawiał entuzjazm dla sztuki i nauki, odzyskał wielu przyjaciół.

Sylwia była szczęśliwa jak nigdy. I wtedy, rok po rozpoczęciu kuracji, zdumiał ją telefon od psychoanalityka. Rezygnował z dalszego prowadzenia przypadku, ponieważ, według jego niepodważalnej wiedeńskiej opinii, Eliot był nieuleczalny.

- Ależ pan go wyleczył!

- Gdybym był konowałem z Los Angeles, szanowna pani, przyznałbym pani rację, nie mrugnawszy okiem. Ja jednak nie jestem żadnym guru. Pani mąż cierpi na

najlepiej blokowaną nerwicę, jaką kiedykolwiek usiłowałem leczyć. Nie mam najmniejszego pojęcia, co jest podłożem tej nerwicy. Pracując przez okrągły rok, nie

zdołałem zadrasnąć nawet jej zewnętrznej skorupy.

- Ale przecież zawsze wraca od pana w tak dobrym nastroju!

- Czy wie pani, o czym rozmawiamy?

- Myślałam, że lepiej nie pytać.

- O historii Ameryki! Oto mamy ciężko chorego człowieka, który między innymi zabił swoją matkę, który ma za ojca potwornego tyrana, i o czym on mówi, kiedy mu proponuję, aby pozwolił umysłowi swobodnie błędzić? O historii Ameryki.

Twierdzenie, że Eliot zabił swoją ukochaną matkę, było brutalne, ale prawdziwe. W wieku lat dziewiętnastu zabrał matkę na przejażdżkę żaglówką po zatoce Cotuit. Kiedy robił zwrot przez sztag, rozpedzony bom wyrzucił matkę za burtę.

Eunice Morgan Rosewater poszła na dno jak kamień.

- Pytam go, co mu się śni - kontynuował doktor - a on mi mówi, że Samuel Gompers, Mark Twain i Aleksander Hamilton. Pytam go, czy widuje w snach swego ojca, a on mówi, że nie, ale że często śni mu się Thorsten Veblen. Pani

Rosewater,

jestem bezsilny. Rezygnuję.

* * *

Eliot wydawał się raczej rozbawiony utratą lekarza.

- To jest wyleczenie, którego on nie rozumie, i dlatego nie chce przyznać, że

zostałem wyleczony – powiedział lekkim tonem.

Tego wieczoru poszli oboje do Metropolitan na premierę nowego przedstawienia "Aidy". Fundacja Rosewatera ufundowała kostiumy. Eliot wyglądał nienagannie: wysoki, we fraku, z rumieńcem na dużej, przyjaznej twarzy i z błękitnymi oczyma lśniącymi higieną umyslową.

Wszystko szło doskonale do ostatniej sceny, kiedy to para bohaterów zostaje umieszczona w hermetycznej komorze, gdzie ma się udusić. Jak tylko nieszczęsna para nabrała powietrza w płuca, Eliot zawołał:

– Wytrzymacie znacznie dłużej, jeżeli nie będziecie śpiewać! – Eliot wstał, wychylił się daleko z łoża i zwrócił się do śpiewaków: – Może nie znacie się na tlenie

tak jak ja. Wierzcie mi, nie powinniście śpiewać.

Twarz Eliota pobladła i straciła wyraz. Sylwia pociągnęła go za rękaw. Spojrzał na nią nieprzytomnie, a potem pozwolił jej się wprowadzić tak łatwo, jak dziecinny

balonik.

3

Norman Mushari dowiedział się, że w noc premiery "Aidy" Eliot zniknął znowu, wyskoczywszy z wiozącej go do domu taksówki na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Piątej Alei.

Dziesięć dni później Sylwia otrzymała od niego list pisany na papierze ochotniczej straży pożarnej z Elsinore w Kalifornii. Nazwa miejscowości nasunęła mu

cały ciąg skojarzeń i doszedł do przekonania, iż wiele go łączy z Szekspirowskim Hamletem.

Kochana Ofelio!

Elsinore nieco mnie rozczarowało, a może jest więcej niż jedno Elsinore i trafiłem nie do tego, co trzeba. Drużyna futbolowa miejscowej szkoły nazywa się Bojowi Duńczycy, ale w okolicznych miasteczkach przezywają ich "żałosnymi Duńczykami". W ostatnich trzech latach jeden mecz wygrali, jeden zremisowali i przegrali dwadzieścia cztery. Oto, co się dzieje, jak sędzę, kiedy Hamlet gra na obronie.

Ostatnią rzeczą, którą mi powiedziałaś, zanim wysiadłem z taksówki, było, że może powinniśmy się rozwieść. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest ci aż tak ciężko. Wiem, że zawsze z opóźnieniem zdaję sobie sprawę z sytuacji. Wciąż jeszcze nie dociera do mnie na przykład fakt, iż jestem alkoholikiem, choć nawet obcy ludzie widzą to na pierwszy rzut oka.

Możliwe, iż pochlebiam sobie, uważając, że mam coś wspólnego z Hamletem, że mam do spełnienia ważną misję i że przeżywam chwilowe trudności, nie wiedząc, od czego zacząć. Hamlet miał jedną wielką przewagę nade mną. Duch ojca powiedział mu jasno, co ma robić, podczas gdy ja działałem bez żadnych wskazówek. Mimo to jakiś głos stara się mi powiedzieć, gdzie mam iść, co mam tam robić i dlaczego. Nie martw się, nie słyszę głosów. Ale mam uczucie, że moje przeznaczenie jest dalekie od tej płytkiej i niedorzecznej egzystencji, jaką

prowadzimy w Nowym Jorku. Więc wędruję. Więc wędruję.

Młody Mushari był rozczarowany, dowiedziawszy się, że Eliot nie słyszy głosów. Jednak list kończył się zdecydowanie szaleńczą nutą. Eliot opisywał wyposażenie przeciwpożarowe z Elsinore, jakby Sylwia była ciekawa podobnych szczegółów.

Malują tu swoje samochody strażackie w pomarańczowe i czarne pasy, jak tygrysy. Robi wrażenie! Dodają do wody detergentów, żeby lepiej wsiąkała w okładziny ścienne. Niewątpliwie dobry pomysł, pod warunkiem, że nie niszczy to pomp i węży. Nie stosują tego na tyle długo, by można wiedzieć na pewno.

Powiedziałem im, że powinni napisać o swoim pomysle do producenta pomp, i obiecali mi, że tak zrobią. Biorą mnie za bardzo ważnego ochotniczego strażaka ze

wschodu. Wspaniali ludzie. Zupełnie inni niż te wypierdki i baletmistrzowie, którzy stukają do drzwi Fundacji Rosewatera. Są jak ci Amerykanie, których znałem na wojnie.

Ofelio, bądź cierpliwa.

Twój Hamlet

Z Elsinore Eliot udał się do Vashti w Teksasie, gdzie wkrótce został aresztowany. Zawędrował do tamtejszej remizy strażackiej, zakurzony i nie ogolony, i

natychmiast zaczął klarować grupce przypadkowych gapiów, że rząd powinien dzielić

bogactwo kraju po równo, zamiast tego, aby jedni mieli więcej, niż mogą wydać, a inni

nie mieli nic.

Dalej plótł między innymi takie rzeczy, jak: "Wiecie, myślę, że głównym celem armii, marynarki i piechoty morskiej jest przyodzianie biednych Amerykanów w czy-

ste, odprasowane i całe ubrania, żeby bogaci Amerykanie mogli znieść ich widok".

Wspomniał też o rewolucji. Wyraził pogląd, że może ona wybuchnąć za jakieś dwa-dzieścia lat i że będzie to dobra rewolucja, pod warunkiem, iż na jej czele staną ludzie

z piechoty i ochotniczych straży pożarnych.

Wtrącono go do aresztu jako podejrzanego osobnika. Wypuszczono po serii niezrozumiałych pytań i odpowiedzi. Kazano mu złożyć obietnicę, że nigdy więcej nie

pokaże się w Vashti.

Tydzień później wypłynął w Nowym Wiedniu w stanie Iowa. Napisał stamtąd nowy list do Sylwii, na papierze miejscowej straży pożarnej. Nazwał Sylwię "najcierpliwszą kobietą świata" i oświadczył, że jej długie oczekiwanie zbliża się do końca.

Teraz już wiem – pisał – dokąd mam iść. Spieszę tam czym prędzej!

Zatelefonuję, jak tylko tam dotrę! Może zostanę tam na zawsze. Nie mam jeszcze jasności, co będę robił, kiedy się tam znajdę, ale jestem pewien, że to też się wyjaśni. Łuski spadają mi z oczu!

Nawiasem mówiąc, powiedziałem tutejszej straży pożarnej, że mogą spróbować dodawać detergenty do wody, ale przedtem powinni się porozumieć z producentem pomp. Pomysł im się spodobał. Mają to omówić na najbliższym zebraniu. Od szesnastu godzin nie miałem w ustach alkoholu i wcale mnie nie ciągnie do tej trucizny! Hurra!

Otrzymawszy ten list, Sylwia natychmiast kazała podłączyć do swojego telefonu magnetofon – kolejny punkt dla Normana Mushari. Sylwia zrobiła to, ponieważ pomyślała, że Eliot już nieodwołalnie postradał zmysły. Chciała, kiedy zadzwoni, zanotować każdą, najmniejszą choćby, wskazówkę co do miejsca jego pobytu, aby móc

go odnaleźć.

Zadzwonił telefon.

- Ofelia?

- O, Eliot, Eliot, gdzie jesteś, kochanie?

- W Ameryce, wśród rachitycznych synów i wnuków pionierów.

- Ale gdzie? Gdzie?

- Absolutnie wszystko jedno gdzie: w budce telefonicznej z aluminium i szkła

w małym, brudnym amerykańskim wszystko-jedno-gdzie, z amerykańskimi piątakami, dziesiątkami i dwudziestkami piątkami rozsypanymi na małej szarej półeczce przede mną. Ktoś wypisał długopisem wiadomość na tej małej szarej półeczce.

- Co to za wiadomość?

- "Sheila Taylor to fajna dupa". Jestem pewien, że to prawda.

Po stronie Eliota rozległo się aroganckie biip.

- Posłuchaj! - powiedział Eliot. - To ważniak. Autobus Greyhounnda zadał w klakson na przystanku, który jest również sklepikiem ze słodyczami. O! Jakis stary

Amerikanin reaguje na sygnał i wychodzi niepewnym krokiem. Nikt go nie żegna, nie

rozgląda się po ulicy za nikim, kto by mu życzył szczęśliwej drogi. Niesie paczkę owi-

niętą w szary papier i związaną sznurkiem. Jedzie dokąds, zapewne, aby tam umrzeć.

Rozstaje się z jedynym miasteczkiem, jakie zna, z jedynym życiem, jakie zna. Ale nie

myśli o tym, że żegna się ze swoim światem. Wszystkie jego myśli zajęte są tym, aby

nie urazić potężnego kierowcy autobusu, który spogląda na niego wyniośle z wysokości swego granatowego skórzanego tronu. Ooo! Pech! Stary Amerykanin wczułgał się do autobusu w niezłej formie, ale nie może znaleźć biletu. Znajduje go

wreszcie, lecz za późno, za późno. Kierowca kipi gniewem. Zatrzaskuje drzwi, rusza z

wściekłym zgrzytem biegów, trąbi na starą Amerykanke przechodzącą ulicą, szczęka szybami. Nienawiść, nienawiść, nienawiść.

- Eliot, czy jest tam rzeka?

- Moja budka telefoniczna stoi w szerokiej dolinie otwartego kanału ściekowego o nazwie Ohio. Sama Ohio płynie trzydzieści mil stąd na południe. Na odchodach synów i wnuków pionierów tuczą się karpie wielkości atomowych okrętów podwodnych. Po drugiej stronie rzeki ciągną się zielone ongiś wzgórza Kentucky, ziemia obiecana Daniela Boone'a, teraz zryta i pobrużdżona kopalniami odkrywkwowymi, z których niejedna jest własnością dobroczynno-kulturalnej Fundacji

założonej przez interesującą starą rodzinę amerykańską o nazwisku Rosewater.

Na tamtym brzegu rzeki posiadłości Fundacji Rosewatera są cokolwiek rozproszone. Po tej stronie jednak w promieniu piętnastu mil od mojej budki prawie

wszystko jest własnością Fundacji. Fundacja pozostawiła jedynie kwitnący interes rosówkowy. Na każdym domu można zobaczyć napis "Sprzedaż rosówek".

Kluczowym przemysłem tutaj, poza hodowlą świń i rosówek, jest produkcja pił.

Wytwórnia pił należy oczywiście do Fundacji. Ponieważ piły mają tu takie znaczenie,

sportowcy ze szkoły imienia Noaha Rosewatera znani są jako Bojowi Pilarze.

Prawdziwych pilarzy zostało niewielu. Fabryka pił jest obecnie prawie całkowicie zautomatyzowana. Każdy, kto potrafi uruchomić automat do gry, może obsługiwać fabrykę i produkować dwanaście tysięcy pił dziennie.

Młody człowiek, osiemnastoletni na oko Bojowy Pilarz, przechadza się beztrósko koło mojej budki telefonicznej, ubrany w swoje święte białobłękitne barwy.

Wygląda groźnie, ale nie skrzywdziłby nawet muchy. W szkole najlepszy jest z dwóch

przedmiotów: wychowania obywatelskiego i zagadnień współczesnej amerykańskiej demokracji, których wykładowca jest jednocześnie trenerem koszykówki. Rozumie on, że każdy przejaw gwałtu z jego strony nie tylko działa na szkodę republiki, lecz także może zrujnować jego życie. Nie ma dla niego pracy w Rosewater. W ogóle jest dla niego diablo mało pracy. Często nosi po kieszeniach środki antykoncepcyjne, co u wielu ludzi budzi gniew i odrazę. Ci sami ludzie czują gniew i odrazę na myśl, że ojciec tego chłopca nie skorzystał ze środków antykoncepcyjnych. Jeden z tych dzieciaków zepsutych przez powojenny dobrobyt, jeszcze jedno książątko z rozlatanymi oczami.

Wita się teraz ze swoją dziewczyną, która ma niewiele więcej niż czternaście lat

–
Kleopatra dla ubogich, cztery litery.

Po drugiej stronie ulicy mieści się straż pożarna: cztery wozy, trzech pijaczków, szesnaście psów i jeden radosny, trzeźwy młodzieniec z puszką pasty do polerowania karoserii.

– Eliot, wracaj do domu, wracaj do domu.

– Nie rozumiesz, Sylwio? Ja jestem w domu. Wiem teraz, że tu zawsze był mój dom: miasto Rosewater, okręg Rosewater, stan Indiana.

* * *

– I co tam masz zamiar robić?

– Mam zamiar troszczyć się o tych ludzi.

– To... to bardzo ładnie z twojej strony – powiedziała Sylwia bezbarwnym głosem. Była bladą, delikatną kobietą, wytworną i subtelną. Grała na harfie, władała

uroczo sześcioma językami. Jako dziecko i młoda panienka poznała w domu rodziców wielu najwybitniejszych ludzi swoich czasów: Picassa, Schweitzera, Hemingwaya, Toscaniniego, Churchilla i de Gaulle'a. Nigdy natomiast nie widziała okręgu Rosewater, nie miała pojęcia, co to są rosówki, i nie podejrzewała, że krajobraz może

być aż tak śmiertelnie płaski, a ludzie tak śmiertelnie nudni.

– Patrzą na tych ludzi, na tych Amerykanów – kontynuował Eliot – i uświadamiam sobie, że oni nie potrafią już troszczyć się o siebie, gdyż nie są nikomu

potrzebni. Fabryka, farmy, kopalnie po drugiej stronie rzeki są teraz prawie całkowicie zautomatyzowane. I Ameryka nie potrzebuje tych ludzi nawet na wojnę, teraz już nie. Sylwio, zostaję artystą.

– Artystą?

– Będę kochać tych niepotrzebnych Amerykanów, nie bacząc na to, że są beużyteczni i nieładni. To właśnie będzie moim dziełem sztuki.

4

Okręg Rosewater – płótno, które Eliot chciał zapełnić barwami miłości i zrozumienia – stanowił prostokąt, na którym inni ludzie, przeważnie inni Rosewaterowicze, wykonali już pewne śmiałe szkice. Poprzednicy Eliota byli prekursorami Mondriana. Połowa dróg przebiegała z zachodu na wschód, a druga połowa z południa na północ. Dokładnie przez środek przecinał okręg, urywając się

równy z jego granicami, zarośnięty kanał długości czternastu mil. Był to jedyny

realny element, jaki pradziadek Eliota pozostawił z całkowicie księżycowego projektu kanału, który miał połączyć Chicago, Indianapolis, Rosewater i Ohio. Teraz w kanale żyły głowacze, okonie, wzdreği i karpie. To właśnie ludziom zainteresowanym łapaniem tych ryb sprzedawano rosówki. Przodkowie wielu spośród sprzedawców rosówek zakupili akcje rosewaterowskiego przedsiębiorstwa budowy kanału. Kiedy projekt zakończył się generalną klapą, część z nich straciła swoje farmy, które wykupił od nich Noah Rosewater. Nowa Ambrozja, utopijna gmina w południowo-zachodniej części okręgu, zainwestowała cały swój majątek w budowę kanału i wszystko straciła. Jej mieszkańcy byli Niemcami, komunistami i ateistami praktykującymi małżeństwa zbiorowe, absolutną prawdomówność, absolutną czystość i absolutną miłość. Teraz rozproszyli się po świecie, jak bezwartościowe papiery reprezentujące udział w kanale. Nikt nie opłakiwał ich odejścia. Jedyłą spuścizną po nich na terenie okręgu, która przetrwała do czasów Eliota, był browar, produkujący rosewaterowskie jasne pod nazwą Złota Ambrozja. Na etykietce kaźdej puszki piwa był obrazek rajy na Ziemi, jaki chcieli stworzyć nowoambrozjanie. Miasto ich marzeń miało wysokie wieżyce. Na wieżycach były piorunochrony, a niebo wypełniały cherubiny.

* * *

Miasto Rosewater leżało w samym środku okręgu. W samym środku miasta wznosił się Partenon z uczciwej czerwonej cegły, z kolumnami i wszystkimi, co trzeba. Dach miał z zielonej miedzi. Przed Partenonem przebiegał kanał, a w czasach ożywienia gospodarczego także trzy linie kolejowe. Gdy zamieszkali tu Eliot i Sylwia, pozostał już tylko kanał i szyny linii Monon, ale Monon zbankrutowała i szyny pokryła rdza. Na zachód od Partenonu stała stara wytwórnia pił Rosewatera, także z czerwonej cegły i także z zielonym dachem. Dach miał przetrącony grzbiet, w oknach budynku nie było szyb. Stał się on Nową Ambrozją dla jaskółek dymówek i nietoperzy. Cztery zegary na wieżach nie miały wskazówek. Wielki mosiężny bucsek był zakneblowany gniazdami. Na wschód od Partenonu stał budynek sądu okręgowego, również z czerwonej cegły, również z zielonym dachem. Miał identyczną wieżę jak stara wytwórnia pił. Trzy z jej czterech zegarów zachowały wskazówki, ale nie chodziły. Niczym dziura w szyjce martwego zęba, w suterenie publicznego gmachu zdołał się jakimś cudem umiejscowić prywatny interes. Świadczył o tym czerwony neonowy szyldzik z napisem "Bella. Kącik piękności". Bella ważyła sto czterdzieści dwa kilo. Na wschód od budynku sądu rozciągał się Park Pamięci Weteranów Wojennych imienia Samuela Rosewatera. Stał w nim maszt flagowy i tablica honorowa: pomalowany na czarno kawał dykty o rozmiarach cztery stopy na osiem, zawieszony na rurze pod daszkiem o szerokości zaledwie dwóch cali. Wymieniono tam nazwiska wszystkich mieszkańców okręgu, którzy oddali życie za ojczyznę.

Jedynymi poza tym murowanymi budynkami były: pałacyk Rosewaterów z powozownią, wzniesiony na sztucznym podwyższeniu we wschodniej części parku i otoczony żelaznymi spiczastymi sztachetami, oraz gimnazjum imienia Noaha Rosewatera, z którego pochodziła drużyna Bojowych Pilarzy, mieszczące się na południowym krańcu parku. Na północ od parku stała dawna Opera Rosewaterów, przerażająco łatwopalna konstrukcja w kształcie weselnego tortu, przekształcona na siedzibę straży pożarnej. Cała reszta to były sracze, budy, alkoholizm, ciemnota, kretynstwo i zwyrodnienie, gdyż wszystko, co zdrowe, przedsiębiorcze i inteligentne, uciekało stąd czym prędzej.

Nowa Wytwórnia Pił Rosewatera, cała z żółtej cegły i bez okien, została zbudowana wśród pól kukurydzy w połowie drogi między Rosewater a Nową Ambrozją. Obsługiwała ją lśniąca nowa bocznica linii New York Central oraz szybka dwujezdniowa autostrada mijająca stolicę okręgu w odległości jedenastu mil. W pobliżu wytwórni mieścił się Motel Rosewatera i Kręgielnia Rosewatera oraz wielkie elewatory zbożowe i zagrody dla bydła, skąd wysyłano w świat produkty Gospodarstw Rolnych Rosewatera. Garstka dobrze opłaconych agronomów, mechaników, piwowarów, księgowych i administratorów, którzy robili wszystko, co trzeba, mieszkała w obronnym kręgu wystawnych domków na innym polu kukurydzianym w pobliżu Nowej Ambrozji, w osiedlu nazwanym, nie wiadomo dlaczego, Avondale. Wszystkie domki miały oświetlone gazem wewnętrzne podwóreczka obramowane podkładami kolejowymi ze zlikwidowanej linii Nickel Plate.

* * *

Eliot zajmował wobec czystych mieszkańców Avondale pozycję monarchy konstytucyjnego. Byli zatrudnieni w Korporacji Rosewatera i administrowane przez nich nieruchomości były własnością Fundacji Rosewatera. Eliot nie miał prawa im rozkazywać, ale był niewątpliwie królem, i Avondale zdawało sobie z tego sprawę. Tak więc, kiedy król Eliot i królowa Sylwia zjechali do swego pałacyku w Rosewater, z Avondale posypały się hołdy: zaproszenia, wizyty, pochlebne listy i telefony. Wszystkie zostały odepchnięte. Eliot wymagał od Sylwii, aby przyjmowała każdego dobrze sytuowanego gościa z wyrazem powierzchownej, roztargnionej serdeczności. Wszystkie damy z Avondale opuszczały pałacyk sztywno, jakby – jak zauważył z uciechą Eliot – ktoś wetknął im korniszona w zadek.

* * *

Ciekawe, że rozpierani ambicjami towarzyskimi technokracy w Avondale potrafili strawić teorię, iż Rosewaterowie traktują ich z góry, ponieważ uważają się za coś lepszego. Teoria ta sprawiła im nawet satysfakcję i stale powracali do niej w rozmowach. Byli żądni lekcji autentycznego arystokratycznego snobizmu i wyglądało na to, że Eliot z Sylwią takiej lekcji im udzielają. Ale później król i królowa wydobyli rodzinne kryształy, srebra i złoto z zatęchłych skarbców Narodowego Banku w Rosewater i zaczęli wydawać wystawne bankiety dla kretynów, zбочeńców, głodomorów i bezrobotnych. Niezmordowanie wysłuchiwali żalonych skarg i marzeń ludzi, którzy, według opinii ogółu, najlepiej by zrobili, gdyby umarli; obdarzali ich miłością i

niewielkimi sumami pieniędzy. Jedyne ich spotkania towarzyskie nie przebiegające pod znakiem litości wiązały się z miejscową ochotniczą strażą pożarną. Eliot szybko awansował do stopnia porucznika, Sylwię zaś wybrano na prezesa kobiecej służby pomocniczej. Mimo iż nigdy w życiu nie grała w kręgle, wybrano ją również na kapitaną pomocniczej drużyny kręglarskiej. W Avondale lepkie uwielbienie dla monarchii przerodziło się w nieprawdopodobną pogardę, a następnie dziką nienawiść. Zbydlęcenie, pijaństwo, cudzołóstwo i zarozumiałstwo gwałtownie się nasiliły. Głosy avondalczyków przybierały ton pił tarczowych tnących galwanizowaną blachę, gdy dyskutowali na temat króla i królowej, jakby tyrania została już obalona. Avondale przestało być osiedlem robiących karierę przedstawicieli kadry kierowniczej. Zaludniali je teraz energiczni członkowie prawdziwej klasy rządzącej. Pięć lat później Sylwia wpadła w rozstrój nerwowy i spaliła budynek straży pożarnej. Republikańskie Avondale było tak sadystycznie nastawione do rojalistycznych Rosewaterów, że powitało to śmiechem.

* * *

Sylwia została umieszczona w prywatnej klinice psychiatrycznej w Indianapolis, dokąd ją odwieźli Eliot i Charley Warmergran, komendant straży pożarnej. Zawieźli ją samochodem komendanta – starym czerwonym fordem z syreną na dachu. Oddali ją pod opiekę doktora Eda Browna, młodego psychiatry, który później zyskał sławę, opisawszy jej przypadek. W swojej pracy nazwał Eliota i Sylwię “panem i panią Z”, miasto Rosewater zaś – “Miasteczkiem”. Ukuł nowy termin na określenie choroby Sylwii, “samarytografia”, który, jak to wyjaśnił, oznaczał “histeryczne zobojętnienie na nieszczęścia ludzi, którym się w życiu nie powiodło”.

* * *

Norman Mushari czytał teraz elaborat doktora Browna, znajdujący się również wśród poufnych dokumentów McAllistera, Robjenta, Reeda i McGee. Jego wilgotne, łagodne brązowe oczy sprawiały, iż widział stronice – tak jak widział cały świat – niczym przez ćwiartkę oliwy. Samarytografia – czytał – jest słumieniem wybijającego sumienia przez resztę umysłu. “Wszyscy musicie wykonywać moje rozkazy!” – krzyczy jakby sumienie do pozostałych procesów psychicznych. Inne procesy próbują przez jakiś czas słuchać, przekonują się, że sumienie jest nienasycone, że nadal krzyczy, i przekonują się również, iż wielkoduszne postęпки, jakich domagało się sumienie, nie poprawiły świata ani na jotę. Wtedy podnoszą bunt. Wtrącają tyrana-sumienie do ciemnicy i zabijają na głucho pokrywą lochu. Teraz już nie słyszą głosu sumienia. W błogiej ciszy procesy psychiczne rozglądają się za nowym przywódcą, a gdy sumienie milczy, przywódcą, który natychmiast wysuwa się na czoło, jest Oświecony Egoizm. Oświecony Egoizm daje im sztandar, który budzi ich zachwyt od pierwszego wejrzenia. Jest to w zasadzie czarno-biały piracki Wesoły Roger, na którym pod czaszką i skrzyżowanymi piszczelami widnieją słowa: “Do diabła z tobą, kolego, ja mam siebie!”.

Wydało mi się nierozsądne – napisał doktor Brown, Norman Mushari zaś czytał z płonącymi uszami – wypuszczać krzykliwe sumienie pani Z z powrotem na wolność. Z drugiej strony niewiele satysfakcji dałoby mi zwolnienie jej z

kliniki, podczas gdy serca dla ludzi miała tyle, co Ilse Koch. Postawiłem zatem za cel kuracji utrzymać sumienie pani Z pod kluczem, ale uchylić pokrywę lochu na tyle, aby dobiegały stamtąd jęki więźnia. Metodą prób i błędów, przy zastosowaniu chemioterapii i wstrząsów elektrycznych, udało mi się ten cel osiągnąć. Nie czułem dumy, gdyż udało mi się uspokoić bogatą naturę za cenę jej zubożenia. Przegrodziłem podziemne rzeki, łączące ją z Atlantykiem, Pacyfikiem i Oceanem Indyjskim, i sprawiłem, iż zadowalała ją rola baseniku o średnicy trzech stóp, z czterema celami chlorowanej i zabarwionej na niebiesko wody.

Ładny mi lekarz!

Ładna mi kuracja!

* * *

I ładne wzorce, które doktor musiał wybrać, aby określić, na ile litości i wyrzutów sumienia może pozwolić pani Z bez szkody dla zdrowia. Za wzorce służyły osoby z reputacją normalnych. Nasz terapeuta, zbadawszy pojęcie normalności dla swego czasu i miejsca, głęboko wstrząśnięty, musiał uznać, że normalna osoba, sprawnie funkcjonująca na wyższych szczeblach zamożnego, uprzemysłowionego społeczeństwa, właściwie nie słyszy głosu swego sumienia w ogóle.

Człowiek logiczny mógłby wobec tego dojść do wniosku, że plotłem bzdury, odkrywając nową chorobę – samarytrofię – podczas gdy wśród zdrowych Amerykanów jest ona czymś równie pospolitym jak, powiedzmy, nosy. Moja obrona wygląda następująco: samarytrofia jest chorobą, i to ciężką, ale tylko wówczas, gdy atakuje te wyjątkowo rzadkie osobniki, które osiągnęły dojrzałość biologiczną, zachowując miłość i chęć pomocy bliźnim.

Miałem w praktyce tylko jeden taki przypadek. Nigdy nie słyszałem, aby ktoś leczył drugi podobny. Rozglądając się wokół, widzę jedną jeszcze osobę, której może zagrażać atak samarytrofii. Tą osobą jest pan Z. Jego współczucie jest

tak potężne, że gdyby on zapadł na samarytrofię, to przeczuwam, że mógłby zabić siebie albo setki innych ludzi i trzeba by go zastrzelić jak wściekłego psa, zanim

moglibyśmy przystąpić do leczenia.

* * *

Leczyć leczyć, leczyć.

Ładne mi leczenie!

Pani Z, wyleczona po kuracji w naszym emporium zdrowia, wyraziła pragnienie, aby "...rozerwać się trochę dla odmiany, poużywać życia, zanim przeminie jej uroda...". Jej uroda nadal była oszałamiająca i zdobił ją wyraz bezgranicznej dobroci, który już nie miał pokrycia w rzeczywistości.

Nie chciała więcej słyszeć o Miasteczku ani o panu Z, oświadczyła, iż śpieszy rzucić się w wir uciech Paryża i spotkać się tam ze starymi, wesołymi przyjaciółmi. Chce kupować nowe suknie, powiedziała, i tańczyć, tańczyć do upadłego w ramionach wysokiego bruneta, cudzoziemca, najlepiej podwójnego agenta wywiadu.

Często nazywała męża "mój brudny, zapijaczony wujaszek z Południa", choć nigdy nie robiła tego w jego obecności. Nie była schizofreniczką, ale ilekroć

mąż ją odwiedzał, a robił to trzy razy tygodniowo, demonstrowała cały chorobliwy spryt paranoi. Te kaprysy gwiazdy! Szczypała go w policzek, wypraszała od niego pocałunki, przed którymi potem z chichotem uciekała. Mówiła mu, że chce jechać do Paryża na krótko, by zobaczyć swoją ukochaną rodzinę, i że będzie z powrotem, zanim on się obejrzy. Prosiła, aby pożegnał od niej i przekazał pozdrowienia wszystkim jej drogim, upośledzonym znajomym w Miasteczku.

Pan Z nie dał się zwieść. Odprowadził ją na lotnisko w Indianapolis, a

kiedy samolot był już małym punkcikiem na niebie, powiedział do mnie, że już jej nigdy nie ujrzy.

– Niewątpliwie wyglądała na zadowoloną – rzekł. – Niewątpliwie będzie się dobrze bawić, kiedy znajdzie się tam w towarzystwie, na jakie zasługuje. Dwukrotnie użył słowa "niewątpliwie". Zgrzytało mu w zębach. Czułem przez skórę, że zgrzytnie mi nim jeszcze raz. I rzeczywiście.

– Niewątpliwie dużo w tym pańskiej zasługi – powiedział.

* * *

Wiem od rodziców tej kobiety, którzy, rzecz jasna, nie pałają zbyt dużą sympatią do pana Z, iż pisze on i telefonuje do żony często. Ona nie otwiera jego

listów. Nie podchodzi też do telefonu. I z zadowoleniem stwierdzają, iż tak, jak oczekiwał pan Z, pani Z jest szczęśliwa.

Prognoza: Następny kryzys na horyzoncie.

* * *

Co zaś do pana Z, to niewątpliwie on również jest chory, gdyż niewątpliwie jest inny niż wszyscy znani mi ludzie. Nie opuszcza Miasteczka, poza krótkimi wyprawami do Indianapolis i nigdzie dalej. Podejrzewam, że nie może opuścić Miasteczka. Dlaczego?

Aby wyrazić się całkowicie nienaukowo, a słowo "nauka" przyprawia o mdłości lekarza, który miał do czynienia z takim przypadkiem, powiem: tu jest jego Przeznaczenie.

* * *

Prognoza dobrego doktora sprawdziła się. Sylwia została popularną i wpływową osobistością międzynarodowego high life'u i opanowała liczne warianty twista. Nazywano ją księżną Rosewater. Wielu mężczyzn prosiło ją o rękę, ale była

zbyt szczęśliwa, aby myśleć o małżeństwie czy o rozwodzie. A potem przyszło nowe załamanie w lipcu 1964 roku.

Leczono ją w Szwajcarii. Została zwolniona sześć miesięcy później, cicha i smutna, znowu prawie nie do zniesienia bogata duchowo. Eliot i biedacy z Rosewater

znowu mieli dostęp do jej sumienia. Pragnęła do nich wrócić, nie dlatego, że tęskniła,

ale z poczucia obowiązku. Lekarz ostrzegł ją jednak, iż powrót może grozić śmiercią.

Powiedział, aby pozostała w Europie, rozwiodła się z Eliotem i ułożyła sobie własne,

spokojne, sensowne życie.

Tak więc wszczęto postępowanie rozwodowe, reżyserowane przez McAllistera, Robjenta, Reeda i McGee.

* * *

Nadszedł czas, aby Sylwia poleciała do Ameryki na rozwód. W czerwcowy wieczór odbyło się spotkanie w Waszyngtonie, w mieszkaniu ojca Eliota, senatora Listera Amesa Rosewatera. Eliota nie było. Nie chciał opuszczać granic okręgu Rosewater. Obecni byli senator, Sylwia, sędziwy prawnik, Thurmond McAllister, i jego czujny młody pomocnik, Mushari.

* * *

Na spotkaniu panował nastrój szczerości, sentymentalizmu, tolerancji, momentami niepowstrzymanej wesołości i ciężącego nad wszystkimi tragizmu. Pito koniak.

– W głębi serca – mówił senator, gestykulując kieliszkiem – Eliot nie kocha tych okropnych ludzi bardziej niż ja. Nie mógłby ich kochać, gdyby przez cały czas nie

był pijany. Mówiłem to i powtórzę jeszcze raz: istotą problemu jest alkohol.

Gdyby

Eliotowi odciąć dopływ alkoholu, jego współczucie dla tego robactwa rojącego się

w

szlamie na dnie ludzkiego kubła z odpadkami ulotniłoby się natychmiast.

Senator klasnął w dłonie i potrząsnął swoją starą głową.

– Gdyby tylko było dziecko! – Był wychowankiem college'u św. Pawła i

Uniwersytetu Harvarda, ale sprawiało mu przyjemność mówienie z przypominającym

głos pękniętego bandzo, nosowym akcentem hodowców świń z okręgu Rosewater.

Gwałtownym ruchem zdjął okulary w stalowej oprawce i popatrzył na synową cier-

piącymi błękitnymi oczami. – Gdyby! Gdyby! – Z powrotem włożył okulary i z

rezygnacją rozłożył ręce. Dłonie miał upstrzone plamami, jak żółwie błotne. –

Zbliża

się kres rodziny Rosewaterów.

– Są jeszcze drudzy Rosewaterowie – przypomniał uprzejmie McAllister.

Mushari drgnął, gdyż miał zamiar już niedługo reprezentować tych drugich

Rosewaterów.

– Mówię o prawdziwych Rosewaterach! – zawołał senator z gniewem. – Do

diabła z Pisquontuit! – W nadmorskiej miejscowości Pisquontuit w Rhode Island

mieszkała druga gałąź rodziny Rosewaterów. – Uczta sępów, uczta sępów – wyjęczał

senator, skrecając się w masochistycznej wizji Rosewaterów z Rhode Island,

rozdziobujących szczątki Rosewaterów z Indiany. Zaniósł się suchym kaszlem, co

wprawilo go w zakłopotanie. Palil papierosa za papierosem, podobnie jak jego

syn.

Podszedł do kominka i przyjrzał się kolorowej fotografii Eliota. Zdjęcie

zrobione pod koniec drugiej wojny światowej przedstawiało obwieszzonego medalami

kapitana piechoty.

– Taki czysty, wysoki, zdecydowany... taki czysty, taki czysty! – Senator

zgrzytnął swoim ceramicznym uzębieniem. – O, jak szlachetny duch zwichnięty

został! – Podrapał się, choć go nie swędziało. – A jaki blady i nalany jest

dzisiaj. Cere

ma jak placek rabarbarowy! Sypia w bieliźnie i stosuje zrównoważoną dietę

złożoną z

frytek, lodów i rosewaterowskiego jasnego Złota Ambrozja. – Wyciągnął drżącą

dłoń

w stronę fotografii. – I to kto? On! Kapitan Eliot Rosewater, kawaler Srebrnej

Gwiazdy, Brązowej Gwiazdy, Medalu Żołnierskiego i Purpurowego Serca z wieńcem!

Mistrz żeglarski! Mistrz narciarski! On! On! Mój Boże, tyle razy życie mówiło

mu:

“Tak, tak, tak!”. Miliony dolarów, setki wybitnych przyjaciół, najpiękniejsza,

najinteligentniejsza, najzdolniejsza, najczulsza żona, jaką można sobie

wyobrazić!

Wspaniałe wykształcenie, wytworny umysł w dużym, zdrowym ciele, i jaka jest jego

odpowiedź, kiedy życie mówi mu tylko: “Tak, tak, tak”? “Nie, nie, nie”.

Dlaczego? Czy

ktos może mi powiedzieć, dlaczego?

Nikt nie odpowiedział.

* * *

– Miałem kiedyś kuzynkę, Rockefellerównę, nawiasem mówiąc – mówił

senator – która wyznała mi, że między piętnastym a siedemnastym rokiem życia

jedynym jej zajęciem było mówienie: “Dziękuję, nie”. Jest to może bardzo

odpowiednie dla panienki w tym wieku i o takiej pozycji towarzyskiej, ale byłoby

to

cholernie nieciekawe w przypadku męskiego potomka Rockefellerów, a jeszcze

bardziej nie na miejscu, jeżeli można tak powiedzieć, u męskiego potomka Rosewaterów.

Wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, mamy teraz Rosewatera, który powiada “nie” wszystkim dobrym rzeczom, jakie mu życie oferuje. Nie chce nawet mieszkać w pałacyku. –

Eliot

przeprowadził się z pałacyku do biura, kiedy stało się jasne, że Sylwia nigdy już do

niego nie wróci. – Mógłby zostać gubernatorem Indiany, gdyby tylko kiwnął palcem, a

za cenę kilku kropel potu może nawet prezydentem Stanów Zjednoczonych. A kim on jest? Pytam was, kim on jest? Pytam was, kim on jest?

Senator znowu zakasłał, po czym sam odpowiedział na swoje pytanie:

– Notariuszem, przyjaciele i bracia moi, notariuszem, którego licencja wkrótce wygasa.

* * *

Było to bliskie prawdy. Jedynym urzędowym dokumentem, wiszącym na pokrytej zaciekami ścianie działowej w ruchliwym biurze Eliota, był jego dyplom notariusza. Bardzo wielu ludzi, którzy przychodzili do niego ze swoimi kłopotami,

potrzebowało, oprócz mnóstwa innych rzeczy, także kogoś, kto potwierdziłby ich podpisy.

Biuro Eliota mieściło się przy ulicy Głównej, o jedną przecznicę na północny wschód od ceglanego Partenonu, naprzeciwko nowej remizy strażackiej, zbudowanej przez Fundację Rosewatera. Było to długie poddasze nad barem i sklepem alkoholowym z dwoma oknami w pochyłym dachu. Przed jednym oknem widniał napis: OBIADY. Przed drugim był napis: PIWO. Oba szyldy były zelektryfikowane i wyposażone w migacze. W tym samym czasie, gdy ojciec Eliota biadał w Waszyngtonie nad jego losem, Eliot spał jak niemowlę, a napisy zapalały się i gasły.

Eliot wydał wargi w łuk Kupidyna, zamruczał coś słodko, przewrócił się na drugi bok i zachrapał. Był sportowcem, który się roztył, wielkim mężczyzną, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto pięć kilogramów, bladym, łysiejącym ze wszystkich stron wokół kosmyka włosów pośrodku czaszki. Spowity był w słoniowe zmarszczki długich żołnierskich kalesonów. Na każdym z okien, a także na drzwiach wejściowych

z ulicy, wypisane były złotymi literami słowa:

FUNDACJA ROSEWATERA.

CO MOŻEMY DLA CIEBIE ZROBIĆ?

5

Eliot spał sobie słodko, mimo iż miał całe fury kłopotów.

Wyglądało na to, że wszystkie złe sny wziął na siebie ustęp w cuchnącej małej toalecie przy biurze, który wzdychał, łkał, bulgotał, że tonie. Na rezerwuarze piętrzyły

się konserwy, formularze podatkowe i numery “National Geographics”. W umywalce mokły w zimnej wodzie talerz i łyżka. Apteczka nad umywalką była otwarta na oścież.

Zapełniały ją witaminy, proszki od bólu głowy, maść na hemoroidy, środki przeczyszczające i uspokajające. Eliot stosował to wszystko systematycznie, ale były

przeznaczone nie tylko dla niego. Służyły wszystkim cierpiącym na niesprecyzowane

choroby ludziom, którzy do niego przychodzili.

Miłość, zrozumienie i nieco pieniędzy nie wystarczały im. Chcieli jeszcze

lekarstw.

Wszędzie leżały stopy papierów: formularze podatkowe, formularze z Urzędu do spraw Weteranów, formularze na renty, opiekę społeczną, ubezpieczenia społeczne

i na warunkowe zwolnienia z więzienia. Tu i ówdzie stopy rozsypały się, tworząc wydmy. Pomiędzy stosami i wydymami poniewierały się papierowe kubki, puszki po Złotej Ambrozji, niedopałki papierosów i butelki po Southern Comfort.

Na ścianach wisiały przypięte pinezkami zdjęcia wycięte przez Eliota z tygodników "Life" i "Look", które teraz szeleściły, poruszane zwiastującym burzę chłodnym powiewem. Eliot stwierdził, iż pewne zdjęcia wprawiają ludzi w dobry nastrój, zwłaszcza zdjęcia młodych zwierząt. Jego goście lubili również fotografie

efektownych wypadków. Astronauci ich nudzili. Woleli zdjęcia Elizabeth Taylor, ponieważ tak bardzo jej nienawidzili i mogli nią pogardzać. Ich ulubioną postacią był

Abraham Lincoln. Eliot usiłował spopularyzować również Tomasza Jeffersona i Sokratesa, ale ludzie zapominali między jedną a drugą wizytą, kim są ci dwaj.

"Który jest który?" – pytali.

Poprzednio lokal biura zajmował dentysta. Nic tego nie zdradzało, poza schodami prowadzącymi na górę z ulicy. Dentysta poprzybijał do wszystkich stopni blaszane tabliczki polecające jego różnorakie usługi. Tabliczki pozostały, tyle że Eliot

zamalował tekst i wypisał nowy. Były to słowa wiersza Williama Blake'a, rozbite tak,

aby mieściły się na dwunastu stopniach:

Tak mi
rzekł anioł przy
mym narodzeniu:
mała istotko
stworzona z radości,
kochaj
i wsparcia
dla twojej miłości
nie szukaj
w niczym,
co rodem
z tej ziemi!

Przy początku schodów senator własnoręcznie wypisał ołówkiem na ścianie swoją replikę, inny wiersz Blake'a:

Jedynie siebie miłość szuka;
Dla swego szczęścia i rozkoszy
Miłowanego spętać pragnie;
Wbrew niebu mury piekieł wznosi.*

* * *

Tymczasem w Waszyngtonie ojciec Eliota wyrażał na głos myśl, że lepiej byłoby, gdyby i on, i Eliot umarli.

– Mam... mam dość prosty pomysł – odezwał się McAllister.

– Ostatni pański prosty pomysł przyplącałem utratą kontroli nad osiemdziesięcioma siedmioma milionami dolarów.

McAllister wskazał ze znużonym uśmiechem, iż nie ma zamiaru wyrażać żalu z powodu utworzenia Fundacji. Ostatecznie Fundacja spełniła całkowicie swoje zadanie: umożliwiła przekazanie majątku z ojca na syna bez grosza podatku.

McAllister nie mógł przecież gwarantować, że syn będzie konwencjonalny.

- Chciałbym zaproponować, aby Eliot i Sylwia po raz ostatni spróbowali się pogodzić.

Sylwia potrząsnęła głową.

- Nie - szepnęła. - Przykro mi, ale nie. - Siedziała skulona w wielkim fotelu.

Zrzuciła pantofle. Jej twarz była nieskazitelnym błękitnobiałym owalem, włosy kru-

czoczarne. Oczy miała podkrążone. - Nie.

Była to oczywiście decyzja lekarza, i to słuszna. Jej powtórne załamanie i kuracja nie uczyniły z niej na powrót dawnej Sylwii z czasów pobytu w Rosewater.

Uzyskała zupełnie nową osobowość, trzecią od czasu małżeństwa z Eliotem. Osią tej

trzeciej osobowości było poczucie własnej bezużyteczności, wstydu za to, iż budzą w

niej obrzydzenie biedacy i niechlujstwo Eliota, a także samobójcze pragnienie, aby

zignorować swoje obrzydzenie, wrócić do Rosewater i umrzeć wkrótce za słuszną sprawę.

Tak więc jej "nie" było nakazaną przez rozsądek, przepisaną przez lekarza, narzuconą obroną przed ostateczną ofiarą.

* * *

Senator stracił fotografię Eliota z półki nad kominkiem.

- Kto może mieć do Sylwii pretensje? Znowu tarzać się w łóżku z tym zapijaczonym cyganem, którego nazywam synem? - Zaraz przeprosił za brutalność tego ostatniego sformułowania. - Starzy ludzie pozbawieni nadziei mają skłonność do

brutalnych i trafnych stwierdzeń. Przepraszam cię.

Sylwia opuściła swoją śliczną głowę, po czym ją uniosła.

- Wcale nie myślę o nim w ten sposób... jak o zapijaczonym cyganie.

- A ja tak, na Boga. Ilekroć jestem zmuszony na niego spojrzeć, myślę sobie:

"Wymarzone miejsce na wylęgarnię tyfusu!". Nie staraj się oszczędzać moich uczuć,

Sylwio. Mój syn nie zasługuje na przyzwoitą kobietę. Zasługuje na to, co ma: na skomlącą kompanię dziwek, obiboków, alfonsiaków i złodziei.

- Oni nie są tacy źli, ojczcie.

- Tak jak ja to rozumiem, Eliota najbardziej w nich pociąga to, że nie ma w nich absolutnie nic dobrego.

Sylwia, mająca za sobą dwa załamania nerwowe i niepewną sytuację

psychiczną przed sobą, powiedziała tak, jak ją nauczył lekarz:

- Wolalabym nie wdawać się w dyskusję.

- Potrafiłabyś nadal występować w obronie Eliota?

- Tak. Jeżeli nawet nie uda mi się dzisiaj wyjaśnić innych spraw, to chciałabym przynajmniej, aby to jedno było jasne: Eliot ma rację, robiąc to, co robi. To, co robi,

jest piękne. Ja jestem po prostu zbyt słaba albo za mało dobra, aby wytrwać u jego

boku. Wina leży po mojej stronie.

Bolesne zdumienie, a potem bezradność odmalowały się na obliczu senatora.

- Powiedz mi choć jedną dobrą rzecz o tych ludziach, którym Eliot pomaga.

- Nie mogę.

- Tak też myślałem.

- To tajemnica - odparła, wciągnięta wbrew sobie w spór, pragnąc gorąco, aby się to czym prędzej skończyło.

Nie zdając sobie sprawy, jak jest bezlitosny, senator parł dalej:

- Jesteś teraz wśród przyjaciół, może nam zdradzisz tę wielką tajemnicę.

- Tajemnica polega na tym, że oni są ludźmi - powiedziała Sylwia. Powiodła wzrokiem po twarzach, szukając błysku zrozumienia. Nie znalazła. Na końcu spojrziała na Normana Mushariego; ten posłał jej potwornie niewłaściwy uśmiech chciwości i pożądania.

Sylwia pośpiesznie przeprosiła, wyszła do łazienki i rozplakała się.

* * *

W mieście Rosewater rozległ się grzmot, wywołując z remizy strażackiej łaciatego psa z urojoną wścieklizną. Pies, drżąc, zatrzymał się na środku jezdni. Z

rzadka rozstawione latarnie świeciły blado. Jedyne światło poza tym pochodziło z niebieskiej żarówki nad posterunkiem policji mieszczącym się w suterenie budynku sądu, czerwonej żarówki na remizie strażackiej i białej żarówki w budce telefonicznej

naprzeciwko wejścia do baru pod nazwą U słodkiej Kandy, który pełnił też rolę przystanku autobusowego.

Rozległ się huk. Błyskawica zamieniła wszystko w białobłękitne brylanty.

Pies podbiegł do drzwi Fundacji Rosewatera; drapał i wył. Na górze Eliot spał nadal. Jego lekko przeświecająca nylonowa koszula, zwisająca z belki pod sufitem,

kołysała się jak duch.

* * *

Eliot miał tylko jedną koszulę. Miał również tylko jedno ubranie: przepocony dwurzędowy garnitur z granatowego tenisu, wiszący teraz na klamce od łazienki. Musiał być wspaniale uszyty, gdyż trzymał się nadal, mimo zaawansowanego wieku. Eliot zdobył go drogą wymiany od członka ochotniczej straży pożarnej w miejscowości

Nowy Egipt w stanie New Jersey w roku 1952.

Eliot miał jedyną parę butów, czarnych. Uzyskały one szczególną spękaną fakturę w wyniku eksperymentu. Eliot usiłował je kiedyś wypastować "Woskolem" Johnsona, który jest przeznaczony do podłóg, nie do butów. Jeden but leżał na biurku. Drugi był w łazience, na skraju umywalki. Z każdego buta zwisała się brązowa nylonowa skarpeta z przypiętą podwiązką. Jeden koniec podwiązki od skarpetki tkwiącej w tym bucie na umywalce zanurzony był w wodzie. Podwiązka i skarpeta nasiąkły wodą, dzięki magicznemu działaniu naczyń włoskowatych.

Jedynymi barwnymi, nowymi przedmiotami w biurze, poza zdjęciami z tygodników, były: duże pudło Tide, "niezrówanego środka piorącego", oraz żółta peleryna i czerwony hełm ochotniczej straży pożarnej, wiszące na kołkach przy wejściu. Eliot był porucznikiem straży pożarnej. Mógł bez trudu zostać kapitanem lub

komendantem, jako że był oddanym i doświadczonym strażakiem, a poza tym zafundował oddziałowi straży sześć nowych samochodów. Nie nadano mu wyższego stopnia wyłącznie na skutek jego uporu.

Ponieważ prawie nigdy nie opuszczał swego biura w innym celu niż walka z ogniem, w razie pożaru telefonowano do niego. Dlatego przy jego łóżku stały dwa aparaty telefoniczne. Czarny służył do rozmów w sprawach Fundacji. Czerwony zawiadamiał o pożarze. Kiedy dzwoniło z wieścią o pożarze, Eliot przyciskał czerwony guzik umieszczony na ścianie pod dyplomem notariusza. Guzik uruchamiał przeraźliwą syrenę pod kopułą na szczycie budynku straży pożarnej. Syrenę ufundował Eliot, kopułę zresztą też. Rozległ się rozdzierający uszy grzmot.

- No już dobrze, dobrze - mruknął Eliot przez sen.

Wkrótce zadzwonił czarny telefon. Eliot obudzi się i podniesie słuchawkę po trzecim dzwonku. Powie to, co mówi każdemu, kto do niego dzwoni, niezależnie od pory dnia czy nocy:

– Fundacja Rosewatera. Co możemy dla pana zrobić?

* * *

Był to wymysł senatora, że Eliot zadaje się z kryminalistami. Senator mylił się. Większość klientów Eliota nie miała dość odwagi ani pomysłowości, aby zostać prze-
stępcami. Lecz Eliot, zwłaszcza gdy klócił się z ojcem lub bankierami i prawnikami, również mylił się co do swoich podopiecznych. Utrzymywał, iż ci, którym usiłuje pomóc, to tacy sami ludzie jak pionierzy, którzy w poprzednich pokoleniach karczowali lasy, osuszali bagna, budowali mosty, ludzie, których synowie tworzyli trzon piechoty i tak dalej. Tymczasem ludzie, którzy korzystali regularnie z pomocy Eliota, byli dużo słabsi... i dużo głępsi. Kiedy na przykład przychodził czas, aby ich synowie szli do wojska, bywali na ogół odrzucani jako element umysłowo, moralnie i fizycznie niepożądany.

Był też wśród biedaków okręgu Rosewater twardszy element, który, kierując się dumą, trzymał się z daleka od Eliota i jego bezkrytycznej miłości; który miał w sobie dość siły, by porzucić Rosewater i szukać pracy w Indianapolis, Chicago lub Detroit.

Bardzo niewielu z nich znalazło tam stałe zajęcie, oczywiście, ale przynajmniej próbowali.

* * *

Klientką, mającą się odezwać w czarnym telefonie Eliota, była sześćdziesięcioośmioletnia dziewczina, która – prawie każdy by to przyznał – z powodu głupoty nie nadawała się do życia. Nazywała się Diana Moon Glampers. Nikt jej nigdy nie kochał. Nikt nie miał po temu powodów. Była brzydka, głupia i nudna. W tych rzadkich przypadkach, kiedy musiała się przedstawiać, zawsze wymieniała oba nazwiska, uzupełniając je zagadkowym równaniem, które ją tak bezmyślnie powołało do życia.

– Moja matka była Moon. Ojciec nazywał się Glampers.

* * *

To skrzyżowanie Moon z Glampersem było służącą w pseudoceglanym pałacyku Rosewaterów, oficjalnej siedzibie senatora, w domu, w którym faktycznie zamieszkiwał nie więcej niż przez dziesięć dni w roku. Przez pozostałe trzysta pięćdziesiąt pięć dni w roku Diana miała dwadzieścia sześć pokoi do swojej wyłącznej dyspozycji. Sprzątała i sprzątała, i sprzątała, zupełnie sama, nie mając nawet tej satysfakcji, aby móc kogoś oskarżać o brudzenie.

Skończywszy swoją dzienną pracę, Diana szła do pokoju nad garażem na sześć aut. Jedynymi pojazdami w tym garażu były ford Phaeton z 1936 roku, ustawiony na ceglach, i czerwony trójkołowy rowerek ze strażackim dzwonkiem przy kierownicy. Rowerek należał w dzieciństwie do Eliota.

Po pracy Diana siadała w swoim pokoju i słuchała chrypiącego zielonego radia z plastiku albo bawiła się Biblią. Nie umiała czytać. Jej Biblia była w strzępach. Na

stoliku koło łóżka stał telefon, model o nazwie Princess, który wypożyczyła z Towarzystwa Telefonicznego Bella w Indianie za dodatkową opłatą siedemdziesięciu

pięciu centów miesięcznie.

Rozległ się grzmot.

- Pomocy! - krzyknęła Diana. Miała prawo krzyczeć. Piorun zabił jej matkę i ojca na pikniku Tartaków Rosewatera w 1916 roku. Była przekonana, że ona też zginie

od pioruna. Ponieważ zaś stale bolały ją nerki, była pewna, że piorun strzeli ją w nerki.

Zerwała słuchawkę swojej Princessy z widełek i wykręciła jedyny numer, pod jaki kiedykolwiek dzwoniła. Skomlała i pojękiwała w oczekiwaniu, aż na drugim końcu podniosą słuchawkę.

Zrobił to Eliot. Głos miał pełen słodczy, bezmiernie ojcowski i dobrotliwy niczym najniższa nuta wiolonczeli.

- Tu Fundacja Rosewatera. Co możemy dla pani zrobić?

* * *

- Elektryczność znowu chce mnie zabić, panie Rosewater. Musiałam zadzwonić! Tak się boję!

- Dzwoni, kiedy tylko zechcesz, moja droga. Po to tutaj jestem.

- Tym razem elektryczność naprawdę mnie zabije.

- Przeklęta elektryczność. - Gniew Eliota był szczery. - Jestem wściekły na tę elektryczność za to, że cię tak prześladowuje. To świństwo z jej strony.

- Wolałabym, żeby już wzięła i zabiła, zamiast tak mi stale grozić.

- Byłaby to wielka strata dla naszego miasta, gdyby tak się stało.

- Kto by się tym przejął?

- Ja.

- Pan się przejmuje wszystkimi. Ale kto oprócz pana?

- Bardzo, bardzo wiele osób, moja droga.

- Głupia stara kobieta, sześćdziesiąt osiem lat.

- Sześćdziesiąt osiem to wspaniały wiek.

- Sześćdziesiąt osiem lat to bardzo długo dla kogoś, kogo nigdy nie spotkało nic przyjemnego. Mnie nigdy nie zdarzyło się nic przyjemnego. Jak miało mi się zdarzyć coś przyjemnego? Stałam za drzwiami, kiedy dobry Bóg rozdawał rozumy.

- To nieprawda!

- Stałam za drzwiami, kiedy dobry Bóg rozdawał silne, piękne ciała. Nawet gdy byłam młoda, nie umiałam szybko biegać i skakać. Nigdy nie czułam się naprawdę dobrze, ani razu w życiu. Od dziecka miałam wzdęcia, puchły mi kostki i bolały nerki.

Stałam też za drzwiami, kiedy dobry Bóg rozdawał pieniądze i powodzenie. A kiedy zdobyłam się na odwagę, żeby wyjść zza tych drzwi i wyszeptać: "Boże, dobry, słodki

Panie Boże, oto jestem" - nie zostało już ani jednej dobrej rzeczy. Musiał mi dać stary

kartofel zamiast nosa. Musiał mi dać włosy jak druty i głos jak u ropuchy.

- Wcale nie masz głosu jak ropucha, Dianko. Masz uroczy głos.

- Głos jak ropucha - upierała się. - Była w niebie ropucha, panie Rosewater.

Dobry Bóg chciał ją zesłać na ziemię, żeby się tam narodziła, ale ta ropucha była

sprytna. "Słodki Boże - powiedziała ta sprytna stara ropucha - jeżeli Ci to nie robi

różnicy, to wolałabym się nie narodzić. Nie wydaje mi się, aby ropuchę czekało tam

zbyt dużo uciech". Więc Pan pozwolił jej skakać sobie w niebie, gdzie nikt nie użyje jej

na przynętę ani jej nie zje, a głos tej ropuchy Bóg dał mnie.

* * *

Znowu rozległ się grzmot, od czego głos Diany podniósł się o oktawę.

- Powinnam powiedzieć to, co ta ropucha! Ten świat nie rozpieszcza również takich jak Diana Moon Glampers!

* * *

- Uspokój się, Diano, uspokój się - powiedział Eliot, pociągając mały łyk Southern Comfort.

- Przez cały dzień bolały mnie nerki, panie Rosewater. Mam uczucie, jakby przechodziła przez nie bardzo powoli, obracając się, rozżarzona kula elektryczności, najeżona zatrutymi żyłkami.

- To musi być niezbyt przyjemne.

- Oj, nie jest, nie jest.

- Naprawdę chciałbym, moja droga, żebyś poszła do lekarza z tymi piekielnymi nerkami.

- Byłam. Poszłam dziś do doktora Wintersa, tak jak pan mi kazał. Potraktował mnie, jakbym ja była krową, a on pijanym weterynarzem. A kiedy skończył mnie walić

i przewracać z boku na bok, to wie pan, co zrobił? Roześmiał się. Powiedział, że chciałby, aby wszyscy w Rosewater mieli tak wspaniałe nerki jak moje.

Powiedział, że

te moje bóle nerek są wymyślone. Panie Rosewater, od dzisiaj pan jest moim jedynym lekarzem.

- Ja nie jestem lekarzem, moja droga.

- Nie dbam o to. Uleczył pan więcej beznadziejnych chorób niż wszyscy lekarze z Indiany razem wzięci.

- No, no...

- Dawn Leonard miał czyraki od dziesięciu lat i pan go wyleczył. Ned Calvin miał ten tik w oku od dzieciństwa i pan to wyleczył. Pearl Flemming przyszła tylko do

pana i odrzuciła swoje kule. A teraz moje nerki przestały mnie boleć na sam dźwięk

pańskiego słodkiego głosu.

- Cieszę się.

- I grzmoty też ustały.

Diana mówiła prawdę. Słysząc było teraz tylko beznadziejnie sentymentalną muzykę deszczu.

* * *

- Więc będziesz już mogła zasnąć, moja droga?

- Tylko dzięki panu. Och, panie Rosewater, pośrodku miasta powinien stać pański wielki pomnik, cały ze złota i brylantów, z bezcennych rubinów i czystego uranu. Pan, z pańskim nazwiskiem, znakomitym wykształceniem, pieniędzmi i manierami, jakich pana mamusia nauczyła, mógłby żyć w jakimś wielkim mieście i rozjeżdżać się cadillakami w towarzystwie najgrubszych ryb, wśród dźwięków orkiestr

i wiwatów tłumów. Mógł pan zejść tak wysoko i być tak potężny, że gdyby pan spojrzął

z góry na zwykłych, prostych ludzi ze starego pocziwego okręgu Rosewater, wyglądalibyśmy jak mrówki.

- No, dobrze już, dobrze...

- Zrezygnował pan ze wszystkiego, za czym inni gonią, po to tylko, aby pomagać maluczkim, i ci maluczcy wiedzą o tym. Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater. Dobranoc.

Drobne sygnały ostrzegawcze, jakimi ostrzega nas przyroda – mówił senator ponuro do Sylwii, McAllistera i Mushariego. – Ile ich przegapiłem? Chyba wszystkie.

– Niepotrzebnie robi pan sobie wyrzuty – powiedział McAllister.

– Jeżeli człowiek ma tylko jedno dziecko – ciągnął senator – i jego rodzina słynie z tego, że wydaje nieprzeciętne, obdarzone silną wolą indywidualności, to czym

ma się ten człowiek kierować, aby stwierdzić, czy jego dziecko jest wariatem, czy nie jest?

– Niech pan sobie nie robi wyrzutów!

– Przez całe życie domagałem się, aby ludzie winili siebie za swoje niepowodzenia.

– Robił pan wyjątki.

– Diabło mało.

– Więc niech pan włączy siebie do tych diabło niewielu. Należy się to panu.

– Często myślę sobie, że może nie stałoby się to z Eliotem, gdyby nie ten cały szum z robieniem z niego maskotki straży pożarnej, kiedy był mały. Boże, jak oni go

psuli – sadzali go na miejscu starszego sikawkowego, pozwalali mu dzwonić, uczyli go

strzelać silnikiem przez włączanie i wyłączanie zapłonu, pękali ze śmiechu, kiedy

rozerwał tłumik. Oczywiście od wszystkich zalatywało alkoholem... – Senator kiwnął

głową i zamrugał. – Alkohol i samochody strażackie: symbol szczęśliwego dzieciństwa. Nie wiem, nie wiem, naprawdę nie wiem. Ilekroć jechał do Rosewater, mówiłem mu, że tam jest nasz dom rodzinny, ale nie spodziewałem się, że będzie na

tyle głupi, aby w to uwierzyć.

* * *

– Mam pretensje do siebie – powiedział senator.

– Ładnie to o panu świadczy – przerwał mu McAllister. – Skoro tak, to powinien pan też poczuwać się do winy za wszystko, co przytrafiło się Eliotowi podczas wojny. Niewątpliwie to pańska wina, że ci strażacy znaleźli się wtedy w tym

pełnym dymu budynku.

McAllister miał na myśli bezpośrednią przyczynę załamania nerwowego Eliota pod koniec wojny. Pełen dymu budynek to była fabryka klarnetów w Bawarii!

Rzekomo roilo się w niej od esesmanów, którzy zorganizowali tam obronę okrężną.

Eliot poprowadził pluton swojej kompanii do ataku na budynek. Jego bronią zwykle był pistolet maszynowy Thompsona, ale tym razem wziął karabin z bagnetem, z obawy, aby nie postrzelić w dymie kogoś z własnych ludzi. Nigdy dotąd nie wbił

w nikogo bagnetu, przez wszystkie te lata rzezi.

Wrzucił przez okno granat. Kiedy granat się rozerwał, kapitan Rosewater wskoczył do środka i stwierdził, że stoi w morzu nieruchomego dymu, którego falista

powierzchnia dochodzi mu do oczu. Odchylił głowę, aby trzymać nos w powietrzu. Słyszał Niemców, ale ich nie widział.

Zrobił krok do przodu, potknął się o jakieś ciało, upadł na drugie. Byli to Niemcy zabici jego granatem. Wstając, spotkał się oko w oko z Niemcem w hełmie i masce przeciwgazowej.

Eliot, jak przystało na dobrego żołnierza, kopnął tamtego kolanem w krocze, rozpruł mu bagnetem gardło, wyciągnął bagnet i kolbą karabinu zmiażdżył Niemcowi szczękę.

I wtedy usłyszał amerykańskiego sierżanta krzyczącego gdzieś z lewa. Musiała tam być dużo lepsza widoczność, gdyż sierżant wrzeszczał: "Przerwać ogień! Nie strzelajcie, chłopaki! Jezu Chryste, to nie żołnierze. To strażacy!".

Była to prawda. Eliot zabił trzech nie uzbrojonych strażaków. Byli zwykłymi wieśniakami, którzy dzielnie wykonywali swoje nie budzące sprzeciwu zadanie: usi-

łowali nie dopuścić do utlenienia się budynku.

Gdy sanitariusze zdjęli maski trzem zabitym przez Eliota, okazało się, że było to dwóch starców i chłopiec. Chłopiec był tym, którego Eliot przebił bagnetem.

Wy-

glądał na nie więcej niż czternaście lat.

Eliot trzymał się stosunkowo dobrze przez pierwsze dziesięć minut. A potem spokojnie położył się przed nadjeżdżającą ciężarówką.

Ciężarówka zdołała zahamować, ale koła dotykały kapitała Rosewatera. Kiedy przerażeni podkomendni go podnieśli, stwierdzili, że Eliot jest sztywny, tak sztywny,

że mogliby go nieść za włosy i pięty.

Trwał w takim stanie przez dwanaście godzin, nic nie mówiąc ani nie jedząc, więc odesłali go na tyły do Wesołego Paryża.

* * *

- Jakie wrażenie zrobił na tobie wtedy w Paryżu? - chciał wiedzieć senator. -

Czy wydał ci się całkiem normalny?

- Dzięki temu go właśnie poznałam.

- Nie rozumiem.

- Kwartet smyczkowy mego ojca dawał koncert dla pacjentów amerykańskiego szpitala psychiatrycznego. Ojciec wdał się w rozmowę z Eliotem i uznał, że jest on

najzdrowszym na umyśle Amerykaninem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Gdy tylko stan Eliota poprawił się na tyle, że mógł opuścić szpital, ojciec zaprosił go na kolację.

Pamiętam, jak go przedstawił: "Poznajcie jedynego jak na razie Amerykanina, który

zauważył drugą wojnę światową".

- I cóż on mówił takiego mądrego?

- Było to raczej ogólne wrażenie... niż to, co mówił. Pamiętam, jak mi go ojciec opisywał. "Ten młody kapitan, którego chcę przyprowadzić, pogardza sztuką. Wyobrażasz sobie? Pogardza. A jednak robi to w taki sposób, że nie można go za to nie

lubić. Daje przez to do zrozumienia, jak sędzę, że sztuka go rozczarowała, co jest

bardzo szczerym wyznaniem z ust człowieka, który w ramach obowiązków służbowych zabił bagnetem czternastoletniego chłopca".

* * *

- To była miłość od pierwszego wejrzenia.

- Czy mogłabyś nie używać tego słowa?

- Jakiego?

- Miłość.

- A czy jest jakieś lepsze słowo?

- Było to zupełnie dobre słowo, dopóki Eliot nie wziął go w posiadanie. Teraz jest już dla mnie raz na zawsze zepsute. Skoro Eliot chce obdarzać miłością wszystkich, niezależnie od tego, kim są i co robią, to ci z nas, którzy kochają

określone

osoby z określonych powodów, muszą poszukać sobie innego słowa. – Podniósł wzrok na olejny portret zmarłej żony. – Ją, na przykład, kochałem bardziej niż naszego śmieciarza, przez co staję się winnym najbardziej wstydlivej ze wszystkich nowoczesnych zbrodni: dys-kry-mi-na-cji.

* * *

Sylwia uśmiechnęła się blado.

– Czy z braku lepszego słowa mogę używać starego, tylko przez dzisiejszy wieczór?

– W twoich ustach zachowuje swoje znaczenie.

– Pokochałam go od pierwszego wejrzenia w Paryżu i Kocham go, kiedy teraz o nim myślę.

– Musiałś dość wcześnie zdać sobie sprawę, że masz do czynienia z wariatem.

– Była sprawa alkoholu.

– Tutaj jest sedno wszystkiego!

– I ten skandal z Arthurem Garveyem Ulmem. – Ulm był poetą, któremu Eliot dał dziesięć tysięcy dolarów, kiedy Fundacja mieściła się jeszcze w Nowym Jorku.

– Ten nieszczęsny Ulm powiedział Eliotowi, że chce głosić prawdę niezależnie od konsekwencji ekonomicznych, i Eliot od ręki wypisał mu ten nieprawdopodobny czek. Działo się to na koktajlu – mówiła Sylwia. – Pamiętam, że był tam Arthur

Godfrey... Robert Frost... Salvador Dali i mnóstwo innych.

– Niech pan głosi prawdę, na Boga. Najwyższy czas, aby ktoś się tym zajął

– powiedział mu Eliot. – I jeżeli będzie pan potrzebował więcej pieniędzy, aby mówić więcej prawdy, proszę się do mnie zgłosić.

Biedny Ulm kręcił się nieprzytomny wśród gości, pokazywał czek i pytał wszystkich, czy jest prawdziwy. Kiedy mu powiedzieli, że czek jest absolutnie cudowny, wrócił do Eliota, żeby się upewnić, że to nie żart. I wówczas prawie histerycznie zaczął błagać Eliota, aby mu powiedział, co ma pisać.

– Prawdę! – odparł Eliot.

– Pan jest moim mecenasem... sądziłem, że jako mecenas... zechce pan...

– Nie jestem żadnym pańskim mecenasem. Jestem pańskim rodakiem, który panu płaci, aby się dowiedzieć, co jest prawdą, a to zupełnie co innego.

– Słusznie, słusznie – powiedział Ulm. – Tak powinno być. O to mi właśnie chodzi. Myślałem po prostu, że może jest jakiś szczególny temat...

– Niech pan sam wybiera temat i pisze dobrze i nieustraszenie.

– Tak jest. – I biedny Ulm, zanim się zorientował, co robi, zasalutował, choć nie sadzę, aby służył kiedyś w wojsku czy coś takiego. Zostawił Eliota w spokoju, ale znowu obchodził wszystkich, wpytując ich o jego zainteresowania.

Wreszcie wrócił i powiedział Eliotowi, że pracował kiedyś przy zbiorach owoców i chciałby napisać cykl wierszy o ciężkim losie sezonowych robotników rolnych.

Eliot wyprostował się, spojrział z góry na Ulma płonącym wzrokiem i powiedział tak, że wszyscy słyszeli:

– Panie! Czy zdaje pan sobie sprawę, że Rosewaterowie są założycielami i głównymi udziałowcami United Fruit Company?

– To nieprawda! – zawołał senator.

– Oczywiście – przyznała Sylwia.

– Czy w tym czasie Fundacja w ogóle miała jakieś akcje United Fruit Company? – spytał senator McAllistera.

– No, może z pięć tysięcy akcji.

– To jest nic.

– To jest nic – zgodził się McAllister.

– Więc biedny Ulm zrobił się czerwony i odczołgał się, ale zaraz wrócił i spytał bardzo pokornie, kto jest ulubionym poetą Eliota.

* * *

- Nie znam jego nazwiska - powiedział Eliot - a chciałbym, ponieważ jest to jedyny wiersz, który mi się na tyle spodobał, że nauczyłem się go na pamięć.

- Gdzie pan go czytał?

- Na ścianie, panie Ulm, na ścianie męskiej toalety w piwiarni na granicy okręgów Rosewater i Brown w stanie Idiana. Nazywała się Kurna Chata.

* * *

- To dziwne, bardzo dziwne - powiedział senator.

- Ta Kurna Chata spaliła się, Boże, gdzieś tak w trzydziestym czwartym. To dziwne, że Eliot ją pamięta.

- A czy był tam kiedyś? - spytał McAllister.

- Raz, tylko raz, przypominam sobie teraz - odparł senator. - Była to okropna mordownia i zatrzymaliśmy się tam tylko dlatego, że zagotowała nam się woda w chłodnicy. Eliot miał wtedy... dziesięć... może dwanaście lat? Prawdopodobnie był

tam w toalecie i zobaczył jakiś napis na ścianie, coś, co zapamiętał na całe życie. -

Skinął głową. - Jakie to dziwne, jakie to dziwne.

- A co to był za wiersz? - spytał McAllister.

Sylwia przeprosiła dwóch starszych panów za rubaszny język, po czym zacytowała dwie linijki, które Eliot zadeklamował na cały głos Ulmowi:

"Proszę nie wrzucać niedopałków do naszych pisuarów, Przecież my wam nie szczamy do popielniczek".

* * *

- Nieszczęsny poeta uciekł ze łzami - dokończyła Sylwia. - Przez kilka następnych miesięcy bałam się otwierać małe przesyłki, aby nie znaleźć w którejś z

nich ucha Arthura Garveya Ulma.

* * *

- Nienawidzi sztuki - rzekł McAllister i zaniósł się chichotem.

- On sam jest poetą - powiedziała Sylwia.

- To dla mnie coś nowego - odezwał się senator. - Nigdy nie widziałem jego wierszy.

- Czasami pisywał dla mnie wiersze.

- Prawdopodobnie najlepiej się czuje, pisząc na ścianach w publicznych ustępach. Często się zastanawiałem, kto to robi. Teraz wiem. To mój poetycko uzdolniony syn.

- Czy on naprawdę pisze na ścianach ustępów? - spytał McAllister.

- Słyszałam, że tak - powiedziała Sylwia. - Było to niewinne... nic nieprzyzwoitego. Kiedy mieszkaliśmy w Nowym Jorku, opowiadano mi, że Eliot wypisuje to samo posłanie na ścianach ustępów po całym mieście.

- Pamiętasz, co to było?

- Tak. "Jeżeli jesteś niekochany i zapomniany, bądź przynajmniej rozsądny". O ile wiem, on był autorem.

* * *

Eliot w tym czasie usiłował uśpić się z powrotem, czytając maszynopis powieści nie kogo innego, jak Arthura Garveya Ulma.

Książka nosiła tytuł: "Znajdź przy księżycu korzeń mandragory", co było cytatem z wiersza Johna Donne'a. Dedykacja brzmiała: "Eliotowi Rosewaterowi, memu czulemu turkusowi". A pod nią był jeszcze jeden cytat z Donne'a:

Jak czuły turkus, co blednąc podziela

Wszelaką niemoc swego właściciela.

W załączonym liście Ulm wyjaśniał, że książka ma być wydana przez Palindrome Press na Boże Narodzenie i że będzie zalecana wraz ze "Skarbnicą erotyków" przez jeden z większych klubów książki.

Niewątpliwie zapomniał pan o mnie, mój czuły turkusie – czytał Eliot w liście. – Arthur Garvey Ulm, którego pan znał, na nic lepszego nie zasługiwał.

Cóż

to był za tchórz i co za głupiec, kiedy uważał się za poetę! I ileż czasu potrzebował

na zrozumienie, jak wielkoduszne i miłosierne było w istocie pańskie okrucieństwo! Jak wiele zdołał mi pan powiedzieć o moich wadach w tak niewielu słowach! Oto zatem (czternaście lat później) osiemset stron mojej prozy. Bez pana nigdy bym ich nie napisał i nie mam na myśli pańskich pieniędzy.

(Pieniądze to gówno; jest to jedna z rzeczy, które usiłowałem powiedzieć w swojej

książce). Mam na myśli pańskie przekonanie, iż należy powiedzieć prawdę o tym naszym chorym do szpiku kości społeczeństwie i że odpowiednie do tego słowa można znaleźć na ścianach szaletów.

Eliot nie pamiętał, kto to był Arthur Garvey Ulm, ani tym bardziej nie pamiętał, jakich rad mógł udzielać temu człowiekowi. Aluzje zawarte w liście Ulma

były wielce mgliste. Eliot cieszył się, że dał komuś pożyteczną radę, poczuł się nawet

wzruszony, gdy Ulm oświadczał:

Mogą mnie zastrzelić, mogą mnie powiesić, ale powiedziałem prawdę.

Zgrzytanie zębów faryzeuszów, szarlatanów z Madison Avenue i filistrów będzie muzyką dla moich uszu. Przy pańskiej boskiej pomocy wypuściłem dzinna prawdy z butelki i już nigdy, nigdy nie uda im się zamknąć go z powrotem!

Eliot z zainteresowaniem przystąpił do lektury prawd, za ujawnienie których Ulm oczekiwał śmierci.

Rozdział pierwszy

Wykręcałem jej rękę, dopóki nie rozwarła ud, wydając okrzyk na poły bólu, na poły rozkoszy (czy można zrozumieć kobietę?), kiedy mój mściwy taran wdarł się w jej ciało.

Eliot stwierdził u siebie erekcję.

– Na litość boską – zwrócił się do swego organu rozrodczego – jak można być tak niewybrednym?

* * *

– Gdybyście tylko mieli dziecko. – Senator znowu westchnął, ale zaraz przez chmurę żalu przeniknęła myśl, że mówienie tego kobiecie, która nie urodziła tego magicznego dziecka, jest okrucieństwem. – Wybacz staremu głupcowi, Sylwio.

Potrafię zrozumieć, dlaczego możesz dziękować Bogu, że nie macie dziecka.

Sylwia, wypłakawszy się w łazience, eksperymentowała teraz z ostrożnymi gestami, mającymi wykazać, że cieszyłoby ją takie dziecko, ale że jednocześnie litowałyby się nad nim.

– Nie mogłabym dziękować Bogu za coś takiego.

– Czy mogę ci zadać bardzo osobiste pytanie?

– Życie robi to bez przerwy.

– Czy sądzisz, że istnieje choćby najmniejsza szansa, że on kiedykolwiek będzie miał jeszcze potomstwo?

– Nie widziałam go od trzech lat.

– Interesuje mnie twoje przypuszczenie.

– Mogę ci tylko powiedzieć, że pod koniec naszego pożycia kochanie się przestało być naszą pasją numer jeden. Eliot był kiedyś uroczym fanatykiem kochania

się, ale nigdy robienia dzieci.

Senator zaklekotał ze skruchą:

– To ja powinienem lepiej troszczyć się o swoje dziecko! – Poruszył się. –

Odwiedziłem psychoanalityka, do którego chodził Eliot w Nowym Jorku. W zeszłym roku wreszcie się tam wybrałem. Wygląda na to, że do wszystkiego, co dotyczy Eliota, zabieram się o dwadzieścia lat za późno. Wszystko polega na tym... wszystko polega na tym... że nigdy nie mieściło mi się w głowie, iż tak wspaniały okaz ludzki może się tak nisko stoczyć!

Mushari, ukrywając swoje pożądanie klinicznych szczegółów niedomagań Eliota, czekał w napięciu, aż ktoś zachęci senatora do kontynuowania tematu.

Nikt się nie kwapił, więc Mushari uchylił przyłbicy.

- I co powiedział doktor? - spytał.

Senator, niczego nie podejrzewając, podjął swoją opowieść:

- Ci ludzie nigdy nie chcą rozmawiać o tym, o czym wy chcecie rozmawiać.

Zawsze o czymś innym. Kiedy się dowiedział, kim jestem, nie chciał mówić o Eliocie.

Chciał rozmawiać o Ustawie Rosewatera.

Senator uważał Ustawę Rosewatera za swój ustawodawczy majstersztyk.

Uznawała ona rozpowszechnianie lub posiadanie materiałów pornograficznych za przestępstwo federalne, podlegające karom grzywny do pięćdziesięciu tysięcy dolarów

i do dziesięciu lat więzienia bez prawa do warunkowego zwolnienia. Ustawa była majstersztykiem, ponieważ dawała definicję pornografii.

"Pornografią jest - stwierdzała ustawa - każda ilustracja, materiał dźwiękowy lub tekst zwracający uwagę na części rodne, odchody lub uwłosienie łonowe".

- Ten psychoanalityk - skarżył się senator - zaczął mnie wypytywać o moje dzieciństwo. Zainteresowały go moje uczucia związane z uwłosieniem łonowym. -

Senator otrząsnął się. - Powiedziałem mu, aby uprzejmie zmienił temat i że moją odrazę dzielają, o ile wiem, wszyscy porządni ludzie. - Tu wskazał

McAllistera,

chcąc po prostu kogoś wskazać, wszystko jedno kogo. - Oto klucz do kwestii

pornografii. Niektórzy powiadają: "Ale jak ją rozpoznać, jak ją odróżnić od sztuki i tak

dalej? A ja wyposażyłem ustawę w klucz! Różnica między sztuką a pornografią polega

na uwłosieniu łonowym! Tu senator zaczerwienił się i zawstydzony przeprosił Sylwię.

- Wybacz mi, kochanie.

Mushari znowu musiał go popchnąć.

- Więc doktor nie powiedział nic na temat Eliota?

- Ten przekłety doktor powiedział mi, że jedyną rzeczą, jaką słyszał od Eliota, były ogólnie znane historyczne fakty, wszystkie prawie związane z uciskiem

biednych i

różnych pomyleńców. Powiedział, że każda próba diagnozy przypadku Eliota byłaby nieodpowiedzialną spekulacją. Jako głęboko przejęty ojciec powiedziałem

doktorowi:

- Niech pan śmiało stawia hipotezę na temat mego syna. Nie będę miał do pana pretensji. Będę ogromnie wdzięczny, jeżeli powie pan cokolwiek, choćby nie było to

słuszne, bo mnie zapas teorii, słusznych i niesłusznych, na temat mojego chłopca wyczerpał się już wiele lat temu. Niech pan wetknie swoją łyżeczkę z nierdzewnej stali

w mózg nieszczęsnego starca, doktorze, i zamieszka - powiedziałem do niego.

Na to on:

- Zanim podzielę się z panem swoimi nieodpowiedzialnymi myślami, będę musiał porozmawiać z panem nieco o zboczeniach seksualnych. Chcę, aby rozmowa dotyczyła też Eliota, więc jeżeli miałby pan na to zareagować gwałtownie, to lepiej

zakończmy naszą rozmowę w tym momencie.

- Niech pan mówi dalej - powiedziałem. - Jestem starym prykiem, a zgodnie z teorią, staremu przykowi nic już nie może zrobić przykrości. Nigdy nie hołdowałem tej

teorii, ale teraz spróbuję.

- Bardzo dobrze - rzekł. - Załóżmy więc, że zdrowy młody człowiek powinien reagować seksualnie na ładną kobietę, jeżeli nie jest ona jego matką ani siostrą. Jeżeli

podnieca go coś innego, drugi mężczyzna, powiedzmy, albo parasol, albo szal boa cesarzowej Józefiny, albo owca, albo trup, albo własna matka, albo skradziony pasek

do pończoch, to takiego człowieka nazywamy zboczeńcem.

Odparłem, iż zawsze wiedziałem o istnieniu takich ludzi, ale nigdy nie poświęcałem im zbyt wiele uwagi, bo nie sadzę, aby na to zasługiwali.

- W porządku - powiedział. - Jest to spokojna, rozsądna reakcja, która, przyznam szczerze, nieco mnie zaskakuje. Przejdźmy zatem do stwierdzenia, że każdy

przypadek zboczenia sprowadza się w istocie do niewłaściwego połączenia przewodów. Matka Natura i społeczeństwo żądają od człowieka, aby wiązał seks z takim a takim miejscem i robił z nim to a to. Tymczasem z powodu wadliwego połączenia przewodów ten nieszczęśnik z entuzjazmem idzie nie w to miejsce i z dumą

i zapalem robi coś potwornie niewłaściwego. I może uważać, że miał szczęście, jeżeli

po prostu policja zrobi z niego kalekę na całe życie, a nie zostanie rozszarpany przez tłum.

Zacząłem po raz pierwszy od wielu lat odczuwać przerażenie i powiedziałem to doktorowi.

- To bardzo dobrze - odparł znowu. - Najwyższej miary przyjemnością w zawodzie lekarza jest doprowadzić laika na skraj przerażenia, a potem sprowadzić go

znowu w bezpieczne miejsce. Eliot ma niewątpliwie pomyłone przewody, ale ta nietypowa rzecz, na którą wskutek krótkiego snięcia skierowała się jego energia seksualna, niekoniecznie musi być uważana za coś bardzo złego.

- Co to jest?! - zawołałem, wbrew sobie widząc oczyma wyobraźni Eliota kradnącego damską bieliznę, Eliota obcinającego kobietom loki w wagonie metra albo

zaglądającego do okien. - Senatorem z Indiany wstrząsnął dreszcz. - Niech mi pan powie, doktorze, niech mi pan powie najgorsze. Na co Eliot skierował swoją energię seksualną?

- Na utopię - powiedział doktor.

Norman Mushari aż prychnął z rozczarowania.

7

Powieki Eliota stawały się coraz cięższe, w miarę jak czytał "Znajdź przy księżycu korzeń mandragory". Przeglądał książkę na chybił trafił w nadziei, że przypadkiem trafi na słowa, które miały zmusić faryzeuszów do zgrzytania zębami. Znalazł kawałek potępiający pewnego sędziego za to, że nigdy nie doprowadził

żony

do orgazmu, i drugi, w którym kierownik działu reklamy mydła upija się, zamyka w swoim pokoju i ubiera w ślubną suknię matki. Eliot zmarszczył czoło,

zastanawiając

się, czy coś takiego można od biedy uznać za kąsanie faryzeuszów, i doszedł do przekonania, że raczej nie.

Czytał teraz, jak narzeczona kierownika działu reklamy uwodzi szofera swojego ojca. Aluzyjnie odgryzła mu guziki od kieszonek na liberii. Eliot Rosewater czym prędzej zapadł w sen.

Telefon zadzwonił trzy razy.

- Tu Fundacja Rosewatera. Co możemy dla pana zrobić?

- Panie Rosewater - odezwał się podniecony męski głos - pan mnie nie zna.

- Czy ktoś panu mówił, że to ma jakieś znaczenie?

- Ja jestem zero, panie Rosewater. Ja jestem mniej niż zero.

- To by znaczyło, że Bóg popełnił paskudny błąd, prawda?

- Na pewno popełnił błąd, kiedy mnie stworzył.

- Możliwe, że trafił pan ze swoją skargą pod właściwy adres.

- A co właściwie jest pod tym adresem?

- A w jaki sposób pan się o nas dowiedział?

- W budce telefonicznej jest taka duża czarno-żółta nalepka z napisem "Nie zabijaj się. Zadzwoń do Fundacji Rosewatera" i z pańskim numerem. - Podobne nalepki były we wszystkich budkach telefonicznych w całym okręgu i na tylnych szybach samochodów osobowych i ciężarówek wszystkich prawie członków ochotniczej straży pożarnej. - Wie pan, co ktoś dopisał pod spodem ołówkiem?

- Nie.

- Tu jest napisane: "Eliot Rosewater to święty. On cię obdarzy uczuciem i pieniędzmi. Gdybyś jednak wolał poznać najlepszą dupę w południowej Indianie, zadzwoń do Melissy". I dalej jest jej numer.

- Czy pan jest obcy w tej okolicy?

- Ja jestem obcy we wszystkich okolicach. Ale kim pan właściwie jest? Czy to jakaś religia?

- Jestem predestynacyjnym baptystą dwoistego Ducha.

- Słucham?

- Tak zwykle odpowiadam, kiedy ktoś mnie zamęcza pytaniami o religię. Taka sekta rzeczywiście istnieje i jestem przekonany, że jest to dobra sekta.

Praktykują

obmywanie stóp i kapłani nie pobierają pensji. Ja też myję nogi i też nie pobieram

pensji.

- Nie rozumiem - powiedział rozmówca.

- To tylko sposób, aby pana ośmielić, żeby pan nie myślał, że musi być ze mną śmiertelnie poważny. Mam nadzieję, że nie jest pan przypadkiem predestynacyjnym baptystą dwoistego Ducha?

- Jezu, nie.

- Dwustu ludzi jest i prędzej czy później powiem do jednego z nich to, co przed chwilą powiedziałem do pana. - Eliot pociągnął tyk. - Żyję w ciągłym lęku przed tą

chwilą, która musi kiedyś nadejść.

- Mówi pan jak pijany. Słyszałem, jak pan coś pił.

- Tak czy owak, co możemy dla pana zrobić?

- A kim pan, do diabła, jest?

- Rządem.

- Słucham?

- Rządem. Skoro nie jestem kościołem, a mimo to chcę powstrzymać ludzi

przed samobójstwem, to muszę być rządem, prawda?

Mężczyzna mruknął coś niezrozumiałego.

- Albo komitetem pomocy społecznej.

- Czy to ma być jakiś kawał?

- Wiem, ale nie powiem.

- Może pan uważa zwracanie się do ludzi, którzy chcą popełnić samobójstwo, za dobry dowcip?

- A pan ma zamiar popełnić samobójstwo?

- A jeśli tak?

- Nie opowiadałbym panu o tym, jakie to odkryłem wspaniałe powody, aby żyć.

- A co by pan zrobił?

- Zaproponowałbym, aby pan wymienił najniższą cenę, jakiej pan żąda za przeżycie jeszcze jednego tygodnia.

Cisza.

- Czy pan mnie słyszał?

- Słyszałem.

- Jeżeli pan nie ma zamiaru popełniać samobójstwa, to czy mógłby pan odłożyć słuchawkę? Może są inni, którzy chcieliby zadzwonić pod ten numer.

- Mówi pan jak nienormalny.

- Przecież to pan chce popełnić samobójstwo.

- A gdybym tak powiedział, że nie zgodzę się przeżyć jednego tygodnia dłużej, nawet za milion dolarów?

- Odpowiedziałbym: "W takim razie może się pan powiesić". Niech pan spróbuje z tysiącem.

- Tysiąc dolarów.

- Może się pan powiesić. Niech pan spróbuje sto.

- Sto dolarów.

- Teraz pan mówi rozsądnie. Niech pan przyjdzie, to porozmawiamy. - Eliot wyjaśnił, gdzie mieści się jego biuro. - I niech się pan nie obawia psów przed strażą

pożarną - powiedział. - Gryzą, tylko kiedy ryczy syrena.

* * *

Na temat syreny: Zgodnie z tym, co Eliot wiedział, była to najgłośniejsza syrena alarmowa na półkuli zachodniej. Napędzał ją siedemsetkonny silnik Messerschmitta z

trzydziestokonnym elektrycznym rozrusznikiem. Była to główna syrena ogłaszająca alarmy lotnicze w Berlinie podczas drugiej wojny światowej. Fundacja Rosewatera kupiła ją od rządu zachodnioniemieckiego i anonimowo sprezentowała miastu.

Kiedy ją przywieziono na platformie, jedyną wskazówką co do ofiarodawcy była mała karteczka ze słowami: "Z najlepszymi życzeniami od przyjaciela".

* * *

Eliot pisał w nieporęcznej księdze rachunkowej, którą trzymał pod łóżkiem.

Była oprawiona w groszkowaną czarną skórę i miała trzysta poliniowanych stron w zdrowotnym zielonym kolorze. Nazywał ją swoją księgą wieczystą. W książce tej od pierwszego dnia działalności Fundacji w Rosewater Eliot wpisywał nazwisko

każdego klienta, charakter jego kłopotów i co Fundacja zrobiła w jego sprawie.

Księga była już prawie zapisana i jedynie Eliot lub jego odseparowana żona potrafili odczytać to, co w niej zapisano. Teraz notował nazwisko kandydata na samobójcę, który do niego dzwonił, a potem przyszedł i właśnie przed chwilą wyszedł;

wychodził nieco skwaszony, jakby podejrzewał, że został oszukany lub wykpiony, choć

nie miał pojęcia, jak i dlaczego.

"Sherman Wesley Little – pisał Eliot. – Indy, sam śl.n. – bezr. – w2 – ż3d – Id. par. – FR 300 dol."

Rozszyfrowane oznaczało, że Little był z Indiany, chciał popełnić samobójstwo, był bezrobotnym ślusarzem narzędziowym, weteranem drugiej wojny światowej z żoną i trojgiem dzieci, jedno dziecko sparaliżowane. Eliot przyznał mu z Fundacji Rosewatera dotację w wysokości trzystu dolarów.

Receptą znacznie częściej występującą w księdze wieczystej niż dotacja pieniężna było "AW". Był to symbol lekarstwa zalecanego przez Eliota ludziom, którzy

znaleźli się na dnie z bardzo różnych powodów, a czasem bez specjalnego powodu:

"Wiesz, co zrób, mój drogi? Weź tabletkę aspiryny i popij szklanką wina".

* * *

"PM" oznaczało polowanie na muchy. Ludzie często odczuwali przemożną potrzebę odwzięczenia się Eliotowi. Mówił im wtedy, aby przyszli o określonej godzinie przegonić z jego biura muchy. W sezonie letnim była to syzyfowa praca, gdyż

Eliot nie miał siatek w oknach, na dodatek zaś biuro łączyło się przez zatłuszczony

przewód wentylacyjny bezpośrednio z niechlujną kuchnią jadłodajni na parterze.

W ten sposób polowania na muchy miały w istocie charakter symboliczny i były do tego stopnia zrytualizowane, że nie używano tradycyjnych kłapek na muchy,

mężczyźni i kobiety zaś polowali na muchy zupełnie różnymi sposobami. Mężczyźni używali gumek, kobiety natomiast kubków z ciepłymi mydlinami.

Technika gumkowa wyglądała następująco: mężczyzna przecinał gumkę w kształcie okręgu, tak że robił się z niej pasek. Następnie ją rozciągał i celował wzdłuż

niej, jakby to była lufa strzelby; strzelał, kiedy mucha znalazła się na celowniku.

Dobrze trafiona mucha nierzadko eksplodowała, wynikiem czego był specyficzny kolor ścian i mebli Eliota, pokrytych suszonym purée z much.

Technika kubka z mydlinami wyglądała tak: kobieta wypatrywała muchy siedzącej na suficie. Następnie bardzo powoli zbliżała kubek do muchy, wykorzystując

fakt, że siedząca do góry nogami mucha w razie niebezpieczeństwa spada kilka centymetrów pionowo w dół, zanim rozwinie skrzydła. Jeżeli wszystko szło zgodnie

z

planem, mucha nie wyczuwała niebezpieczeństwa, aż kubek znalazł się dokładnie pod

nią, i posłusznie wpadała w mydliny, przebijała warstwę baniek i się topiła.

O tej metodzie Eliot mawiał: "Nikt w to nie wierzy, dopóki nie spróbuje. A kiedy się przekonają, że to działa, nie można ich od tego oderwać".

* * *

Końcową część księgi zajmowała bardzo nie dokończona powieść, rozpoczęta przez Eliota przed laty, tego wieczoru, gdy wreszcie zrozumiał, że Sylwia nigdy już do

niego nie wróci.

Dlaczego tyle dusz z własnej woli powraca na Ziemię, gdzie czekają je niepowodzenia i śmierć, niepowodzenia i śmierć, niepowodzenia i śmierć? Ponieważ Niebo jest tak nijakie. Nad jego perłowymi wrotami powinny być wyryte słowa:

"To małe nic, o Boże, znaczy bardzo, bardzo wiele".

Ale jedyne słowa, jakie można znaleźć na nieogarnionym portalu raju, to

napisy pozostawione przez dusze wandalii. "Witajcie na Międzynarodowych Targach w

Bułgarii!" - nagryzmolił ktoś ołówkiem na perłowym tympanonie. "Lepsi Czerwoni niż śmierć" - wypowiedział się drugi.

"Nie jest się mężczyzną, dopóki nie miało się Murzynki" - sugeruje ktoś. A ktoś inny poprawił to na: "Nie jest się mężczyzną, dopóki nie było się Murzynem".

"Gdzie tu można sobie popieprzyć?" - zapytywała jakaś jurna dusza.

A oto mój wkład:

Kto na drzwiach rajy pisze kuplety,

Powinien z gówna robić kotlety.

A ten, co czyta jego sonety,

Powinien zjadać i gówna poety.

"Kublaj Chan, Napoleon, Juliusz Cezar i król Ryszard Lewie Serce to

wszystko gnojki" - oświadcza jakaś dzielna dusza. Nikt nie dyskutuje z tym

twierdzeniem, a protesty ze strony obrażonych są mało prawdopodobne.

Nieśmiertelna dusza Kublaj Chana zamieszkuje teraz potulne ciało żony wete-

rynarza w stolicy Peru, Limie. Nieśmiertelna dusza Bonapartego wygląda z

rozgrzanego i odkarmionego ciała czternastoletniego syna przystaniowego z Co-

tuit w stanie Massachusetts. Duch wielkiego Cezara robi co może w syfilitycznym

ciałku owdowiałej Pigmejki z Andamanów. Ryszard Lwie Serce nie po raz

pierwszy w swoich wędrówkach został uwięziony, tym razem w ciele Coacha

Letzingera, żalosego ekshibicjonisty i nieetatowego współpracownika zakładu

oczyszczenia miasta z Rosewater w Indianie. Coach, z nieszczęsnym królem

Ryszardem w środku, trzy albo cztery razy do roku udaje się autobusem linii

Greyhound do Indianapolis, ubrany na tę podróż w buty, skarpetki, podwiązki,

plaszcz deszczowy i chromowany gwizdek zawieszony na szyi. Po przyjeździe do

Indianapolis Coach idzie prosto do stoiska ze srebrami w jednym z wielkich

domów towarowych, gdzie jest zawsze pełno młodych kobiet wybierających przed

ślubem nakrycia stołowe. Coach gwizdże, wszystkie dziewczęta odwracają się w

jego stronę, Coach rozchyła poły płaszcza, otula się nim z powrotem i goni jak

diabli, aby zdążyć na powrotny autobus do Rosewater.

* * *

Raj jest nudny jak flaki z olejem - pisał dalej Eliot w swojej powieści -

więc większość duszyczek ustawia się w kolejce do powtórnych narodzin, i znowu

żyją i kochają, ponoszą klęski i umierają, i znowu ustawiają się w kolejce do

narodzin. Idą na los szczęścia, jak to się mówi. Nie skomlą i nie piszczą, że

chcą

trafić do tej, a nie innej rasy, do tej, a nie innej płci, narodowości czy

klasy. To,

czego pragną i co otrzymują, to trzy wymiary... i dające się objąć myślą małe

porcje czasu... i zamknięte przestrzenie stwarzające możliwość jakże ważnych

rozróżnień pomiędzy tym, czy się jest wewnątrz czy na zewnątrz.

Tutaj nie ma takich pojęć jak bycie wewnątrz lub na zewnątrz. Przejście

przez bramę w dowolnym kierunku oznacza tutaj przejście znikąd donikąd i

zewsząd do zewsząd. Wyobraźcie sobie stół bilardowy długości Drogi Mlecznej.

Nie zapomnijcie o tym szczególnie, że jest to idealnie gładka płyta oklejona

zielonym sukniem. Wyobraźcie sobie bramę w samym środku płyty. Każdy, kto

potrafi to sobie wyobrazić, będzie wiedział wszystko o rajy i zrozumie tych,

którzy

są spragnieni różnicy pomiędzy wewnątrz i na zewnątrz.

* * *

Mimo wszystkich minusów pobytu tutaj zdarzają się osoby, które nie

pragną nowych narodzin. Ja jestem jedną z nich. Nie byłam na Ziemi od roku

pańskiego 1587, kiedy to, znajdując się w ciele niejakiej Walpurgii Hausmannin,

zostałam stracona w austriackiej wiosce Dillingen. Oskarżono moje ciało o

zbrodnię czarnoksięstwa. Kiedy usłyszałam wyrok, zapragnęłam jak najprędzej

wydostać się z tego ciała. Miałam je i tak opuścić, gdyż przez osiemdziesiąt pięć lat mocno je zużyłam. Musiałam w nim jednak pozostać, kiedy je przywiązywano okrakiem na koźle do piłowania drzewa, ustawiono koziół na wozie i wieziono moje biedne stare ciało do ratusza. Tam rozszarpano mi prawe ramię i lewą pierś rozpalonymi do czerwoności obcęgami. Potem zawieszono mnie do bramy miejskiej, gdzie rozszarpano mi prawą pierś. Potem zabrano mnie przed bramę szpitala, gdzie szarpano mi lewe ramię. A potem zawieszono mnie na rynek. Wobec faktu, iż byłam przez sześćdziesiąt dwa lata licencjonowaną i zaprzysiężoną położną, a mimo to postępowałam tak podle, obcięto mi prawą rękę. Wreszcie przywiązano mnie do słupa, spalono żywcem i prochy wrzucono do pobliskiego strumienia.

Jak już mówiłam, od tego czasu nie wracałam na Ziemię.

* * *

Zawsze było tak, że nie chcieli wracać na starą dobrą Ziemię ci, których ciała poddawano powolnym i wymyślnym torturom: fakt, który powinien uradować wielce zwolenników kary śmierci i innych kar cielesnych tak odstraszających od zbrodni. Jednak ostatnio zaczęło się dziać coś dziwnego. Zaczęliśmy zyskiwać stronników wśród ludzi, którym, według naszych standardów cierpienia, nie przydarzyło się na Ziemi nic szczególnego. Ledwo sobie otarli skórę tam na dole, a przybywają całymi wystraszonymi batalionami, wykrzykując: "Nigdy więcej! Nigdy więcej!".

Co to za ludzie? – zadaję sobie pytanie. – Jakaż to niewyobrażalnie okropna rzecz im się przydarzyła? I czuję, że aby uzyskać właściwą odpowiedź, będę musiała przestać być umarłą. Będę musiała urodzić się na nowo.

Mówi się, że mam zostać wysłana tam, gdzie mieszka teraz dusza Ryszarda Lwie Serce, do Rosewater w stanie Indiana.

Zadzwoił czarny telefon Eliota.

– Tu Fundacja Rosewatera. Co możemy dla pani zrobić?

– Panie Rosewater – powiedziała kobieta przez ściśnięte gardło – mówi Stella Wakeby. – Oddychała ciężko, oczekując reakcji na swoje oświadczenie.

– Tak? Dzień dobry! – powiedział Eliot z entuzjazmem. – Bardzo się cieszę, że pani dzwoni. Cóż za miła niespodzianka! – Nie miał pojęcia, kto to jest Stella Wakeby.

– Panie Rosewater... ja... nigdy pana o nic nie prosiłam, prawda?

– Nie, nigdy.

– Wielu ludzi, którzy mają znacznie mniej kłopotów ode mnie, stale zawraca panu głowę.

– Nie uważam, aby mi ktokolwiek zawracał głowę. Ale to prawda, że niektóre osoby widuję częściej niż inne. – Miał tyle interesów z Dianą Moon Glampers na przykład, że przesłał je w ogóle księgować. – Często myślałem, jak pani musi być ciężko – strzelił na chybił trafił.

– Oh, panie Rosewater, gdyby pan wiedział. – I wybuchnęła płaczem. – Zawsze mówiliśmy, że jesteśmy ludźmi senatora Rosewatera, a nie Eliota Rosewatera!

– No już dobrze, dobrze!

– Zawsze staliśmy na własnych nogach, w każdej sytuacji. Wiele razy, mijając pana na ulicy, odwracałam się w drugą stronę. Nie dlatego, żebym miała coś przeciw-

ko panu, tylko żeby pan wiedział, że Wakeby'owie nie potrzebują pomocy.

– Rozumiałem to... i zawsze z radością przyjmowałem tę dobrą wiadomość. –

Eliot nie przypominał sobie żadnej kobiety odwracającej głowę na jego widok, a wychodził na miasto tak rzadko, że nie mógł dostarczać przewrażliwionej Stelli zbyt

wiele okazji do demonstracji. Przypuszczał, słusznie zresztą, iż żyła w

straszliwej
biedzie przy jakiejś bocznej uliczce, rzadko pokazując się publicznie w swoich
łachmanach, i tylko wyobrażała sobie, że jest kimś także w mieście i że wszyscy
ją
znają. Jeżeli zdarzyło jej się raz minąć Eliota na ulicy, co było możliwe, ten
jedyńcy raz
zmienił się w jej wyobraźni w tysiąc spotkań i każde z nich miało swoje odrębne
dramatyczne oświetlenie.

- Nie mogłam dziś zasnąć, panie Rosewater, więc wyszłam się przejść.
- Na pewno nie po raz pierwszy.
- O, Boże, panie Rosewater: przy pełni, o nowiu i bez księżyca.
- A dzisiaj deszcz.
- Ja lubię deszcz.
- Ja też.
- I u sąsiadów paliło się światło.
- Dzięki Bogu, że dał nam sąsiadów.
- Więc zapukałam do drzwi i oni mnie wpuścili. I powiedziałam, że nie
wytrzymam już dłużej bez czyjejs pomocy. Jeżeli nikt mi nie pomoże, nie chcę żyć
ani
jednego dnia dłużej. Nie potrafię już być człowiekiem senatora Rosewatera!
- Niech się pani uspokoi...
- Więc sąsiedzi wsadzili mnie do auta, podwieźli do najbliższego telefonu i
powiedzieli: "Zadzwoń do Eliota. On ci pomoże". I tak zrobiłam.
- Czy chciałaby pani przyjść do mnie zaraz, czy może pani przyjść jutro?
- Jutro. - Zabrzmiało to prawie jak pytanie.
- Wspaniale! Kiedy będzie pani wygodnie, moja droga.
- Jutro.
- Jutro, moja droga. Zapowiada się piękny dzień.
- Bogu dzięki.
- Dobrze już, dobrze.
- Oh, panie Rosewater, jak to dobrze, że pan jest!

* * *

Eliot odłożył słuchawkę. Natychmiast odezwał się dzwonek.
- Tu Fundacja Rosewatera. Co możemy dla pana zrobić?
- Mógłbyś zacząć od pójścia do fryzjera i kupienia sobie nowego ubrania.
- Co?
- Eliot...
- Słucham?
- Nie poznajesz nawet mojego głosu?
- Ja... bardzo mi przykro...
- Mówi twój cholerny tatuś!

* * *

- O rany, tato! - roztkliwił się Eliot, uradowany, zaskoczony, pełen miłości. -
Jak to miło usłyszeć twój głos.
- Nawet go nie poznałeś.
- Przepraszam, ale rozumiesz, telefon się urywa.
- Dzwonią, co?
- Sam wiesz.
- Obawiam się, że tak.
- Hej, a co u ciebie?
- Doskonale! - powiedział senator z jawnym sarkazmem. - Nie może być
lepiej!
- Miło mi to słyszeć.
Senator zaklął.

- O co chodzi, tato?
- Nie rozmawiaj ze mną jak z jakimś alkoholikiem! Z jakimś alfonsiakiem! Z jakąś niedorozwiniętą praczką!
- A co ja takiego powiedziałem?
- Cały twój cholerny ton!
- Przepraszam.
- Ja nie szukam kogoś, kto za mnie zapłaci ostatnią ratę za skuter. - Eliot rzeczywiście miał kiedyś takiego klienta. Dwa dni później klient zabił siebie i narzeczoną w Bloomington.
- Wiem.
- On wie - powiedział senator do kogoś na tamtym końcu przewodu.
- Masz taki gniewny i nieszczęśliwy głos, ojcze. - Eliot był autentycznie przejęty.
- To przejdzie.
- Masz jakiś szczególny powód?
- Drobiazgi, Eliot, drobiazgi. Na przykład to, że rodzina Rosewaterów ginie bezpowrotnie.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Nie mów mi, że jesteś w ciąży.
- A ci z Rhode Island?
- Dziękuję ci za pocieszenie. Zupełnie o nich zapomniałem.
- Słyszę w twoim głosie ironię.
- To musi być coś w telefonie. Czy masz dla mnie jakąś dobrą nowinę, Eliot? Podnieś na duchu starego pryka.
- Mary Moody urodziła bliźnięta.
- Wspaniale! Znakomicie! Dobrze, że choć inni mają dzieci. A jakie imiona wybrała panna Moody dla tych nowych małych obywateli?
- Foxcroft i Melodia.
- * * *
- Eliot...
- Słucham?
- Chcę, żebyś się sobie dobrze przyjrzał.
- Eliot posłusznie obejrzał się najlepiej, jak tylko mógł bez lustra.
- Przyglądam się - powiedział.
- A teraz spytaj sam siebie: "Czy ja śnię? Jak to w ogóle możliwe, że znalazłem się w tak godnym pożalowania stanie?"
- Znowu posłusznie i bez śladu wydziwiania zadał sobie na głos pytanie: "Czy ja śnię? Jak to w ogóle możliwe, że znalazłem się w tak godnym pożalowania stanie?"
- No? I jaka będzie odpowiedź?
- To nie jest sen - doniósł Eliot.
- Czy nie wolałbyś, żeby to był sen?
- I jaki byłbym po przebudzeniu?
- Taki, jaki możesz być. Taki, jaki byłeś!
- Chcesz, abym znowu zaczął kupować obrazy dla muzeów? Czy byłbyś bardziej dumny ze mnie, gdybym przeznaczył dwa i pół miliona dolarów na zakup obrazu Rembrandta pod tytułem "Arystoteles kontemplujący popiersie Homera"?
- Nie sprowadzaj dyskusji do absurdu.
- Nie ja to robię. Miej pretensję do ludzi, którzy płacą takie pieniądze za taki obraz. Pokazałem reprodukcję Dianie Moon Glampers, a ona powiedziała: "Może jestem głupia, panie Rosewater, ale ja bym tego nie powiesiła w mieszkaniu".
- Eliot...
- Tak, ojcze?
- Zastanów się, co by o tobie teraz pomyśleli w Harvardzie.

- Nie muszę się zastanawiać. Ja wiem.

- Tak?

- Szaleją za mną. Powinieneś zobaczyć listy, które od nich dostają.

Senator pokiwał głową z rezygnacją, wiedząc, że ten strzał z Harvardem był nie przemyślany, wiedząc, że syn powiedział prawdę o tych pełnych uznania listach z Harvardu.

- Ostatecznie - ciągnął Eliot - na litość boską, dawałem tym facetom po trzysta tysięcy dolarów rocznie, punktualnie jak zegarek, od dnia powstania Fundacji.

Szkoda, że nie możesz zobaczyć tych listów.

* * *

- Eliot...

- Słucham, ojczy...

- Dochodzimy do szczytu ironii, do historycznego momentu, kiedy to senator Rosewater z Indiany pyta własnego syna: "Czy jesteś lub kiedykolwiek byłeś komunistą?".

- Przychodziły mi do głowy myśli, które wielu pewnie nazwałoby komunistycznymi - powiedział Eliot bezpretensjonalnie - ale, na litość boską, tato,

każdy, kto pracuje z biednymi, musi się od czasu do czasu otrzeć o Karola Marksa albo o Biblię, jeśli o to chodzi. Uważam, że to straszne, do jakiego stopnia ludzie nie

dzielią się z innymi w tym kraju. Myślę, iż rząd, który pozwala, aby jedno dziecko,

rodząc się, posiadało kawał kraju tak jak ja, podczas gdy inne rodzą się bez żadnej

własności, jest bez serca. Wydaje mi się, że rząd mógłby przynajmniej podzielić rzeczy

względnie równo pomiędzy niemowlętą. Życie jest wystarczająco ciężkie bez tego, aby

ludzie musieli zadręczać się z powodu pieniędzy. W tym kraju jest dość dla wszystkich, gdybyśmy tylko bardziej dzielili się z innymi.

- A czy pomyślałeś, jaki to by miało wpływ na inicjatywę?

- Masz na myśli strach przed tym, że nie będzie się miało dość do jedzenia, na opłacenie lekarza, na zapewnienie swojej rodzinie ładnej odzieży, bezpiecznego, przytulnego i wygodnego mieszkania, przyzwoitego wykształcenia i trochę rozrywki?

Masz na myśli wstyd, że się nie wie, gdzie jest Rzeka Forsy?

- Jaka "rzeka"?

- Rzeka Forsy, która niesie bogactwo narodu. My urodziliśmy się nad jej brzegiem, podobnie jak większość tych miernot, z którymi rośliśmy, chodziliśmy do

prywatnych szkół, żeglowaliśmy i grywaliśmy w tenisa. Możemy do woli żłopać sobie z

tej potężnej rzeki. Bierzemy nawet lekcje żłopania, aby żłopać skuteczniej.

- Jakie znów lekcje żłopania?

- Od prawników! Od konsultantów podatkowych! Od doradców handlowych!

Rodzimy się tak blisko rzeki, że możemy się pławić w bogactwie, my i nasze potomstwo do dziesiątego pokolenia, używając po prostu chochli i wiader. Mimo to zatrudniamy jeszcze ekspertów, aby uczyli nas korzystać z akweduktów, tam, zbiorników, syfonów i śrub Archimedesesa. Z kolei bogacą się nasi nauczyciele i z kolei

ich dzieci opłacają lekcje żłopania.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że żłopię.

Eliot był w tym momencie bezwzględny, gdyż w podnieceniu myślał kategoriami abstrakcyjnymi.

- Urodzeni żłopacze nigdy nie zdają sobie z tego sprawy. I nie mają pojęcia, o co chodzi biedakom, kiedy ci mówią, że słyszą odgłos żłopania. Nie wiedzą nawet, co

to jest, gdy ktoś wspomni o Rzece Forsy. I dlatego, kiedy ktoś z nas twierdzi, że coś

takiego jak Rzeka Forsy nie istnieje, myślę sobie: "Mój Boże, jak można mówić coś

równie nieuczciwego i nietaktownego".

* * *

- Czuję się poruszony, słysząc, jak mówisz o takcie - powiedział senator zjadliwie.

- Chciałbyś, żebym znowu zaczął chodzić do opery? Chcesz, żebym zbudował wspaniały dom we wspaniałej miejscowości i żeglował, żeglował, żeglował?

- Kogo obchodzi, co ja chcę?

- Przyznaję, że dom, w którym mieszkam, to nie jest Tadź Mahal. Ale czy powinno być inaczej, skoro inni Amerykanie żyją w tak plugawych warunkach?

- Może nie żyliby w tak plugawych warunkach, gdyby przestali wierzyć w

głupoty w rodzaju Rzeki Forsy i wzięli się do pracy.

- Jeżeli Rzeka Forsy nie istnieje, to w jaki sposób zarobiłem dzisiaj dziesięć tysięcy dolarów, wylegując się, drapiąc i od czasu do czasu podnosząc słuchawkę telefonu?

- Wciąż jeszcze Amerykanin może samodzielnie dorobić się fortuny.

- Jasne, pod warunkiem, że ktoś mu powie w odpowiednio wczesnym wieku, iż Rzeka Forsy istnieje, że przestrzeganie zasad nie ma tu nic do rzeczy, że

powinien

wybić sobie z głowy ciężką pracę, gromadzenie zasług, uczciwość i wszystkie te bzdury

i żeby szedł tam, gdzie płynie rzeka. "Idź tam, gdzie są bogaci i możni -

poradziłbym

mu - i ucz się od nich. Można do nich trafić pochlebstwem lub strachem. Podliż

im

się dobrze albo dobrze ich nastraszyć, a pewnej bezksiężycowej nocy przyłożą palec

do

warg, ostrzegając cię, abyś nawet nie pisnął, i zaprowadzą cię w ciemnościach do

najszerzej, najgłębszej rzeki bogactwa, jaką ludzkie oko kiedykolwiek oglądało.

Wskażą ci twoje miejsce na brzegu, dadzą własne wiadro. Żłop sobie, ile dusza

zapraśnie, ale staraj się nie robić przy tym zbyt wiele hałasu. Jakiś biedak

mógłby

usłyszeć".

Senator zaklął.

- Dlaczego tak mówisz, tato? - spytał łagodnie Eliot.

Senator zaklął znowu.

- Chciałbym, abyśmy mogli się obyć bez tej zjadliwości, bez tego napięcia w każdej naszej rozmowie. Ja tak cię kocham.

Odpowiedzią były nowe przekleństwa, tym ostrzejsze, że senator był bliski łez.

- Tato, dlaczego przeklinasz, kiedy mówię, że cię kocham?

- Jesteś jak człowiek stojący na rogu ulicy z rolką papieru toaletowego, na

którym jest co kawałek wypisane słowo: " Kocham". I każdy przechodzień, znajomy

czy nieznajomy, dostaje swój kawałek. Ja nie chcę swojej porcji papieru

toaletowego.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że to jest papier toaletowy.

- Dopóki nie przestaniesz pić, nie będziesz sobie zdawał sprawy z niczego! -

krzyknął senator załamującym się głosem. – Zaraz oddam słuchawkę twojej żonie. Czy zdajesz sobie sprawę, że ją straciłeś? Czy zdajesz sobie sprawę, jak wspaniałą miałaś żonę?

* * *

– Eliot...? – Głos Sylwii był zwiewny i spłoszony. Dziewczyna ważyła nie więcej niż jej ślubny welon.

– Sylwia... – Odpowiedź była oficjalna, męska, spokojna. Eliot pisał do niej tysiące listów i telefonował, telefonował. Aż do dzisiaj bez skutku.

– Ja... ja wiem, że zachowywałam się brzydko.

– Dopóki jest to zachowanie ludzkie...

– Czy mogę coś poradzić na to, że jestem istotą ludzką?

– Nie.

– Czy w ogóle ktoś może na to coś poradzić?

– Nie znam nikogo takiego.

* * *

– Eliot...?

– Słucham.

– Jak tam wszyscy?

– Tutaj?

– Wszędzie.

– Doskonale.

– Cieszę się.

* * *

– Jeżeli... jeżeli spytam o kogoś konkretnego, rozplączę się.

– To nie pytaj.

– Ktoś ma dziecko?

– Nie pytaj.

– Czy nie mówiłeś ojcu, że ktoś ma dziecko?

– Nie pytaj.

– Kto ma dziecko, Eliot? Chcę wiedzieć.

– O, Chryste, nie pytaj.

– Chcę wiedzieć, chcę wiedzieć!

– Mary Moody.

– Bliźnięta?

– Oczywiście. I czerwonego kura niewątpliwie. – Eliot dowiedział tutaj, że nie ma złudzeń co do ludzi, którym poświęcał swoje życie. Rodzina Moody miała długą tradycję nie tylko rodzenia bliźniąt, lecz także podpaleń.

– Czy są miłe?

– Nie widziałem ich. Zawsze są miłe – dodał z rozdrażnieniem, którego przyczynę oboje doskonale rozumieli.

– Czy posłałeś im już prezenty?

– Skąd ta pewność, że nadal posyłam prezenty? – Była to aluzja do dawnego zwyczaju Eliota, aby każdemu dziecku przychodzącemu na świat w okręgu Rosewater fundować jedną akcję koncernu IBM.

– Przestałeś to robić?

– Robię to nadal. – Eliot sprawiał wrażenie, jakby mu to już wychodziło bokiem.

– Mówisz tak, jakbyś był zmęczony.

– To musi być coś w telefonie.

– Jakie masz jeszcze wiadomości?

– Żona rozwodzi się ze mną ze względów zdrowotnych.

– Czy nie moglibyśmy przeskoczyć tej sprawy? – Nie była to sugestia impertynencka, tylko tragiczna. Tragedia nie podlegała dyskusji.

- No to hop! - powiedział Eliot bezbarwnym głosem.

* * *

Eliot pociągnął łyk Southern Comfort, ale nie podniosło go to na duchu.

Zakasłał i jego ojciec kaszlnął w tej samej chwili. Świadkiem tego zbiegu okoliczności,

że ojciec i syn dostroili się nieświadomie - pełne rozpaczy kaszlnięcie za kaszlnięciem

- była nie tylko Sylwia, lecz także Norman Mushari. Mushari wyśliznął się z salonu i

znalazł drugi aparat w gabinecie senatora. Słuchał z płonącymi uszami.

- Myśle... że powinnam się już pożegnać - powiedziała Sylwia przepraszająco.

Łzy spływały jej po policzkach.

- O tym powinien zdecydować twój lekarz.

- Przekaż wszystkim serdeczne pozdrowienia.

- Zrobię to.

- Powiedz im, że stale mi się śnią.

- Będą dumni, jak się dowiedzą.

- Pogratuluj Mary Moody bliźniąt.

- Zrobię to. Będę je jutro chrzczył.

- Jak to chrzczył?

To było coś nowego. Mushari aż przewrócił oczami.

- Ja... nie wiedziałam, że robisz też takie rzeczy - powiedziała Sylwia ostrożnie.

Mushari był uradowany, słysząc w jej głosie niepokój. Znaczyło to, że szaleństwo Eliota nie było ustabilizowane, że szykowało się do wielkiego skoku naprzód, w dziedzinę religii.

- Nie mogłem się od tego wykręcić - mówił Eliot. - Uparła się i nikt inny nie chciał się tego podjąć.

- Ach, tak. - Sylwia odetchnęła.

Mushari nie poczuł się rozczarowany. Chrzest będzie w sądzie doskonałym dowodem, że Eliot uważa się za mesjasza.

- Powiedziałem jej - mówił dalej Eliot, ale zaopatrzonej w zapadki umysł

Mushariego wyeliminował to świadectwo - że nie można mnie w żaden sposób uznać za osobę religijną. Powiedziałem jej, że nic, co zrobię, nie będzie się liczyć w niebie,

ale upierała się nadal.

- Więc co zrobisz? I co powiesz?

- Nie wiem jeszcze. - Eliot, zafascynowany problemem, zapomniał na chwilę o swoim smutku i wyczerpaniu. Na jego wargach zaigrał uśmiezek przekonania. -

Pójdę do tej jej budy. Pokropię wodą te dzieciaki i powiem: "Cześć, dzieciaki.

Witajcie

na Ziemi. Jest okrągła, mokra i zatłoczona. Latem jest tu gorąco, a zimą zimno.

W

najlepszym razie, dzieciaki, macie tu sto lat życia. Znam tylko jedno prawo:

Musicie być grzeczne, do cholery".

8

Tego wieczoru uzgodniono, że Eliot i Sylwia spotkają się na ostateczne pożegnanie za trzy dni w Sali Błękitnej hotelu Marott w Indianapolis. Było to ogromnie niebezpieczne przedsięwzięcie dla dwojga tak roztrzęsionych i kochających

się ludzi. Porozumienie osiągnięto wśród chaosu pomruków, szeptów i cichych jęków

tęsknoty, jakie zakończyły ich rozmowę telefoniczną.

- Eliot, czy powinniśmy to robić?

- Myślę, że tak.
- Że tak - powtórzyła.
- Czy nie czujesz, że... że musimy?
- Tak.
- Takie jest życie.
- Sylwia pokiwała głową.
- Przekłeta miłość, przekłeta miłość.
- To będzie miłe spotkanie. Obiecuję.
- Ja też.
- Kupię nowy garnitur.
- Nie rób tego, proszę; nie przez wzgląd na mnie.
- No to przez wzgląd na Salę Błękitną.
- Dobranoc.
- Kocham cię, Sylwio. Dobranoc.
- Cisza.
- Dobranoc, Eliot.
- Kocham cię.
- Dobranoc. Boję się. Dobranoc.

* * *

Ostatnia wymiana zdań sprawiła, iż Norman Mushari wśród niewesołych myśli odkładał słuchawkę telefonu, z którego podsłuchiwał. Dla jego planów niezwykle istotne było, aby Sylwia nie zaszła w ciążę z Eliotem. Dziecko w jej łonie miałoby niepodważalne prawa do kontrolowania Fundacji, niezależnie od tego, czy Eliot był szaleńcem, czy nie. Marzeniem Mushariego zaś było, aby prawa te przeszły na dalekiego kuzyna Eliota, Freda Rosewatera z Pisquontuit w stanie Rhode Island. Fred nic o tym nie wiedział, nie był nawet pewien, czy jest spokrewniony z Rosewaterami z Indiany. Rosewaterowie z Indiany wiedzieli o nim tylko dlatego, że McAllister, Robjent, Reed i McGee, solidna firma, wynajęli specjalistę od genealogii oraz detektywa, aby stwierdzić, kto z ludzi noszących nazwisko Rosewater jest ich najbliższym krewnym. Teczka Freda w tajnych archiwach firmy prawniczej była gruba (podobnie jak Fred), ale materiały zbierano dyskretnie. Fred nawet nie podejrzewał, że sława i bogactwo depczą mu po piętach.

* * *

I tak rano, następnego dnia po tym, jak Eliot i Sylwia postanowili się spotkać, Fred czuł się jak przeciętny albo gorzej niż przeciętny człowiek bez widoków na przyszłość. Wyszedł z drogerii Pisquontuit, zmrużył oczy od słońca, trzy razy głęboko odetchnął i wszedł do sklepiku z prasą o nazwie Pisquontuit. Fred był otyłym mężczyzną, opitym kawą, ociężałym od drożdżowych ciastek. Nieszczęsny Fred spędzał ranki, szukając klientów na ubezpieczenie w drogerii, która służyła też za kawiarnię bogatym, i w sklepiku z gazetami, który służył za kawiarnię ubogim. Fred był jedynym człowiekiem w miasteczku, który pijał kawę w obu miejscach. Oparł brzuch o ladę w sklepiku z prasą i uśmiechnął się promiennie do stolarza i dwóch hydraulików, którzy tam siedzieli. Potem wdrapał się na stół i pod jego wielkim zadkiem poduszka wydała się nie większa od landrynki.

- Kawa i drożdżówka, panie Rosewater? – spytała niezbyt czysta, niedorozwinięta dziewczyna za ladą.

- Kawa i drożdżówka brzmi dobrze – zgodził się Fred z entuzjazmem. – W taki ranek jak dzisiaj, na Boga, kawa i drożdżówka to jest to.

* * *

W sprawie nazwy Pisuontuit: Był kiedyś wódz Indian o takim imieniu.

Pisuontuit ubierał się w skórzany fartuszek, żywił się, podobnie jak jego plemię, małżami, malinami i głógiem. Rolnictwo było czymś nowym dla Pisuontuita.

Podobnie zresztą jak tomahawk, pióropusze oraz łuk i strzały.

Najlepszą nowinką był jednak alkohol. Pisuontuit zapił się na śmierć w roku 1638.

Cztery tysiące księżyców później wioskę, która unieśmiertelniła jego imię, zamieszkiwało dwieście bardzo bogatych rodzin i tysiąc zwykłych rodzin, których ojcowie służyli tak czy inaczej tym bogatym.

Ludzie prowadzili tu żywot prawie bez wyjątku nędzny, pospolity, wyprany z mądrości, dowcipu, pomysłowości: równie bezsensowny i nieszczęśliwy jak ludzie z Rosewater w stanie Indiana. Odziedziczone miliony nie pomagały. Podobnie jak nauka i sztuka.

* * *

Fred Rosewater był dobrym żeglarzem i ukończył uniwersytet w Princeton, przyjmowano go więc w bogatych domach, mimo iż, jak na Pisuontuit, był okropnie biedny. Jego dom, mały, biedny, kryty brązowym gontem seryjny produkt miejscowych cieśli, stał o milę od lśniącego nadmorskiego bulwaru.

Biedny Fred tyrał jak diabli na te parę dolarów, które od czasu do czasu przynosił do domu. Teraz też pracował, wdzięcząc się do stolarza i dwóch hydraulików

w sklepie z gazetami. Trzej robotnicy czytali słynące ze skandali czasopismo:

“Amerykański Detektyw – Najbardziej sensacyjna gazeta świata”, tygodnik specjalizujący się w morderstwach, seksie, zwierzętach domowych i dzieciach: zwykle

dzieciach okaleczonych. “Detektyw” był dla sklepiku z gazetami tym, czym

“Dziennik

Wall Street” dla drogerii.

- Rozwijacie się duchowo, jak widzę – zauważył Fred. Powiedział to tonem

lekkim jak ciastko z pianką.

Robotnicy otaczali Freda lęklwym szacunkiem. Starali się odnosić cynicznie do tego, co sprzedawał, ale w głębi serca wiedzieli, że oferuje im jedyny dostępny

sposób szybkiego wzbogacenia się: ubezpieczyć się i czym prędzej umrzeć. Było ponurym sekretem Freda, że bez tych ludzi, dających się skusić taką propozycją, nie miałby ani

grosza. Wszystkich transakcji dokonywał wśród robotników. Jego zażyłość z maharadzami od jachtów z sąsiedztwa była blefem, lipą. Biedakom imponowała świadomość, że Fred sprzedaje polisy również sprytnym bogaczom, ale była to nieprawda. Plany spadkowe bogaczy sporządzano w bankach i firmach prawniczych daleko, daleko stąd.

- Co nowego w polityce zagranicznej? – spytał Fred. Był to kolejny dowcip na temat “Amerykańskiego Detektywa”.

Stolarz pokazał pierwszą stronę Fredowi. Wypełniał ją tytuł i zdjęcie ładnej młodej kobiety. Tytuł głosił:

SZUKAM MĘŻCZYZNY, Z KTÓRYM
MOGĘ MIEĆ GENIALNE DZIECKO!

Dziewczyna była tancerką. Nazywała się Randy Herald.

- Z przyjemnością pomógłbym tej damie - rzucił Fred żartobliwie.
 - Mój Boże - powiedział stolarz, przekrzywiając głowę i szczerząc zęby - a kto by nie pomógł?
 - Myśli pan, że mówiłem poważnie? - Fred spojrzał z pogardą na Randy Herald. - Nie zamieniłbym swojej ślubnej na dwadzieścia tysięcy takich jak ta! - Jego ckliwość była wyrachowana. - I nie myślę, żeby któryś z was zamienił na nią swoją ślubną.
 Fred nazywał "ślubną" każdą kobietę, której mąż był potencjalnym nabywcą polisy.
 - Znam wasze ślubne - kontynuował - i musielibyście zwariować, żeby je oddać. Wszyscy czterej, jak tu siedzimy, mieliśmy szczęście i lepiej o tym nie zapominajmy. Mamy, panowie, cztery wspaniałe kobiety i powinniśmy od czasu do czasu przystanąć i podziękować za nie Bogu.
 Fred zamieszał kawę.
 - Dobrze wiem, że bez żony byłbym niczym. - Żona Freda nazywała się Karolina i była matką brzydkiego, tłustego chłopczyka, biednego małego Franklina Rosewatera. Karolina zaczęła ostatnio umawiać się na zakrapiane alkoholem lunche z bogatą lesbijką niejaką Amanitą Buntline. - Zrobiłem dla niej wszystko, co mogłem - oświadczył Fred. - Bóg mi świadkiem, że nie jest to zbyt wiele. Dla niej nic nie byłoby za wiele. - Naprawdę czuł, jak mu się ściska gardło. Wiedział, że gdyby nie ten autentyczny ucisk w gardle, to nigdy nie sprzedałby żadnej polisy. - Jest to coś, co nawet biedny człowiek może zrobić dla swojej ślubnej.

Fred przewrócił oczami z rozmarzeniem. Z chwilą śmierci wart był czterdzieści dwa tysiące dolarów.

* * *

Freda często oczywiście pytano, czy jest krewnym słynnego senatora Rosewatera. W swojej skromności i nieświadomości odpowiadał zwykle coś w rodzaju: "Może gdzieś, jakoś... dawno, dawno temu". Podobnie jak większość Amerykanów o niewielkich dochodach, Fred nie wiedział nic o swoich przodkach. A oto, czego mógłby się dowiedzieć:

Gałąz Rosewaterów z Rhode Island wywodziła się od George'a Rosewatera, młodszego brata niesławnego Noaha. Kiedy wybuchła wojna domowa, George zebrał kompanię strzelców z Indiany i pomaszerował z nimi, by przyłączyć się do niemal legendarnej Brygady Czarnych Kapeluszy. Pod komendą George'a służył też zastępca Noaha, wioskowy głupek z Rosewater, Fletcher Moon. Moon został posiekany na befsztyki przez artylerię Stonewalla Jacksona w drugiej bitwie nad Bull Run. Podczas odwrotu w błocie ku Aleksandrii kapitan Rosewater znalazł chwilę, aby napisać do swego brata Noaha list następującej treści:

Fletcher Moon ze swej strony dotrzymał umowy do końca. Gdybyś miał pretensję o to, że znaczna suma, jaką w niego zainwestowałeś, została tak szybko zużyta, proponuję, abyś napisał do generała Pope'a i zażądał zwrotu części pieniędzy. Szkoda, że Cię tu nie ma.

George
 Na co Noah odpisał:
 Przykro mi z powodu Fletchera Moona, ale, jak powiada Pismo święte: "Umowa jest umową". W załączeniu przysyłam Ci do podpisu kilka dokumentów handlowych. Upoważniają mnie one do zarządzania Twoją połową farmy i

wytwórni pił do czasu Twego powrotu, etc. Znosimy tu wielkie wyrzeczenia. Wszystko idzie dla wojska. Słowo podziękowania od żołnierzy byłoby bardzo mile widziane.

Noah

Do czasu bitwy pod Antietam George Rosewater awansował na podpułkownika i dziwnym trafem stracił małe palce u obu rąk. Pod Antietam zabito pod nim konia, nacierał dalej pieszo, wyrwał sztandar pułkowy z rąk umierającego żołnierza, by stwierdzić, że trzyma tylko potrzaskane drzewce, gdyż konfederacki szrapnel zdarł z niego materiał. Atakując dalej, zabił człowieka drzewcem. W chwili, gdy to robił, jeden z jego ludzi wypalił z muszkietu, nie wyjąwszy uprzednio stempla z lufy. Wybuch oślepił pułkownika Rosewatera na resztę życia.

* * *

George wrócił do Rosewater jako niewidomy honorowy generał brygady. Wszystkich zadziwiał jego dobry humor, który nie pogorszył się ani trochę, kiedy bankierzy i prawnicy, godzący się uprzejmie zastąpić mu oczy, wyjaśnili, że nie ma złamanego centa, że wszystko scedował na Noaha. Pech chciał, że Noah był nieobecny i nie mógł osobiście wyjaśnić George'owi, o co chodzi. Interesy wymagały, aby większość czasu spędzał w Waszyngtonie, Nowym Jorku i Filadelfii. – Taak – powiedział George, nie przestając się uśmiechać, uśmiechać, uśmiechać – “Biznes jest biznes”, jak powiada Pismo święte, nie pozostawiając co do tego żadnych wątpliwości. Prawnicy i bankierzy poczuli się zawiedzeni, gdyż George nie wyglądał na człowieka, który wyciągnął jakąś naukę z tego, co powinno się stać ważnym doświadczeniem w życiu każdego człowieka. Pewien prawnik, który czekał, aż George wybuchnie gniewem, aby mu wskazać morał całej historii, nie mógł się powstrzymać i powiedział swoje, mimo iż George wybuchnął jedynie śmiechem: “Należy zawsze czytać to, co się podpisuje”. – Może pan być pewien – powiedział George – że odtąd będę tak robił.

George Rosewater wyraźnie nie był całkiem w porządku, kiedy wrócił z wojny, bo żaden normalny człowiek, który stracił wzrok i ojcowiznę, nie śmiałby się tak często. A jeszcze człowiek przy zdrowych zmysłach, zwłaszcza gdyby był generałem i bohaterem, podjąłby energiczne kroki prawne celem zmuszenia brata do zwrócenia zagarniętego majątku. George tymczasem nie wszczywał postępowania. Nie czekał, aż Noah wróci do Rosewater, i nie pojechał szukać go na wschodzie. Faktem jest, że on i

Noah mieli się już nigdy nie spotkać ani nie komunikować.

W paradnym mundurze generała odwiedził wszystkie domy w okręgu Rosewater, które oddały mu pod komendę swoich chłopców, chwając wszystkich, oplakując całym sercem okaleczonych i zabitych. W tym czasie wznoszono z cegły pałacyk Naoaha Rosewatera. Pewnego ranka robotnicy znaleźli przybity do drzwi frontowych mundur generała brygady, jakby to była skóra zwierzęca przybita na drzwiach stodoły do suszenia.

Z punktu widzenia okręgu Rosewater, George Rosewater zniknął na zawsze.

* * *

George ruszył jak włóczęga na wschód nie po to, by odnaleźć i zabić brata, ale żeby szukać pracy w Providence, w stanie Rhode Island. Dowiedział się, że otwarto tam fabrykę szczotek. Miała zatrudniać ociemniałych weteranów wojsk Unii. Wiadomość okazała się prawdziwa. Była taka fabryka, założona przez Castora Buntline'a, który sam nie był ani ociemniałym, ani weteranem. Buntline słusznie przewidział, że ociemniali weterani będą bardzo uległymi pracownikami, że sam przejdzie do historii jako humanitarysta i że żaden patriota Północy, w każdym razie przez szereg lat po wojnie, nie kupi innej szczotki jak Płomień Unii – Szczotki Buntline'a. Rozporządzając zyskami ze szczotek, Castor Buntline i jego cierpiący na ataki paraliżu syn Elihu zaczęli robić interesy na Południu i zostali królami tytoniowymi.

* * *

Gdy strudzony drogą, sympatyczny generał George Rosewater przybył do wytwórni szczotek, Castor Buntline napisał do Waszyngtonu, uzyskał potwierdzenie faktu, że George jest generałem, po czym zatrudnił go za bardzo dobrą pensję, robiąc z niego nadzorcę i nazywając jego imieniem miotełki wypuszczane przez zakłady. Na pewien czas ich nazwa firmowa przyjęła się nawet w języku potocznym. "Generał Rosewater" znaczyło tyle, co miotełka do ubrania. Ociemniałemu George'owi przydzielono czternastoletnią dziewczynkę, sierotkę nazwiskiem Faith Merrihue, która miała być jego oczami i posłańcem. Gdy ukończyła lat szesnaście, George się z nią ożenił. I George zrodził Abrahama, który został pastorem kongregacjonalistycznym. Abraham pojechał jako misjonarz do Konga, gdzie poznał i poślubił Lawinie Waters, córkę innego misjonarza, baptysty z Illinois. Tam w dżungli Abraham zrodził Merrihue. Lawinia zmarła przy jego porodzie. Mały Merrihue został wykarmiony mlekiem Bantu. Abraham z małym Merrihue wrócił do Rhode Island i przyjął propozycję objęcia parafii kongregacjonalistycznej w małej rybackiej wiosce Pisquontuit. Kupił tam domek, a wraz z nim sto dziesięć akrów suchotniczego, piaszczystego lasku. Działka miała kształt trójkąta. Podstawa tego trójkąta przebiegała wzdłuż wybrzeża zatoki Pisquontuit. Merihue, syn proboszcza, został handlarzem nieruchomościami i podzielił ziemię ojca na działki budowlane. Ożenił się z Cyntią Niles Rumfoord z dość bogatej rodziny, zainwestował większość jej pieniędzy w budowę chodników, kanałów i oświetlenie ulic. Dorobił się majątku, który stracił, a z nim także majątek żony, w 1929 roku. Strzelił sobie w łeb. Przedtem jednak zdążył spisać dzieje rodziny i zrodzić nieszczęsnego Freda, agenta ubezpieczeniowego.

* * *

Synom samobójców rzadko dobrze się powodzi. Co charakterystyczne, w ich odczuciu życie pozbawione jest jakiegoś nerwu.

Czują się zwykle bardziej wykorzeni niż inni ludzie, nawet w naszym znanym z poczucia wykorzenia społeczeństwie. Wykazują skrajny brak zainteresowania przeszłością i ze spokojną obojętnością oczekują przyszłości włącznie z tą okropną perspektywą: podejrzewają, że oni również skończą samobójstwem.

Ta charakterystyka niewątpliwie pasowała jak ulał do Freda. Uzupełniały ją jeszcze tiki, awersje i niepokoje właściwe tylko jego przypadkowi. Fred słyszał strzał,

od którego zginął ojciec, widział ojca z odwalonym kawałem głowy, z rękopisem historii rodziny na kolanach.

Miał ten rękopis, ale nigdy go nie przeczytał i nie chciał go czytać. Trzymał go na szafie z przetworami w piwnicy. Razem z trucizną na szczury.

* * *

Teraz nieszczęsny Fred Rosewater był w sklepiku z gazetami, gdzie nadal rozmawiał ze stolarzem i dwoma hydraulikami o "ślubnych".

- My, Ned - zwrócił się do stolarza - w każdym razie zrobiliśmy coś dla naszych ślubnych. - Stolarz dzięki Fredowi wart był po śmierci dwadzieścia tysięcy

dolarów. Nie przychodziło mu do głowy nic poza samobójstwem, kiedy nadejdzie termin umożliwiający podjęcie ubezpieczenia. - I nie musimy gromadzić oszczędności - dodał Fred. - Wszystko będzie załatwione automatycznie.

- Tak jest - przytaknął Ned.

Zapadło ciężkie milczenie. Dwaj nie ubezpieczeni hydraulicy, jeszcze przed chwilą weseli i rubaszni, teraz oklapli.

- Jednym pociągnięciem pióra - przypominał Fred stolarzowi - stworzyliśmy niemałe fortunki. Na tym właśnie polega cud ubezpieczenia na życie. To jedno możemy zrobić dla naszych ślubnych.

Hydraulicy zsunęli się ze stołków. Fred nie był rozczarowany, widząc, że odchodzą. Gdziekolwiek pójdą, zabiorą swoje sumienia, a poza tym jeszcze nie raz przyjdą do sklepiku z gazetami. A ilekroć przyjdą, zastaną tu Freda.

- Wie pan, co daje największe zadowolenie w moim zawodzie? - zwrócił się Fred do stolarza.

- Nie.

- Ta chwila, kiedy czyjaś ślubna przychodzi do mnie i mówi: "Sama nie wiem, jak ja i dzieci mamy panu dziękować za to, co pan dla nas zrobił. Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater".

9

Stolarz też wymknął się wreszcie Fredowi, pozostawiając na ladzie numer "Amerykańskiego Detektywa". Fred odegrał skomplikowaną pantomimę znudzenia, demonstrując wszystkim ewentualnym obserwatorom, iż jest człowiekiem, który nie ma absolutnie nic do czytania, sennym człowiekiem, może nawet skacowanym człowiekiem, który gotów jest sięgnąć po każdy kawałek zadrukowanego papieru.

- Aaaaa - ziewnął Fred, przeciągnął się, i przysunął sobie gazetę.

W sklepiku była poza nim tylko jedna osoba, dziewczyna za ladą.

- Ciekawe - zwrócił się do niej Fred - co za idioci czytają takie brednie.

Dziewczyna mogłaby zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że Fred sam czyta to od deski do deski co tydzień. Ale będąc idiotką, nie zauważała prawie nic wokół siebie.

- Nie wiem. Może mnie pan zrewidować - powiedziała.

Była to nieporozumiewająca propozycja.

* * *

Fred Rosewater, sapiąc z niedowierzania, otworzył gazetę na stronie z ogłoszeniami pod nagłówkiem "Tutaj jestem". Mężczyźni i kobiety wyznawali tu, że szukają miłości, małżeństwa i igraszek. Kosztowało ich to dolara czterdzieści

pięć

centów za wiersz.

Atrakcyjna, pełna życia, pracująca, lat 40, Żydówka – głosiło jedno z nich – wyższe wykształcenie, zamieszkała w Connecticut. Szuka zdecydowanego na małżeństwo Żyda z wyższym wykształceniem. Dzieci mile widziane.

"Investigator", skrzyńka L-577.

To było miłe ogłoszenie. Większość nie była tak miła.

Fryzjer z St. Louis, mężczyzna, nawiąże kontakt z mężczyznami w obrębie stanu Missouri. Wymiana zdjęć?

Nowoczesne małżeństwo od niedawna w Dallas pozna wyrafinowane pary zainteresowane wymianą szczerych fotografii. Zwrot zdjęć gwarantowany.

Nauczyciel szkoły średniej pilnie poszukuje surowej nauczycielki dobrych manier, najlepiej miłośniczki jazdy konnej, pochodzenia niemieckiego lub skandynawskiego. Gotów dojeżdżać wszędzie na terenie USA.

Nowojorczyk na stanowisku szuka towarzystwa na popołudnia. Tylko w dni robocze. Bez pruderii.

Na sąsiedniej stronie był duży kupon, na którym zapraszano czytelników do przesyłania swoich ogłoszeń. Fred nie był od tego.

* * *

Fred odwrócił stronę i zagłębił się w artykuł o morderstwie na tle seksualnym w Nebrasce w roku 1933. Ilustrowane to było odrażająco klinicznymi fotografiami, jakie powinien oglądać wyłącznie lekarz sądowy. Fred i podobno dziesięć milionów innych czytelników czytało o gwałcie i morderstwie sprzed trzydziestu lat.

Sprawy, o

których traktowała ta gazeta, miały charakter nieprzemijający. Lukrecja Borgia mogła

być sensacją na pierwszej stronie w dowolnej chwili. Prawdę mówiąc, tylko dzięki lekturze "Detektywa" Fred, który uczęszczał do Princeton zaledwie przez rok, dowiedział się o śmierci Sokratesa.

Do sklepu weszła trzynastoletnia dziewczynka i Fred odsunął gazetę. Była to Lila Buntline, córka przyjaciółki jego żony, wysokie, kościste stworzenie o końskiej

twarzy. Jej doskonale piękne zielone oczy były mocno podkrążone. Buzię miała pstrokatą od opalenizny, oparzeń, piegów i nowej różowej skóry. Była najbardziej zaciętą i najzręczniejszą żeglarką w tutejszym jachtklubie.

Lila spojrzała na Freda z litością: dlatego że był biedny, dlatego że jego żona była ładaco, dlatego że był gruby i nudny. Podeszła prosto do stojaków z książkami i

czasopismami i znikła mu z oczu, siadając na zimnej betonowej podłodze.

Fred sięgnął z powrotem po "Detektywa" i zaczął przeglądać ogłoszenia, proponujące sprzedaż najróżniejszych świństw. Oddech miał przyspieszony.

Nieszczęsny Fred żywił lepki, sztubacki entuzjazm dla "Detektywa" i wszystkiego, co

gazeta reprezentowała, ale brakowało mu odwagi, aby stać się częścią tego świata, aby

nawiązać korespondencję ze wszystkimi autorami ogłoszeń. A że był synem samobójcy, nic więc dziwnego, iż jego najskrytsze marzenia były wstydlive i pospolite.

* * *

Do sklepiku wtargnął bardzo zdrowy osobnik; znalazł się przy Fredzie tak szybko, iż ten nie zdążył odrzucić gazety.

- Cóż to, ty świński, ubezpieczeniowy skurczysynu – powiedział radośnie nowo przybyły – po kiego licha czytasz ten onanistyczny szmatławiec?

Był to Harry Pena, zawodowy rybak, pełniący również obowiązki komendanta

ochotniczej straży pożarnej w Pisquontuit. Harry miał przy brzegu dwie pułapki na ryby: labirynty palików i sieci bezlitośnie wykorzystujące głupotę ryb. Pułapkę stanowił również długi płot w wodzie biegnący od suchego lądu na jednym końcu do okrągłej zagrody ze słupków i sieci na drugim. Ryby, chcąc opłynąć płot, wpływały do zagrody. Tam krążyły bezmyślnie, aż Harry i jego dwaj dorośli synowie przyплыwali łódką z bosakami i drewnianymi młotkami, zamykali bramy zagrody, ściągali sieci i zabijali, zabijali, zabijali.

Harry był starszym już, krzywonogim mężczyzną, ale miał głowę i ramiona, jakimi Michał Anioł mógłby obdarzyć Mojżesza lub Boga. Nie zawsze zajmował się rybołówstwem. Harry sam był ubezpieczeniowym skurczysynem w Pittsfield w stanie Massachusetts. Pewnego wieczoru w Pittsfield Harry czyścił dywan w saloniku czterochlorkiem węgla i omal nie przypłacił tego życiem. Kiedy go odratowano, lekarz powiedział mu: "Harry, albo będziesz pracował na świeżym powietrzu, albo umrzesz".

W ten sposób Harry został tym, kim był jego ojciec: rybakiem.

* * *

Harry objął ramieniem tłuste barki Freda. Mógł sobie pozwolić na takie gesty, gdyż był jednym z niewielu mężczyzn w Pisquontuit, których męskość nie ulegała najmniejszej wątpliwości.

- Ty nieszczęsny ubezpieczeniowy skurczysynu - powiedział. - Czy musisz być ubezpieczeniowym skurczysynem? Rób coś pięknego. - Harry usiadł, zamówił czarną kawę i złociste cygaro.

- Wiesz, Harry - powiedział Fred, ściągając wargi w zadumie - podejrzewam, iż prawdopodobnie moje podejście do sprawy ubezpieczeń różni się nieco od twojego.

- Pieprzenie - powiedział Harry z miłym uśmiechem. Zabrał Fredowi gazetę i zatrzymał się nad wyzwaniem rzuconym przez Randy Herald na pierwszej stronie. - Na Boga - rzekł - urodzi takie dziecko, jakie jej zrobię, i wtedy, kiedy ja zechcę.

- Poważnie, Harry - nie ustępował Fred. - Ja lubię tę pracę. Lubię pomagać ludziom.

Harry niczym nie zdradził, że słyszał. Zmarszczony, patrzył na zdjęcie Francuzki w bikini.

Wiedząc, że w oczach Harry'ego jest bezbarwnym, bezpłciowym osobnikiem, Fred starał się udowodnić, że tak nie jest. Trącił go porozumiewawczo łokciem.

- Podoba ci się? - spytał.

- Co?

- Ta dziewczyna.

- To nie dziewczyna. To kawałek papieru.

- Mnie przypomina dziewczynę. - Fred uśmiechnął się boleśnie.

- No to łatwo cię nabrać - powiedział Harry. - Ta dziewczyna nie leży tu na ladzie. To jest farba na kawałku papieru. Ona jest tysiąc mil stąd i nie wie nawet o

naszym istnieniu. Gdyby to była prawdziwa dziewczyna, to mógłbym zarabiać na życie, siedząc w domu i wycinając fotografie dużych ryb.

* * *

Harry Pena zainteresował się działem ogłoszeń personalnych i poprosił Freda o pióro.

- Pióro? - zdziwił się Fred Rosewater, jakby to było obce słowo.

- Masz chyba pióro, nie?

- Jasne, że mam. - Fred wręczył mu jedno z dziewięciu piór, które nosił po różnych kieszeniach.

- Jasne, że masz. - Harry zaśmiał się. I wypisał w kuponie przy ogłoszeniach: Ognisty papa, rasy białej, szuka ognistej mamy. Rasa, wiek i wyznanie obojętne. Cel: każdy, poza matrymonialnym. Wymieni zdjęcia. Ma własne zęby.

- Naprawdę chcesz to wysłać? - Pragnienie Freda, aby samemu zamieścić ogłoszenie i otrzymać parę podniecających propozycji, było żałośnie oczywiste. Harry podpisał ogłoszenie: "Fred Rosewater, Pisquontuit, Rhode Island".

- Bardzo śmieszne. - Fred odsunął się od Harry'ego z pogardliwą wyższością. Harry puścił oko.

- Jak na Pisquontuit - powiedział.

* * *

W tym momencie weszła do sklepiku żona Freda, Karolina. Była to ładna, skrzywiona, chuda, zagubiona mała kobietka, wystrojona w eleganckie rzeczy podarowane jej przez bogatą przyjaciółkę - lesbijkę, Amanitę Buntline. Karolina

Rosewater

lśniła i dzwoniła błyskotkami, które miały jej używanym strojom nadać bardziej osobisty styl. Wybierała się na lunch z Amanitą. Chciała od Freda pieniędzy, aby jej

zapewnienia, że sama za siebie zapłaci, miały choć cień prawdopodobieństwa.

Rozmawiając z Fredem w obecności Harry'ego Peny, zachowywała się jak kobieta usiłująca utrzymać pozory godności, kiedy jej każą skakać jak żaba. Przy wydatnej pomocy Amanity Karolina litowała się nad sobą, że musi być żoną tak biednego i nieciekawego człowieka. To, że sama jest równie biedna i nieciekawa, nigdy by jej nie przyszło do głowy. Choćby dlatego, że była magistrem filozofii

i

członkiem ekskluzywnej korporacji Phi Beta Kappa na Uniwersytecie Dillona w Dodge City w stanie Kansas. Tam właśnie, w Dodge City, poznała Freda, który stacjonował w Fort Riley podczas wojny koreańskiej. Wyszła za niego, bo myślała, że

każdy, kto mieszka w Pisquontuit i studiował w Princeton, jest bogaty. Była głęboko

wstrząśnięta, gdy się przekonała, że to nie zawsze się sprawdza. Szczerze

wierzyła, że

jest intelektualistką, ale jej wiedza była bliska zeru, wszelkie problemy zaś,

jakie ją

kiedykolwiek dręczyły, dawały się rozwiązać za pomocą jednej rzeczy: pieniędzy,

i to

w dużych ilościach. Gospodynią była upiorną. Wykonując prace domowe, płakała, gdyż uważała, że jest stworzona do wyższych celów.

Jeżeli chodzi o miłość lesbijską, to Karolina nie brała tego zbyt serio. Była po prostu kameleonem płci żeńskiej, usiłującym jakoś przejść przez życie.

* * *

- Znowu lunch z Amanitą? - jęknął Fred.

- A dlaczego nie?

- To się staje diabło kosztowne, codziennie te wytworne lunche.

- Po pierwsze, nie codziennie. Najwyżej dwa razy w tygodniu. - Była odpychająco zimna.

- Wszystko jedno, to duży wydatek.

Karolina wyciągnęła po pieniądze dłoń w białej rękawiczce.

- Twoja żona zasługuje na to.

Fred dał jej pieniądze.

Karolina nie podziękowała. Wyszła i zajęła miejsce obok Amanity Buntline na obitym złocistą miękką skórą fotelu jej błękitnego mercedesa 300-SL. Harry Pena z zaciekawieniem przyjrzał się pobladłej twarzy Freda. Nie odezwał się. Zapalił cygaro i wyszedł, by łowić prawdziwe ryby w towarzystwie dwóch prawdziwych synów, w prawdziwej łodzi na słonym morzu.

* * *

Lila, córka Amanity Buntline, siedziała na zimnej podłodze w sklepiku z gazetami, czytając "Równoleżnik Raka" Henry'ego Millera, który wyciągnęła ze stojaka na książki wraz z "Nagim lunchem" Williama Burrougha. Lila interesowała się

książkami ze względów finansowych. Mając trzynaście lat, była największym w Pisquontuit handlarzem pornografią.

Handlowała też fajerwerkami z tych samych powodów, z jakich handlowała pornografią: dla zysku. Jej koledzy z miejscowego jachtklubu i ze szkoły byli tak

bogaci i tak głupi, że gotowi byli zapłacić prawie każdą cenę za prawie wszystko. W

przeciętny dzień handlowy Lila mogła, na przykład, odsprzedać kupiony za siedemdziesiąt pięć centów egzemplarz "Kochanka lady Chatterley" za pięć porcji lodów owocowych wartości dziesięciu dolarów i piętnastu centów.

Fajerwerki kupowała na wakacjach spędzanych z rodzicami w Kanadzie, na Florydzie i w Hongkongu. Większość pornografii czerpała z ogólnie dostępnych półek

sklepiku z gazetami. Rzecz polegała na tym, że Lila w przeciwieństwie do swoich kolegów i pracowników sklepiku wiedziała, które książki wybrać. I wybierała te chodliwe tytuły natychmiast, gdy tylko wstawiono je do stojaka. Transakcji dokonywała z nedorozwiniętą sprzedawczynią, która wszystko błyskawicznie zapominała.

Stosunki Lili ze sklepikiem były przykładem idealnej symbiozy, gdyż w oknie wystawowym widniał duży medalion ze złoczonego polistyrenu, przyznany przez organizację Matki Stanu Rhode Island w Obronie Dzieci przed Brudem.

Przedstawicielki tej grupy regularnie dokonywały w sklepiku inspekcji stojaków z książkami. Polistyrenowy medalion był świadectwem, że nigdy nie znalazły nic zdrożnego.

Sądziły, że ich dzieci są bezpieczne, a tymczasem to Lila zmonopolizowała dystrybucję.

Lila nie mogła zaopatrywać się w zdjęcia pornograficzne jedynie w sklepiku z gazetami. Zdobywała je, robiąc to, o czym nieraz marzył nieśmiało Fred Rosewater:

odpowiadała na świńskie ogłoszenia w "Amerykańskim Detektywie".

* * *

W jej dziecięcy świat na podłodze sklepiku z gazetami wtargnęły czyjeś wielkie stopy. Były to stopy Freda Rosewatera.

Lila nie schowała swoich podniecających książek. Czytała spokojnie dalej, jakby "Zwrotnik Raka" był powieścią dla grzecznych dziewczynek:

Jej kufer jest otwarty i rzeczy leżą wszędzie tak jak przedtem. Ona kładzie się na łóżku w ubraniu. Raz, dwa, trzy razy, cztery razy... Boję się, że ona zwariuje... w łóżku, pod kołdrą, jak dobrze czuć znowu jej ciało! Ale na jak długo?

Czy tym razem to potrwa dłużej? Już teraz mam przecucie, że nie.

Lila i Fred często spotykali się wśród książek i czasopism. Fred nigdy jej nie pytał, co czyta, ona zaś wiedziała, że on zrobi to, co zawsze: spojrzy smutnie i poządlawie na okładki pism z panienkami, a potem wybierze i przejrzy coś grubego

i

niewinnego w rodzaju "Lepsze domy i ogrody". Teraz też zrobił to samo.

- Zdaje się, że moja żona jest znowu na lunchu z twoją mamą - powiedział Fred.

- Chyba tak - odparła Lila. Na tym skończyła się ich rozmowa, ale Lila nadal myślała o Fredzie. Przed oczami miała jego piszczele i myślała o nich. Ilekroć widziała

Freda w szortach lub w kąpielówkach, piszczele miał pokryte bliznami i strupami, jakby go codziennie od urodzenia nic, tylko kopano, kopano i kopano. Lila myślała, że

to może brak witamin albo parchy sprawiają, iż Fred ma takie piszczele.

* * *

Storturowane piszczele Freda były ofiarami wyobrażeń jego żony o dekoracji wnętrza, wymagających niemal chorobliwego stosowania małych stoliczków. Cały dom był nimi zastawiony. Na każdym z tych stoliczków stała popielniczka i talerzyk zakurzonych cukierków, mimo iż Rosewaterowie nigdy nie przyjmowali gości.

Karolina wiecznie przestawiała te stoliczki, jakby codziennie robiła inne przyjęcie. I w

ten sposób nieszczęsny Fred wiecznie obijał sobie piszczele.

Pewnego razu tak rozciął sobie brodę, że musiano mu założyć jedenaście szwów. Tym razem nie zawiniły stoliczki. Tym razem przyczyną był inny przedmiot,

z

którym Karolina nigdy się nie rozstawała. Był zawsze obecny, jak oswojony mrówkojad, lubiący układać się w drzwiach, na schodach albo przed kominkiem.

Tym przedmiotem, o który Fred przewrócił się i rozciął sobie brodę, był odkurzacz żony. Podświadomie Karolina poprzysięgła sobie nigdy nie rozstawać się

z

odkurzaczem, dopóki nie będzie bogata.

* * *

Fred, myśląc, że Lila nie zwraca na niego uwagi, odłożył "Lepsze domy i ogrody" i sięgnął po coś, co wyglądało na cholernie podniecającą powieść kieszon-

kową - "Wenus na połowce muszli" Kilgore'a Trouta. Na ostatniej stronie okładki zamieszczono streszczenie najbardziej podniecającej sceny ze środka. Brzmiało to tak:

Królowa Margaret z planety Shaltoon zsunęła z ramion szatę. Nie miała nic pod spodem. Jej wysoko osadzone, prężne obnażone piersi były dumne i różowe. Jej biodra i uda były jak zapraszająca do spoczynku lira z czystego alabastru.

Były

tak białe, że zdawały się rozświetlone od wewnątrz.

- Twoje podróże, Wędrowcze Kosmosu, dobiegły kresu - szepnęła głosem ochryłym z pożądania. - Nie szukaj dalej, tu jest bowiem twój cel. Odpowiedź znajdziesz w moich ramionach.

- Odpowiedź jest wspaniała, królowo Margaret, Bóg mi świadkiem - odparł Wędrowiec Kosmosu. Dłonie mu zwilgotniały. - Przyjmę ją z wdzięcznością, ale jeżeli mam być całkiem szczery, to muszę ci powiedzieć, że jutro będę musiał wyruszyć w dalszą drogę.

- A przecież znalazłeś swoją odpowiedź, znalazłeś odpowiedź! - zawołała, przyciągając jego głowę do swych wonnych młodych piersi.

Powiedział coś, czego nie dosłyszała. Odsunęła go na odległość ramienia.

- Co powiedziałeś? - spytała.

- Powiedziałem, królowo, że twoja propozycja to diabelnie dobra odpowiedź. Niestety tak się składa, że to nie jest odpowiedź, której szukam.

W książce zamieszczono zdjęcie Trouta. Był to stary człowiek z rozłożystą

czarną brodą. Wyglądał jak wystraszony, postarzały Jezus, któremu zamieniono ukrzyżowanie na karę dożywotniego więzienia.

10

Lila Buntline jechała na rowerze wśród dyskretnego piękna alejek pisquontuickiej utopii. Każdy mijany przez nią dom był realizacją bardzo kosztownego marzenia. Właściciele tych domów nie musieli w ogóle pracować. Ich dzieci również nie będą musiały ani chciały pracować, chyba że któreś się zbuntuje.

Na razie nic tego nie zapowiadało.

Piękny dom Lili stał na bulwarze okalającym przystań. Zbudowany był w stylu króla Jerzego. Lila weszła do środka, odłożyła swoje nowe książki w hallu i zakradła

się do gabinetu ojca, aby się upewnić, czy leżący na kanapie ojciec żyje. Robiła to

zawsze, przynajmniej raz dziennie.

- Tato?

Na srebrnej tacy na stoliku przy kanapie leżała poranna poczta. Obok stała nie tknięta whisky z wodą sodową. Cały gaz się ulotnił. Stewart Buntline nie miał jeszcze

czterdziestki. Był najprzystojniejszym mężczyzną w miasteczku, skrzyżowanie, jak ktoś powiedział, Cary Granta z owczarkiem alzackim. Na jego płaskim brzuchu leżała

książka za pięćdziesiąt siedem dolarów, atlas kolejowy wojny secesyjnej, który dostał

od żony. Wojna secesyjna to było jedyne, co go w życiu pasjonowało.

- Tato?

Stewart nie przerywał drzemki. Ojciec zostawił mu czternaście milionów dolarów, pochodzących głównie z tytoniu. Pieniądze te, przetrząsane, nawożone, krzyżowane i przekształcane na hydroponicznej farmie pieniężnej Działu Depozytów Nowoangielskiego Banku Żeglugowego w Bostonie, odkąd zostały złożone na nazwisko Stewarta, dawały plony w wysokości ośmiuset tysięcy dolarów rocznie. Interesy szły zupełnie nieźle. Poza tym Stewart niewiele wiedział o interesach.

Czasami, kiedy go naciskano, aby wypowiedział się na temat interesów, oświadczał gładko, że lubi Polaroid. Ludziom bardzo się podobało, iż darzy takim uczuciem Polaroid. W rzeczywistości Stewart nie wiedział nawet, czy posiada jakieś

akcje Polaroidu. O takie sprawy troszczył się jego bank i firma prawnicza McAllister,

Robjent, Reed i McGee.

- Tato?

- Uhm?

- Chciałam się tylko upewnić, czy wszystko w porządku - powiedziała Lila.

- Uhum - odparł. Nie był tego całkowicie pewien. Uchylił nieco powieki, obliznął zeschnięte wargi. - Doskonale, kochanie.

- No to możesz spać dalej.

Stewart tak właśnie zrobił.

* * *

Miał podstawy, aby spać spokojnie, ponieważ, odkąd został w wieku szesnastu lat osierocony, reprezentowała go ta sama firma prawnicza, która reprezentowała senatora Rosewatera. Jego sprawami zajmował się McAllister. Stary McAllister załączył do swego ostatniego listu literaturę. Była to broszurka pod tytułem "Spór między przyjaciółmi w wojnie idei", wydana przez Szkołę Wolności, skrytka pocztowa

165, Colorado Springs. Służyła teraz jako zakładka w atlasie kolejowym. Stary McAllister zazwyczaj załączał jakieś materiały o socjalistycznym zagrożeniu systemu wolnej konkurencji, ponieważ przed dwudziestu laty Stewart jako młodzienc wkradł do jego biura z płonącym wzrokiem i oświadczył, że system wolnej konkurencji jest niesprawiedliwy i że chce rozdać wszystkie swoje pieniądze ubogim. McAllisterowi udało się wówczas przekonać kąpanego w gorącej wodzie młodego człowieka, ale nigdy nie przestał się obawiać nawrotu choroby u Stewarta.

Broszurki miały działać profilaktycznie.

McAllister niepotrzebnie się przejmował. Trzeźwy czy pijany, z broszurkami czy bez, Stewart był teraz zdecydowanym zwolennikiem kapitalizmu. Nie potrzebował podpory w postaci broszurki, będącej rzekomo listem konserwatysty do przyjaciół, którzy, sami o tym nie wiedząc, byli socjalistami. Stewartowi nie było to potrzebne, więc nie przeczytał, co broszurka miała do powiedzenia na temat ludzi korzystających

z różnych form opieki społecznej. A brzmiało to tak:

Czy rzeczywiście pomogliśmy tym ludziom? Przyjrzyjcie im się dobrze.

Zastanówcie się nad osobnikiem, który jest produktem końcowym waszej litości! Co możemy powiedzieć trzeciemu już pokoleniu ludzi, dla których korzystanie z pomocy społecznej stało się stylem życia? Przypatrzmy się dobrze swemu produktowi, powielanemu w milionach egzemplarzy nawet w czasach obfitości. Ludzie ci nie pracują i pracować nie chcą. Głowy opuszczone, bezmyślne spojrzenia, żadnej dumy ani szacunku dla siebie. Niczego nie można być z nimi pewnym, nie dlatego, aby byli złośliwi, ale po prostu dlatego, że zachowują się jak

zbląkane bydło. Zdolność przewidywania i logicznego myślenia zanikły u nich na skutek długotrwałego nieużywania. Porozmawiajcie z nimi, posłuchajcie ich, popracujcie z nimi jak ja, a uświadomicie sobie z tępym przerażeniem, że ztratili

oni wszelkie podobieństwo do istot ludzkich, poza tym że potrafią stać na dwóch nogach i powtarzać jak papugi: "Więcej. Dajcie mi więcej. Potrzebuję więcej". To jedyne nowe myśli, jakich się nauczyli...

Stanowią dzisiaj pomnikową karykaturę homo sapiens, brutalną i okropną rzeczywistość, jaką stworzyliśmy przez swoją źle pojętą litość. Mogą być także żywym prorocstwem tego, jaki los czeka większość z nas, jeżeli będziemy kontynuować naszą obecną politykę.

I tak dalej.

Przekonywanie Stewarta Buntline'a było stratą czasu. Zerwał raz na zawsze ze źle pojętą litością. Skończył też z seksem. I szczerze powiedziawszy, miał już

po dziurki w nosie wojny secesyjnej.

* * *

Rozmowa z McAllisterem, która przed dwudziestu laty skierowała Stewarta na drogę konserwatyzmu, miała przebieg następujący:

- Więc chce pan zostać świętym, czy tak, młody człowieku?

- Nie powiedziałem tego i mam nadzieję, że nic, co powiedziałem, na to nie wskazuje. Panowie zarządzacie moim spadkiem, pieniędzmi, na które nie zapracowałem, czy tak?

- Odpowiem na pierwszą część pańskiego pytania. Tak, zarządzamy pieniędzmi, które pan odziedziczył. Co do drugiej części: jeżeli pan na nie

jeszcze nie zapracował, to pan zapracuje. Pochodzi pan z rodziny, która ma wrodzoną zdolność do zarabiania na siebie, a nawet więcej. Będzie pan przewodzić ludziom, mój chłopcze, ponieważ ma pan to we krwi, a przewodzenie ludziom bywa męczące.

- Może tak będzie, a może nie, panie McAllister. Poczekamy i zobaczymy.

Na razie jednak mówię panu, że na świecie jest pełno cierpienia i mając pieniądze, można zrobić wiele, aby ulżyć cierpieniom, a ja mam ich znacznie więcej, niż potrzebuję. Chcę zaopatrzyć biednych w przyzwoitą żywność, odzież i mieszkania, i to zaraz.

- I jak potem mieliby o panu mówić, święty Stewart czy święty Buntline?

- Nie przyszedłem tu po to, aby się ze mnie wyśmiewano.

- A pański ojciec wyznaczył nas w swoim testamencie na pańskich opiekunów nie po to, abyśmy panu we wszystkim grzecznie potakiwali. Jeżeli uderza pana mój brak szacunku i cynizm w kwestii kandydatów na świętych, to tylko dlatego, że odbyłem już tę samą niepoważną dyskusję z niejednym młodym człowiekiem. Do najważniejszych zadań naszej firmy należy pilnowanie, aby nasi klienci nie zostawali świętymi. Myśli pan, że jest pan oryginalny? Otóż nie. Co roku przynajmniej jeden z młodych ludzi, których majątkiem się opiekujemy, przychodzi tu do biura, bo chce rozdać swoje pieniądze. Właśnie ukończył pierwszy rok na jakimś wspaniałym uniwersytecie. Cóż to był za bogaty w wydarzenia rok! Dowiedział się o niewiarygodnej nędzy na świecie. Dowiedział się o wielkich zbrodniach, które zapoczątkowały większość fortun rodzinnych. Podsuwano mu pod jego chrześcijański nos, często po raz pierwszy w życiu, Kazanie na Górze.

Jest zagubiony, bliski płaczu, złości się! Żąda drewnianym głosem odpowiedzi na pytanie, ile ma pieniędzy. Mówimy mu, a on skręca się ze wstydu, choćby jego majątek został zrobiony na czymś tak uczciwym i pożytecznym jak taśma klejąca, aspiryna, robocze spodnie albo, w pańskim przypadku, miotły. Jeżeli się nie mylę, pan właśnie ukończył pierwszy rok na Uniwersytecie Harvarda, prawda?

- Tak.

- To wspaniała instytucja, lecz kiedy widzę skutki jej oddziaływania na niektórych młodych ludzi, to zadaję sobie pytanie: "Jak uczelnia śmie uczyć liitości, nie ucząc jednocześnie historii?". Historia, mój kochany, młody panie Buntline, uczy nas na pewno jednego, a mianowicie, że rozdawanie majątku jest czymś daremnym i szkodliwym. Zmienia to biedaków w żebraków, nie dając im bogactwa ani nawet zamożności. Dawca zaś i jego potomkowie powiększają gromadę skomlących biedaków.

* * *

Osobisty majątek tak wielki jak pański, panie Buntline - mówił stary McAllister wiele bogatych w wydarzenia lat temu - jest cudem rzadkim i pasjonującym. Wszedł pan w jego posiadanie bez wysiłku, nie miał pan więc okazji dowiedzieć się, co to znaczy. Aby pomóc panu zrozumieć, na czym polega jego cudotwórcza siła, powiem panu coś, co jest, być może, zniewagą. Czy się to panu podoba, czy nie, pański majątek jest najważniejszym czynnikiem decydującym o tym, co o panu myślą inni i co pan sam o sobie sądzi. Dzięki tym pieniądzom jest pan kimś niezwykłym. Nie mając ich, nie mógłby pan, na przykład, zajmować bezcennego czasu seniorowi firmy McAllister, Robjent, Reed i McGee. Jeżeli rozda pan swoje pieniądze, stanie się pan nikim, chyba że przypadkiem jest pan geniuszem. Czy jest pan może geniuszem, panie Buntline?

- Nie.

- Uhum. Zresztą czy się jest geniuszem, czy nie, pieniądze zapewniają wygody i swobodę. Co więcej, skazałby pan dobrowolnie swoich potomków na

życie w atmosferze pretensji do świata, właściwej ludziom, którzy mogliby być bogaci i wolni, gdyby ich pomyłony przodek nie roztrwonił majątku.

Niech pan się trzyma swego cudu, panie Buntline. Pieniądze to koncentrat utopii. Większość ludzi wie, że życie jest żmudne, o czym z takim zapalem przekonywali pana pańscy profesorowie. Ale pan i pańscy bliscy możecie mieć dzięki cudowi pańskich pieniędzy rajskie życie! Niech się pan uśmiechnie! Chcę widzieć, że rozumiał pan to, czego na uniwersytecie uczą dopiero na drugim roku: że urodzić się bogatym i pozostać bogatym to nie jest przestępstwo.

* * *

Lila, córka Stewarta, poszła na górę do swego pokoju. Był utrzymany w kolorach różowym i kremowym, wybranych przez jej matkę. Okna wychodziły na przystań, na rozkołysaną flotę miejscowego jachtklubu.

Czterdziestostopowa łódź rybacka imieniem "Mary", dymiąc, pyrkotała sobie ciężko środkiem przystani, kołyszając luksusowymi jachtami. Zabawki te nazywały się

"Skumbria" i "Skat", "Pączek Róży II", i "Vademecum", "Rudy Pies" i "Bunty".

"Pączek

Róży II" należał do Freda i Karoliny Rosewaterów. "Bunty" należał do Stewarta i Amanity Buntline.

"Mary" należała do Harry'ego Peny, rybaka. Była to szara, zbudowana systemem zakładkowym łajba, która miała za zadanie dotelepać się do przystani w każdą pogodę z kilkoma tonami świeżych ryb na pokładzie. Nie było na niej żadnego

krytego pomieszczenia poza drewnianym pomostem osłaniającym wielki nowy silnik Chryslera. Na pomoście było umieszczone koło sterowe oraz dźwignie gazu i sprzęgła.

Cała reszta "Mary" to było gołe pudło.

Harry płynął do swoich pułapek. Dwaj jego dorośli synowie, Manny i Kenny, leżeli głowa przy głowie na dziobie, leniwie rozprawiając półgłosem o jakichś sprośno-

ściach. Każdy z chłopców miał przy sobie prawie dwumetrowy bosak do wyciągania tuńczyków. Harry uzbrojony był w dwunastofuntowy młot. Wszyscy trzej mieli gumowe fartuchy i buty. Kiedy przystąpią do roboty, będą skapani we krwi.

- Przestańcie gadać o pieprzeniu - powiedział Harry. - Pomyślcie lepiej o rybach.

- Dobrze, staruszkule, pomyślmy, jak będziemy w twoim wieku - padła pełna czułości odpowiedź.

* * *

Nisko nad ich głowami przeleciał samolot schodzący do lądowania na lotnisku w Providence. Na jego pokładzie znajdował się Norman Mushari, który czytał "Sumienie konserwatysty".

* * *

Restauracja pod nazwą Więcierz, oddalona pięć mil od Pisquontuit, prezentowała największą prywatną kolekcję harpunów. Ten wspaniały zbiór należał do wysokiego homoseksualisty z New Bedford zwanego Kicią Weeks. Dopóki Kicia nie przyjechał z New Bedford i nie otworzył swojej restauracji, Pisquontuit nigdy nie

miało nic wspólnego z wielorybnictwem.

Kicia nazwał swój lokal Więcierzem, ponieważ z jego wychodzących na południe, zaopatrzonych w przeciwsłoneczne szyby okien widać było pułapki Harry'ego Peny. Na każdym stoliku leżała lornetka teatralna, aby goście mogli obserwować Harry'ego i jego chłopców przy pracy. I podczas gdy rybacy pracowali na

słonnych odmętach, Kicia przechodził od stolika do stolika, wyjaśniając ze

znawstwem i lubością, co oni robią i dlaczego. Perorując, pozwalał sobie na poufale gesty w stosunku do kobiet, nigdy jednak nie dotykał mężczyzn. Jeżeli goście pragnęli jeszcze żywszego kontaktu z rybołówstwem, mogli zamówić koktajl "tuńczyk" składający się z rumu oraz soku z granatów i żurawin lub sałatkę rybacką czyli obrany banan przetknięty przez krążek ananasa w mrożonej paście z tuńczyka, posypanej wiórkami kokosowymi. Harry Pena i jego chłopcy wiedzieli o sałatce, koktajlu i lornetkach, mimo iż nigdy nie byli w Więcierz. Czasami, w odpowiedzi na to wykorzystywanie ich przez restaurację bez ich zgody, oddawali mocz, stojąc na łodzi. Nazywali to "robieniem zupy z porów dla Kici Weeksa".

* * *

Kolekcja harpunów Kici Weeksa była rozwieszona na surowych krokwiach sklepu z pamiątkami, przez którego pokrytą pyłem obfitość wchodziło się do Więcierza. Sam sklep nosił nazwę Wesoły Wielorybnik. W dachu był zakurzony świetlik; efekt zakurzenia osiągnięto, spryskując szybę sprayem Bon Ami. Krzyżujące się krokwie i harpuny rzucały cień na rozłożony pod nimi towar. Kicia chciał stworzyć wrażenie, iż autentyczni wielorybnicy, pachnący tranem, rumem, potem i ambrawą, złożyli swój sprzęt na tym stryszku i w każdej chwili mogą po niego wrócić. Teraz pod tymi krzyżującymi się cieniami harpunów przechodziły Amanita Buntline i Karolina Rosewater. Amanita szła pierwsza; to ona nadawała ton, oglądając towar z barbarzyńską zachłannością. Jeżeli chodzi o charakter towaru, to było tu wszystko, czego zimna jędza może zażądać od męża-impotenty po wyjściu z gorącej kąpieli. Zachowanie Karoliny było dalekim echem zachowania Amanity. Karolina czuła się niezręcznie, ponieważ jej przyjaciółka stale stawała między nią a tym, co warte było obejrzenia. Z chwilą gdy Amanita przestawała to coś oglądać, dopuszczając do lady Karolinę, przedmiot w jakiś sposób przestawał być wart oglądania. Karolina czuła się oczywiście niezręcznie i z innych powodów: dlatego, że jej mąż pracował, że miała na sobie sukienkę, o której wszyscy wiedzieli, iż była kiedyś własnością Amanity, że miała w torebce bardzo mało pieniędzy. Karolina usłyszała nagle swój własny głos dobiegający jakby z oddali:

- On ma niewątpliwie dobry gust.
- Oni wszyscy mają dobry gust - powiedział Amanita. - Wolę iść na zakupy z jednym z nich niż z przyjaciółką. O obecnych się nie mówi, oczywiście.
- Z czego się u nich biorą te artystyczne zamiłowania?
- Są wrażliwsi, moja droga. Są bardziej podobni do nas. Potrafią czuć.
- Aha.

* * *

Kicia Weeks wbiegł w lansadach do Wesołego Wielorybnika, popiskując gumowymi podeszwami. Był szczupłym mężczyzną, niewiele po trzydziestce. Miał oczy, jakie są standardowym wyposażeniem bogatych amerykańskich ciot - fałszywe drogie kamienie, syntetyczne szafiry, w głębi których zapalały się i gasły choinkowe

lampki. Kicia był prawnikiem słynnego kapitana Hannibala Weeksa z New Bedford, człowieka, który zabił Moby Dicka. Nie mniej niż siedem spośród harpunów wiszących na krokwiach wyciągnięto podobno z ciała wielkiego białego wieloryba.

- Amanita! Amanita! - zawołał Kicia, obejmując ją czule i ściskając. - Jak się czuje moja dziewczynka?

Amanita roześmiała się.

- Widzisz tu coś śmiesznego? - spytał Kicia.

- Dla mnie nie.

- Miałem nadzieję, że dziś przyjdiesz. Mam dla ciebie mały test na inteligencję. - Kicia chciał jej pokazać nowość handlową i kazać jej zgadywać, co to

jest. Nie przywitał się dotąd z Karoliną, ale teraz musiał to zrobić, gdyż stała między

nim a poszukiwanym przedmiotem. - Czy mogę panią przeprosić?

- O, przepraszam. - Karolina Rosewater odsunęła się na bok. Kicia stale zapominał jej nazwisko, mimo iż była w Więcierzu przynajmniej z pięćdziesiąt razy.

Kicia nie znalazł tego, czego szukał, obrócił się na pięcie i znowu stwierdził, iż

Karolina stoi mu na drodze.

- Czy mogę panią przeprosić?

- To ja przepraszam.

Karolina, schodząc mu z drogi, potknęła się o zdradziecki mały stołek do dojenia krów i upadła na niego kolanem, obiema rękami chwytając się słupa.

- O, mój Boże! - zawołał Kicia zniecierpliwiony. - Czy nic się pani nie stało? - Pomagał jej się podnieść w taki sposób, że nogi uciekały spod niej, jakby

pierwszy raz

przypięła wrotki. - Czy coś panią boli?

- Chyba tylko godność własna. - Karolina uśmiechnęła się płaczliwie.

- Do licha z godnością, kochanie - powiedział Kicia, wpadając wyraźnie w rolę kobiety. - Jak twoje kosteczki? Czy nic sobie nie stłukłaś?

- Nie, wszystko w porządku. Dziękuję.

Kicia odwrócił się do niej plecami, podejmując swoje poszukiwania.

- Pamiętasz oczywiście Karolinę Rosewater - odezwała się Amanita. Było to okrutne i niepotrzebne pytanie.

- Oczywiście, pamiętam panią Rosewater - powiedział Kicia. - Czy ma pani coś wspólnego z senatorem?

- Pyta mnie pan o to za każdym razem.

- Naprawdę? A co pani za każdym razem odpowiada?

- Myślę... pewnie jesteśmy dalekimi krewnymi... jestem prawie pewna.

- To ciekawe. Senator ustępuje, wie pani.

- Naprawdę?

Kicia odwrócił się do niej z pudełkiem w dłoniach.

- Czy nie mówił pani, że zamierza ustąpić?

- Nie, on...

- Nie utrzymujecie państwo z nim stosunków?

- Nie - powiedziała Karolina bezbarwnym głosem, przyciągając podbródek do piersi.

- Wyobrażam sobie, że to musi być fascynujący człowiek.

Karolina skinęła głową.

- Ale państwo nie utrzymujecie z nim stosunków?

- Nie.

* * *

- A tutaj, kochanie - Kicia stanął przed Amanitą i otworzył pudełko - jest twój

test na inteligencję.

Z pudełka, które miało nadruk "Product of Mexico", wyjął dużą blaszaną puszkę, z jednej strony otwartą. Puszka była oklejona od zewnątrz i od wewnątrz barwną tapetą. Do przykrywki była przyklejona okrągła koronkowa serwetka, a do serwetki plastikowa lilia wodna. – Zakładam się, że nie będziesz wiedziała, do czego

to służy. Jeżeli odgadniesz, a kosztuje to siedemnaście dolarów, dam ci to za darmo,

choć wiem, że jesteś groteskowo bogata.

– Czy ja też mogę zgadywać? – spytała Karolina.

– Oczywiście – szepnął Kicia, przymykając oczy z wyrazem znużenia.

Amanita zrezygnowała natychmiast, oświadczając z dumą, że jest tępa i że nie cierpi testów. Karolina już miała wyskoczyć ze świergotliwą jasnooką, ptaszecią odpowiedzią, ale Kicia nie dał jej po temu okazji.

– To jest przykrycie na zapasową rolkę papieru toaletowego – wyjaśnił.

– To właśnie chciałam powiedzieć – odezwała się Karolina.

– Naprawdę? – spytał Kicia apatycznie.

– Ona należy do Phi Beta Kappa – poinformowała go Amanita.

– Naprawdę? – spytał Kicia.

– Tak – powiedziała Karolina. – Nie rozwodzę się na ten temat, bo nie przywiązuję do tego zbyt wielkiej wagi.

– To tak jak ja.

– Pan też jest w Phi Beta Kappa?

– Czy ma pani coś przeciwko temu?

– Nie.

– Przekonałem się, że w porównaniu z innymi klubami, ten jest raczej liczny.

– Czy to ci się podoba, moje genialne maleństwo? – spytała Amanita Karolinę, mając na myśli przykrycie na papier toaletowy.

– Tak, to bardzo ładne. Słodkie.

– Chcesz?

– Za siedemnaście dolarów? – spytała Karolina. – To jest naprawdę drogie. –

Zasmuciła się na myśl o swoim ubóstwie. – Może kiedyś. Może.

– Dlaczego nie dzisiaj? – spytała Amanita.

– Wiesz dlaczego. – Karolina zaczerwieniła się.

– A gdybym ja ci to kupiła?

– Ależ co ty! Siedemnaście dolarów!

– Jeżeli nie przestaniesz tyle myśleć o pieniądzach, mój ptaszku, to będę musiała poszukać sobie innej przyjaciółki.

– A co mogłam powiedzieć?

– Kicia, zapakuj to jako prezent.

– Oh, Amanita, dziękuję bardzo – powiedziała Karolina.

– Na pewno zasługujesz na to.

– Dziękuję.

– Ludzie dostają to, na co zasługują – dodała Amanita. – Czy nie tak, Kicia?

– To pierwsze prawo życia – potwierdził Weeks.

* * *

Łódź rybacka "Mary" dopłynęła tymczasem do pułapki; znalazła się w polu widzenia licznych pijących i jedzących gości w restauracji Kici Weeksa.

– Puścić kutasy, podciągnąć portasy – zakomenderował Harry Pena do swoich leniwie rozwalonych synów.

Wyłączyli silnik. "Mary" siłą rozpędu minęła wejście do pułapki, wpływając do kręgu długich tyczek ze zwieszającymi się sieciami.

– Czujecie je? – spytał. Chodziło mu o to, czy synowie czują wszystkie te wielkie ryby w sieci.

Synowie pociągnęli nosami i powiedzieli, że czują.

Wielki brzuch sieci, który mógł zawierać ryby albo nie, spoczywał na dnie.

Brzegi sieci wystawały nad wodę, biegnąc obwisłymi parabolami od żerdzi do żerdzi.

Tylko w jednym miejscu skraj sieci schodził pod wodę, tworząc wjazd. Była to jednocześnie paszcza, która połykała ryby, gromadząc je w wielkim brzuchu sieci.

Teraz Harry znajdował się we wnętrzu pułapki. Odwiązał linę z kołka przy wejściu, podciągnął ją, unosząc ostatni odcinek sieci ponad powierzchnię wody, i po-

wtórnie przywiązał linę do kołka. Teraz nie było już wyjścia z brzucha, w każdym razie

nie dla ryb. Dla ryb była to teraz arena śmierci.

"Mary" otarła się łagodnie o skraj areny. Harry z synami, stojąc ramię przy ramieniu, sięgnęli żelaznymi rękami w morze, by wyciągnąć sieć.

Dłoń za dłonią trzech rybaczy coraz to ograniczali przestrzeń, w której mogły być ryby. W miarę zmniejszania się powierzchni pułapki, "Mary" bokiem dryfowała ku jej

środkowi.

Nikt się nie odzywał. Była to magiczna chwila. Nawet mewy umilkły, kiedy trzech mężczyzn, oczyszczeni z wszelkich myśli, wyciągali sieć z morza.

* * *

Jedyne miejsce, w którym mogły być ryby, przybrało kształt owalnego basenu.

Coś jak garść bilonu błysnęło w głębinie, i to wszystko. Mężczyźni pracowali, ciągnąc

linę ręka za ręką.

Miejsce, w którym mogły być ryby, nabrało kształtu głębokiego koryta przy burcie "Mary". W miarę jak trzech mężczyzn pracowali, koryto stawało się coraz płytsze. Ojciec i dwaj synowie zrobili chwilę przerwy. Diabeł morski,

przedpotopowe

monstrum, dziesięciofuntowa kijanka obsypana szankrami i brodawkami, wypłynął na powierzchnię, rozdziawił najeżoną igłami paszczę i się poddał. Wokół diabła morskiego zaś, bezmyślnego, niejadalnego, chrząstkowego potwora, morze zakwitło dziobatymi garbami. W mrocznej głębinie krył się gruby zwierz.

Harry i jego dwaj synowie powrócili do pracy, dłoń za dłonią wyciągając sieć.

Prawie już nie zostało miejsca, gdzie mogłyby się kryć ryby. O dziwo,

powierzchnia

morza nadal była spokojna jak lustro.

Nagle powierzchnię lustra przecięła płetwa tuńczyka.

* * *

Po chwili w pułapce rozpełtało się radosne krwawe piekło. Osiem wielkich tuńczyków burzyło, rozcinało i pienilo wodę. Śmigwały koło "Mary", odbijały się od

sieci i pędziły w przeciwną stronę.

Chłopcy Harry'ego chwycili za bosaki. Młodszy dźgnął w wodę, wbił hak w brzuch ryby, zatrzymał ją, przyprowadzając o ból nie do zniesienia.

Ryba, zaszokowana, pozwoliła się bezwładnie podciągnąć do burty, unikając jakiegokolwiek ruchu, który mógłby pogorszyć jej cierpienie.

Młodszy syn Harry'ego zakręcił bosakiem. Pod wpływem nowego, strasznego bólu ryba stanęła na ogonie i zwała się do łodzi z gumowym plaśnięciem.

Harry huknął ją w głowę potężnym młotem. Ryba znieruchomiała.

Do łodzi wpadła druga ryba. Harry ogłuszył ją ciosem w głowę, potem następną i następną, aż osiem wielkich ryb legło trupem.

Harry roześmiał się, otarł nos rękawem.

- O kurwa, chłopaki! O kurwa!

Chłopcy roześmiali się w odpowiedzi. Wszyscy trzej byli teraz najszcześniejszymi ludźmi na świecie.

Młodszy syn zagrał na nosie w stronę restauracji tej cioty Weeksa.

– Kij im w oko, chłopaki, no nie? – powiedział Harry.

* * *

Kicia, pobrzękując bransoletką, podszedł do stolika Amanity i Karoliny, położył dłoń na ramieniu Amanity, ale nie siadał. Karolina odjęła od oczu lornetkę i powie-

działa coś przygnębiającego:

– Oto prawdziwe życie. Harry Pena jest jak Bóg.

– Jak Bóg? – Kicia był rozbawiony.

– Nie rozumie pan, co mam na myśli?

– Jestem pewien, że ryby rozumieją, ale ja nie jestem rybą. Powiem pani, kim jestem.

– Proszę, tylko nie przy jedzeniu – wtrąciła Amanita.

Kicia zaśmiał się bez przekonania i rozwijał dalej swoją myśl:

– Ja jestem dyrektorem banku.

– Co to ma do rzeczy? – spytała Amanita.

– Dyrektor banku wie, kto jest bankrutem, a kto nie. I jeżeli Bóg w ogóle istnieje, to z przykrością muszę wam powiedzieć, że jest bankrutem.

Amanita i Karolina wyraziły każda na swój sposób powątpiewanie, że ktoś tak męski może nie mieć powodzenia w interesach. Gdy tak sobie świergotali, Kicia zaciskał palce na ramieniu Amanity, aż ta się poskarżyła:

– Sprawiasz mi ból.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że to możliwe.

– Drań.

– Powiedzmy. – I znowu zacisnął boleśnie palce. – To już jest przeszłość. –

Miał na myśli Harry'ego i jego synów. Ściskając rytmicznie ramię Amanity, dawał jej

do zrozumienia, iż bardzo chciałby, żeby zamknęła się dla odmiany, żeby dla odmiany

była poważna. – Prawdziwi ludzie nie zarabiają już w ten sposób na życie. Ci trzej

romantycy są równie bezsensowni, jak Maria Antonina ze swymi pasterkami. Kiedy rozpocznie się postępowanie w sprawie bankructwa – za tydzień, za miesiąc, za rok –

przekonają się, że mieli wartość handlową wyłącznie jako żywa tapeta w mojej restauracji. – Kicia, trzeba mu to przyznać, nie był tym uradowany. – To już przeszłość, ludzie pracujący rękami i grzbietem. Nikt ich już nie potrzebuje.

– Ludzie tacy jak Harry muszą zwyciężyć – powiedziała Karolina.

– Na razie wszędzie przegrywają. – Kicia puścił ramię Amanity. Rozejrzał się po lokalu i zaprosił ją, aby poszła w jego ślady i pomogła mu policzyć gości.

Zachęcił

również obie panie, aby tak jak on poczuły pogardę dla jego klientów. Prawie wszyscy

odziedziczyli swoje fortuny. Prawie wszyscy byli spadkobiercami dóbr i praw, które

nie miały nic wspólnego ani z pracą, ani z mądrością.

Cztery głupie, śmieszne, grube wdowy w futrach zaśmiewały się ze świńskiego rysunku na papierowej serwetce.

– Zobaczcie, kto wygrywa. Zobaczcie, kto wygrał.

11

Norman Mushari wynajął na lotnisku w Providence czerwony kabriolet i przejechał osiemnaście mil do Pisquontuit, aby odnaleźć Freda Rosewatera. Jego

pracodawcy byli przekonani, iż Mushari jest chory i leży w łóżku w swoim mieszkaniu

w Waszyngtonie. On tymczasem czuł się bardzo dobrze.

Nie mógł odnaleźć Freda przez całe popołudnie z tej niezbyt prostej przyczyny, iż Fred spał na swojej żaglówce, co w największej tajemnicy często robił w upalne dni.

Dla biednego człowieka nie było zbyt wiele pracy w ubezpieczeniach na życie podczas upalnych popołudni.

Fred wiosłował do swego jachtu w małej dingi jachtklubu, skrzyp-skrzyp, skrzyp-skrzyp, mając trzy cale wolnej burty z każdej strony. Potem przeniósł swoje

cielsko na "Pączek Róży II" i kładł się w kabinie, z dala od ludzkich oczu, z pomarańczową kamizelką ratunkową pod głową. Słuchał plusku wody, poskrzypywania i pobrzękiwania takielunku i z ręką na genitaliach, pojednany z Bogiem, zapadał w drzemkę. To było bardzo miłe.

* * *

Buntline'owie mieli młodą gosposię imieniem Selena Deal, która знаła tajemnicę Freda. Małe okienko w jej pokoju na górze wychodziło na przystań.

Kiedy siedziała na swoim wąskim łóżku i pisała, tak jak teraz, w ramie okna widoczny był

"Pączek Róży II". Drzwi miała otwarte, aby słyszeć telefon. Odbieranie telefonów było

zazwyczaj jedynym jej obowiązkiem po południu. Telefon dzwonił rzadko. Jak mówiła

Selena: "Po co miałby dzwonić?"

Miała osiemnaście lat. Była sierotą z sierocińca, założonego przez rodzinę Buntline'ów w Pawtucket w 1878 roku. Przy jego założeniu Buntline'owie postawili trzy warunki: aby wszystkie sierotki, niezależnie od rasy, koloru i wyznania, były

wychowywane na chrześcijan, aby raz na tydzień przed niedzielną kolacją składały ślubowanie i aby co roku pojętna i czysta sierota rodzaju żeńskiego obejmowała służbę w domu Buntline'ów.

...aby poznać lepsze życie i zyskać zachętę do wspięcia się o kilka szczebli po drabinie kulturalnego i społecznego rozwoju.

Ślubowanie, które Selena złożyła sześćset razy przed sześciuset bardzo skromnymi kolacjami, zostało ułożone przez Kastora Buntline'a, pradziadka biednego, poczciwego Stewarta, i brzmiało następująco:

Przyrzekam uroczyście, iż będę szanował świętą własność prywatną innych i będę zadowolony z każdego miejsca w życiu, jakie mi Bóg Wszechmogący zechce przydzielić. Będę wdzięczny tym, którzy mi dadzą pracę, i nigdy nie będę się skar-

żyć na płace i godziny, zadając sobie zamiast tego pytanie: "Co jeszcze mogę zrobić dla mego pracodawcy, mojej ojczyzny i mego Boga?". Wiem, że nie zostałem przysłany na Ziemię dla szczęścia, lecz po to, by przejść tu egzamin.

Jeżeli mam zdać ten egzamin, muszę zawsze myśleć o innych, być trzeźwy, prawdomówny, czysty w myśli, mowie i uczynku i zawsze szanować tych, których Bóg w swojej mądrości postawił nade mną. Jeżeli zdam ten egzamin, pójdę po śmierci do wiecznej radości w raju. Jeżeli nie zdam, będę się smażyć w piekle,

ku radości Szatana i smutkowi Jezusa.

* * *

Selena, ładna dziewczyna, która pięknie grała na pianinie i chciała zostać

pielęgniarką, pisała do dyrektora sierocińca, niejakiego Wilfreda Parrota.

Parrot miał

sześćdziesiąt lat. W swoim życiu robił wiele ciekawych rzeczy: walczył w

Hiszpanii w

Brygadzie Abrahama Lincolna, pisał w latach 1933-1936 serial radiowy pod tytułem

"Za błękitnym horyzontem". Teraz prowadził szczęśliwy sierociniec. Wszystkie

dzieci

mówiły do niego "tato", wszystkie umiały gotować, tańczyć, grać na jakimś

instrumencie i malować.

Selena była u Buntline'ów od miesiąca. Miała pozostać przez rok. Oto, co pisała

w liście:

Kochany tato, może z czasem będzie mi tu lepiej, chociaż nie bardzo w to

wierzę. Nie przypadłyśmy sobie do gustu z panią Buntline. Powtarza stale, że

jestem niewdzięczna i impertynencka. Staram się taka nie być, ale widocznie mi

nie wychodzi. Mam nadzieję, że nie będzie na mnie tak wściekła, żeby się to

odbiło na sierocińcu. To mnie najbardziej martwi. Będę musiała starać się z

całej

siły dotrzymać ślubowania. Najgorzej jest zawsze z tym, co ona widzi w moich

oczach. Nie potrafię tego ukryć. Kiedy ona robi albo mówi coś głupiego albo

żałosnego, ja nic nie mówię, ale ona zagląda mi w oczy i potem się wścieka.

Pewnego razu powiedziała mi, że muzyka jest najważniejszą rzeczą w jej życiu,

zaraz po mężu i córce. Mają w całym domu głośniki, wszystkie podłączone do

wielkiego gramofonu w garderobie przy drzwiach frontowych. Muzyka gra przez

cały dzień i pani Buntline powiedziała, że jej największą przyjemnością jest

ustalanie rano programu muzycznego na cały dzień i wkładanie płyt do automatu.

Tego ranka płynęła ze wszystkich głośników muzyka niepodobna do niczego, co

dotąd słyszałam. Dźwięk był bardzo wysoki, szybki i drżący, i pani Buntline

podśpiewywała do taktu, kiwając głową, aby mi zademonstrować, jak jej się ta

muzyka podoba. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Potem przyszła jej

najlepsza przyjaciółka, niejaka pani Rosewater, i też mówiła, jak bardzo kocha

muzykę. Powiedziała, że kiedyś, kiedy szczęście się do niej uśmiechnie, ona też

będzie miała w domu piękną muzykę przez cały czas. W końcu nie wytrzymałam i

spytałam panią Buntline, co to, u licha, za muzyka. "Ależ moje drogie dziecko -

odpowiedziała - to nikt inny, tylko nieśmiertelny Beethoven". "Beethoven!" -

zawołałam. Na to ona: "Czy już kiedyś o nim słyszałaś?". "Tak, proszę pani,

słyszałam. Tato Parrot stale grał Beethovena w sierocińcu, ale to brzmiało

zupełnie inaczej". Na to ona zaprowadziła mnie do pomieszczenia, gdzie stał

adapter, i powiedziała: "No, dobrze. Udowodnię ci, że to Beethoven. Włożyłam do

gramofonu wyłącznie Beethovena. Czasami mam takie beethovenowskie dni". "Ja

też przepadam za Beethovenem" - powiedziała pani Rosewater. Pani Buntline

kazała mi zajrzeć, czy to jest Beethoven, czy nie. To był Beethoven. Załadowała

automat wszystkimi dziewięcioma symfoniami, tyle że ta nieszczęsna kobieta

odgrywała je z prędkością 78 zamiast 33, nie słysząc żadnej różnicy.

Powiedziałam jej to. Musiałam jej powiedzieć, prawda, tato? Byłam bardzo

uprzejma, ale musiałam mieć to coś w oczach, bo ona się wściekła i kazała mi iść

posprzątać ustęp szofera w garażu. Okazało się, że nie była to wcale taka brudna

robotą, bo od lat nie mają szofera.

* * *

Innym razem zabrała mnie, aby z wielkiej motorówki pana Buntline'a

obejrzeć zawody żeglarskie. Prosiłam o to. Powiedziałam, że w Pisquontuit o

niczym innym się nie mówi, tylko o regatach żaglówek. Powiedziałam, że

chciałabym zobaczyć, co w nich jest takiego cudownego. Tego dnia startowała jej

córka, Lila. Lila jest najlepszym żeglarzem w mieście. Szkoda, że nie możesz,

tato,

zobaczyć tych wszystkich pucharów, które zdobyła. Stanowią główną dekorację domu. Nie mają żadnych ciekawych obrazów. Sąsiad ma Picassa, ale słyszałam, jak mówił, że wolałby mieć córkę, która żeglowałaby tak jak Lila. Nie sądzę, aby to

było takie ważne, ale nic nie powiedziałam. Wierz mi, tato, że nie mówię nawet połowy tego, co myślę. W każdym razie pojechaliśmy obejrzeć te regaty i żałuję, że nie mogłeś usłyszeć, jak pani Buntline wrzeszczała i przeklinała. Pamiętasz słowa, jakich używał Arthur Gonsalves? Pani Buntline mówiła rzeczy, które zdziwiłyby nawet Arthura. Nigdy nie widziałam kobiety, która by się tak podniecała i wściekała. Zapomniała zupełnie o mojej obecności. Wyglądała jak czarownica chora na wściekliznę. Można by pomyśleć, że te opalone dzieciaki w swoich pięknych białych łódeczkach decydują o losach wszechświata. Wreszcie spojrzała na mnie i uświadomiła sobie, co wygadywała. "Musisz zrozumieć, dlaczego jesteśmy tak podnieceni – powiedziała. – Lila ma prawie w kieszeni Puchar Komandora". "Aha – powiedziałam. – To wszystko wyjaśnia". Przysięgam, tato, że nie powiedziałam nic więcej, ale widocznie znowu miałam to coś w oczach.

Najbardziej drażni mnie w tych ludziach nie ich brak wiedzy ani to, że tyle piją, ale to ich przeświadczenie, że wszystko, co na świecie jest piękne, podarowali biedakom oni albo ich przodkowie. Zaraz pierwszego wieczoru pani Buntline kazała mi wyjść na taras i popatrzeć na zachód słońca. Popatrzyłam i powiedziałam, że jest bardzo ładny, ale ona czekała, aż powiem coś jeszcze. Ponieważ nic nie przychodziło mi do głowy, więc powiedziałam coś, co wydawało mi się głupie: "Bardzo pani dziękuję". To było właśnie to, na co czekała.

"Proszę bardzo" – odpowiedziała. Dziękowałam jej odtąd za ocean, za księżyc, za gwiazdy na niebie i za konstytucję Stanów Zjednoczonych.

Może jestem zbyt tępa i złośliwa, aby dostrzec uroki Pisquontuit. Może to są perły przed wieprze, chociaż nie sadzę. Tęsknię za domem. Napiszę niedługo.

Kochająca Selena

PS. Kto naprawdę rządzi tym zwariowanym krajem? Chyba nie te kreatury?

Norman Mushari pojechał dla zabicia czasu do Newport i za ćwierć dolara zwiedził słynny pałacyk Rumfoorda. Najdziwniejszą rzeczą było to, że Rumfoordowie

naadal tam mieszkali i patrzyli spode łba na zwiedzających. Co więcej, Bóg świadkiem,

że nie potrzebowali tych pieniędzy.

Mushari poczuł się tak dotknięty szyderczym jękiem, jaki prawie dwumetrowy Lance Rumfoord wydał na jego widok, że poskarżył się lokajowi oprowadzającemu turystów.

– Skoro do tego stopnia nie znoszą zwiedzających, to nie powinni ich tu zapraszać i brać od nich pieniędzy.

Lokaj nie wykazał zrozumienia i wyjaśnił ze zgryźliwym fatalizmem, iż posiadłość bywa udostępniana publiczności tylko przez jeden dzień co pięć lat.

Wymaga tego testament ustanowiony trzy pokolenia temu.

– Skąd takie żądanie w testamencie?

– Założyciel posiadłości uważał, iż dobrze rozumiany interes mieszkańców tego pałacyku wymaga, aby okresowo zapoznawali się z egzemplarzami ludzi, którzy występują poza murami posiadłości. – Zmierzył Mushariego spojrzeniem od stóp do głów. – Może pan to nazwać trzymaniem ręki na pulsie.

Kiedy Mushari opuszczał posiadłość, dopadł go Lance Rumfoord. Z drapiezną uprzejmością, z wysokości swego wzrostu, wyjaśnił, że jego matka, uważająca się za

wielką znawczynię charakterów, uznała, iż Mushari służył kiedyś w amerykańskiej piechocie.

– Nie.

– Naprawdę? Ona tak rzadko się myli. Powiedziała nawet, że był pan strzelcem wyborowym.

– Nie.

Lance wzruszył ramionami.

– Jeżeli nie w tym życiu, to może w jakimś innym. – I znowu zaniósł się szyderczym śmiechem.

* * *

Synów samobójców często nachodzą samobójcze myśli, zwłaszcza wieczorem, kiedy spada im zawartość cukru we krwi. Tak właśnie było z Fredem Rosewaterem, gdy wrócił po pracy do domu. Omal nie przewrócił się o odkurzacz w wejściu do saloniku; odzyskał wprawdzie równowagę, robiąc szybki krok, ale otarł sobie gołeń o

mały stoliczek i strącił cukierki na podłogę. Zbierał je, chodząc na czworakach.

Wiedział, że żona jest w domu, ponieważ gramofon, który dostała na urodziny od Amanity, był włączony. Miała tylko pięć płyt i wszystkie włożyła do automatu.

Stanowiły jej premię za zapisanie się do klubu kolekcjonerów płyt. Przeżywała męczarnie, mając wybrać pięć darmowych płyt z listy liczącej sto. Ostatecznie wybrała

“Zatańcz ze mną” Franka Sinatry, “Pan moją twierdzą” i inne pieśni religijne w wykonaniu chóru mormonów Tabernakulum, “It's a Long Way to Tipperary” i inne pieśni w wykonaniu chóru i orkiestry Armii Radzieckiej, “Symfonię Nowego Świata” pod batutą Leonarda Bernsteina oraz wiersze Dylana Thomasa w wykonaniu Richarda Burtona.

Właśnie przy tej ostatniej Fred zbierał cukierki.

Fred wstał. W uszach mu dzwoniło, przed oczami latały płatki. Wszedł do sypialni, gdzie znalazł żonę w ubraniu na łóżku. Była pijana i opchana kurczakiem z

majonezem, jak zwykle po lunchu z Amanitą. Fred wyszedł na palcach i przyszło mu do głowy, żeby się powiesić na rurze w piwnicy.

Potem jednak przypomniał sobie o synu. Usłyszał odgłos spuszczonej wody, więc wiedział, że mały Franklin jest w łazience. Wszedł do pokoju syna, ażeby tam na

niego poczekać. Był to jedyny pokój w całym domu, w którym Fred czuł się naprawdę

dobrze. Żaluzje były opuszczone, co było nieco zastanawiające, gdyż chłopiec nie miał

powodu, aby unikać ostatnich promieni zachodzącego słońca, i nie było sąsiadów, którzy mogliby zaglądać przez okno.

Jedyne oświetlenie stanowiła dziwaczna lampa na stoliku nocnym. Składała się z gipsowej figurki kowala z uniesionym młotem, na tle płytki z mrożonego szkła w kolorze pomarańczowym. Za szybką była umieszczona żarówka, a nad nią blaszany wiatraczek obracany przez ciepłe powietrze znad żarówki. Połyskujące płaszczyzny obracającego się wiatraczka wywoływały grę światła na pomarańczowej szybcie, co wyglądało jak drganie prawdziwego ognia.

Z tą lampą była związana historia sprzed trzydziestu trzech lat. Firma produkująca te lampy stanowiła ostatni pomysł handlowy ojca Freda.

* * *

Fred pomyślał o przyjęciu dużej dawki środka nasennego, ale znowu przypomniał sobie o synu. Rozejrzał się po niesamowicie oświetlonym pokoju, szukając czegoś, co mogłoby dać temat do rozmowy, i zobaczył róg fotografii wystającej spod poduszki. Fred wyciągnął ją, wyobrażając sobie, że będzie to

zdjęcie
jakiegoś słynnego sportowca lub jego samego za sterem "Pączka Róży II".
Okazało się jednak, że jest to zdjęcie pornograficzne, które mały Franklin kupił rano od Lili Buntline za pieniądze zarobione rozwożeniem gazet. Przedstawiało dwie
tłuste, nienaturalnie uśmiechnięte, nagie prostytutki.
Fred, zaszokowany i pełen obrzydzenia, schował zdjęcie do kieszeni i wyszedł niepewnym krokiem do kuchni, zastanawiając się, co tu, na Boga, powiedzieć.
Jeżeli chodzi o kuchnię, to nawet krzesło elektryczne nie byłoby w niej dysonansem. Tak Karolina wyobrażała sobie salę tortur. Stał tam filodendron, który
umarł z pragnienia. W mydelniczce na zlewie leżała różnokolorowa kula ugnieciona z
wielu wilgotnych kawałków mydła. Robienie kul z kawałków mydła było jedyną umiejętnością gospodarską, którą Karolina wniosła do małżeństwa. Nauczyła ją tego
matka.
Fred pomyślał, że dobrze byłoby napęłnić wannę gorącą wodą, wejść do niej i przeciąć sobie żyły na przegubach nierdzewną żyłką. Potem jednak zauważył, iż pla-
stikowe wiaderko w rogu jest pełne. Wiedząc, jak Karolina będzie histeryzować, kiedy
się obudzi z pijackiego snu i zobaczy, że nikt nie wyniósł śmieci, wyniósł wiaderko do
garażu, opróżnił i umył przed domem z węża.
Frusz-frusz-frusz-bul-bul - robiła woda w wiaderku, a Fred tymczasem spostrzegł, że ktoś zostawił światło w piwnicy. Zajrzał do środka przez zakurzone
okienko i zobaczył górną część kredensu. Na kredensie leżała spisana przez jego ojca
historia rodziny, której Fredowi nigdy nie chciało się przeczytać. Była tam także
puszka trutki na szczury i pokryty rdzą rewolwer kalibru trzydzieści osiem. Składało się to na interesującą martwą naturę. Nagle Fred zauważył, że nie jest ona całkiem martwa. Mała myszka skubała róg manuskryptu.
Fred zapukał w szybę. Mysz zawahała się, spojrzała wszędzie, tylko nie na Freda, i wróciła do przerwane zajęcia.
Zszedł do piwnicy i zdjął rękopis z kredensu, aby sprawdzić, czy bardzo jest uszkodzony. Zdmuchnął kurz ze strony tytułowej, na której był napis: "Merrihue Ro-
sewater, Historia Rosewaterów z Rhode Island". Fred rozplątał sznurek, którym był
związany rękopis, i otworzył go na pierwszej stronie z następującym tekstem:
W Starym Świecie ojczyzną Rosewaterów były i są wyspy Scilly u wybrzeża Kornwalii. Założyciel rodziny miał na imię John i przybył na Wyspę Świętej Marii w roku 1645 w grupie towarzyszącej piętnastoletniemu księciu Karolowi, późniejszemu Karolowi II, uchodzącemu przed rewolucją purytańską. Nazwisko Rosewater było wówczas pseudonimem. Dopóki John nie zaczął go używać, w Anglii nie było Rosewaterów. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało John Graham. Był najmłodszym z pięciu synów Jamesa Grahama, piątego hrabiego i pierwszego markiza Montrose. Potrzeba pseudonimu wzięła się stąd, że James Graham był przywódcą rojalistów, a rojaliści przegrali. James, wśród innych swoich romantycznych wyczynów, udał się w przebraniu w szkockie góry, zorganizował małą, ale bitną armię i poprowadził ją do sześciu krwawych zwycięstw nad

przeważającymi siłami armii prezbiteriańskiej Archibalda Campbella, ósmego hrabiego Argyll. James był również poetą. W ten sposób każdy Rosewater jest w gruncie rzeczy Grahamem i ma w żyłach krew szkockiej szlachty. James został powieszony w roku 1650.

Biedny, poczciwy Fred nie mógł wprost uwierzyć, że może być spokrewniony z kimś tak znakomitym. Tak się akurat złożyło, iż miał na sobie skarpety firmy Argyll,

podciągnął więc spodnie, aby na nie popatrzeć. Słowo Argyll nabrało teraz dla niego

nowego znaczenia. Jeden z jego przodków, powtarzał sobie, sześciokrotnie rozniósł

hrabiego Argyll. Przy okazji Fred zauważył, że potłukł sobie golenie o stół gorzej, niż

myślał, gdyż na skarpetki firmy Argyll kapłała krew. Czytał dalej:

John Graham, przechrzcivszy się na wyspach Scilly na Johna Rosewatera, zasmakował widocznie w łagodnym klimacie swego nowego nazwiska, gdyż pozostał przy nim do końca życia, płodząc siedmiu synów i sześć córek. Podobno był również poetą, chociaż nie zachował się żaden z jego utworów. Będąc w posiadaniu jego wierszy, moglibyśmy wyjaśnić to, co musi pozostać tajemnicą: dlaczego szlachcic zrezygnował z dobrego nazwiska i wszystkich związanych z tym przywilejów i zadowolił się życiem prostego rolnika na wyspie oddalonej od ośrodków bogactwa i władzy. Mogę się tylko domyślać, a będzie to zawsze tylko domysł, iż miał dosyć wszystkich tych krwawych scen, na jakie się napatrzył, walcząc u boku brata. W każdym razie nie zrobił nic, aby dać znać rodzime, gdzie przebywa, ani by ujawnić, że jest Grahamem, kiedy przywrócono monarchię. W historii rodu Grahamów mówi się o nim, iż zginął na morzu jako członek drużyny księcia Karola.

Fred usłyszał, jak Karolina na górze wymiotuje.

Bezpośrednim przodkiem Rosewaterów z Rhode Island jest trzeci syn

Johna Rosewatera, Frederick. Wiemy o nim niewiele poza tym, że miał syna imieniem George, który jako pierwszy z Rosewaterów opuścił wyspy. George przeniósł się w roku 1700 do Londynu, gdzie został kwiaciarzem. Miał dwóch synów, z których młodszy, John, został uwięziony za długi w roku 1731. Rok później został uwolniony przez Jamesa E. Oglethorpe'a, który spłacił jego długi pod warunkiem, że John będzie mu towarzyszył w wyprawie do Georgii. John miał pełnić funkcję głównego specjalisty od ogrodnictwa w ekspedycji, która miała na celu założenie plantacji drzew morwowych i hodowlę jedwabników. John Rosewater został też głównym architektem, wykreślając plany przyszłego miasta Savannah. W roku 1742 został ciężko ranny w bitwie na Krwawych Błotach przeciwko Hiszpanom.

W tym miejscu Fred poczuł takie uniesienie z powodu inteligencji i odwagi swoich przodków, że musiał natychmiast powiedzieć o tym żonie. I ani mu przez myśl

nie przyszło, aby zanieść świętą księgę do żony. Musiała pozostać w świętej piwnicy i

żona miała zejść do niej.

Tak więc Fred ściągnął z żony kapę, co było niewątpliwie najśmielszym, najbardziej ostentacyjnym aktem seksualnym w ich małżeństwie, i powiedział jej, że

ich prawdziwe nazwisko brzmi Graham, że jeden z jego przodków zaprojektował Savannah i żeby z nim zeszła do piwnicy.

* * *

Poszła nieprzytomnie za Fredem. Mąż pokazał jej rękopis i zdyszonym głosem streścił historię Rosewaterów z Rhode Island do bitwy na Krwawych Błotach.

- Usiłuję ci wykazać - powiedział - że jesteście kimś. Mam już powyżej uszu udawania, że jesteście nikim.

- Nigdy nie udawałam, że jesteście nikim.

- Udawałaś, że to ja jestem nikim. - To śmiałe stwierdzenie zostało wypowiedziane prawie mimochodem i jego prawdziwość ogłuszyła ich oboje. - Wiesz dobrze, o co mi chodzi - parł dalej Fred na oślep, gdyż nie miał wprawy w mówieniu rzeczy gorzkich, a miał ich w zanadrzu jeszcze sporo. - Te nadęte chłystki, którymi się tak zachwycasz, w porównaniu z nami... w porównaniu ze mną... chciałbym wiedzieć, ilu oni mają przodków, którzy mogliby się równać z moimi. Zawsze uważałem, że to głupio chwalić się swoim drzewem genealogicznym, ale, na Boga, jeżeli ktoś chce iść na porównania, to chętnie zademonstruję swoje! Dość przepraszania!

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Inni ludzie mówią "Cześć" albo "Dzień dobry". A my zawsze mówimy "Przepraszam", niezależnie od tego, co robimy. - Uniósł ręce. - Koniec z przepraszaniem! Dobrze, jesteście biedni, no i co? Tu jest Ameryka! Ameryka jest jedynym miejscem na tym żalonym świecie, gdzie ludzie nie powinni się wstydzić tego, że są biedni. W Ameryce powinno się pytać: "Czy ten facet jest dobrym obywatelem? Czy jest uczciwy? Czy nie jest ciężarem dla innych?". Fred uniósł rękopis w pulchnych dłoniach, jakby się nim zamierzył na Karolinę.

- Rosewaterowie z Rhode Island byli aktywnymi, twórczymi ludźmi w przeszłości i będą nimi w przyszłości - powiedział. - Raz mieli pieniądze, raz nie, ale, na Boga, odegrali swoją rolę w historii! Nie będzie więcej przepraszania! Udało mu się natchnąć swoim zapalem Karolinę. Nie było to trudne, każdy zapaleniec mógł to zrobić. Słuchała go teraz z nabożnym szacunkiem.

- Wiesz, co jest napisane nad wejściem do Archiwum Narodowego w Waszyngtonie?

- Nie - przyznała.

- "Przeszłość jest prologiem"!

- O.

- Dobrze - powiedział Fred. - A teraz poczytajmy razem historię Rosewaterów z Rhode Island i starajmy się ciągnąć nasze małżeństwo, okazując nieco więcej dumy i wiary.

Karolina tępo skinęła głową.

* * *

Opowieść o Johnie Rosewaterze i bitwie na Krwawych Błotach kończyła drugą stronę rękopisu. Fred ujął róg stronicy dwoma palcami i pełnym napięcia ruchem od-
dzielił ją od leżących pod nią cudów.

Rękopis był dziurawy. Termyty wyżarły historii serce. Były tam jeszcze - szaroniebieskie, wstrętne - i gryzły.

Kiedy Karolina, trzęsąc się z obrzydzenia, uciekła z piwnicy, Fred spokojnie stwierdził, że nadszedł czas, aby naprawdę umrzeć. Potrafił zrobić podwójną kluczkę z zawiązanymi oczami i teraz zaciągnął ją na sznurze do bielizny. Potem wszedł na stół, przywiązał dwoma półsztykami drugi koniec do rury i wypróbował węzeł. Właśnie wkładał głowę w pętlę, kiedy mały Franklin zawołał z góry, że ktoś chce się z nim zobaczyć. Ten ktoś, a był to Norman Mushari, wszedł bez

zaproszenia na

dół, dźwigając pękata, opasaną na krzyż, nie dopinającą się teczkę.

Fred zszedł pośpiesznie na podłogę, omal nie przyłapany na wstydlwym akcie samozniszczenia.

- Słucham...?

- Pan Rosewater...?

- Tak.

- Proszę pana, w tej chwili pańscy krewni z Indiany za pomocą szwindli pozbawiają pana i pańską rodzinę dziedzictwa wartego grube miliony dolarów. Przybyłem tutaj, aby poinformować pana o stosunkowo taniej i prostej procedurze sądowej, która sprawi, że te miliony będą pańskie.

Fred zemdlał.

12

Dwa dni później zbliżała się godzina, kiedy Eliot miał wsiąść do autobusu i pojechać na spotkanie z Sylwią w Pokoju Turkusowym. Było południe. Eliot jeszcze spał. Miał za sobą piekielną noc, pełną nie tylko telefonów, ale i ludzi przychodzących

osobiście o różnych godzinach, z czego więcej niż połowa w stanie nietrzeźwym. W mieście Rosewater wybuchła panika. Mimo wszystkich zaprzeczeń Eliota, jego podopieczni byli przekonani, że opuszcza ich na zawsze.

Opróżnił blat biurka. Leżał teraz na nim nowy granatowy garnitur, nowa biała koszula, nowa para czarnych nylonowych skarpetek, nowa para krótkich kalesonów, nowa szczoteczka do zębów i butelka Lavis. Szczoteczki do zębów już raz użył i jego

usta były teraz jedną krwawą raną.

Na dworze czekały psy. Przybiegły przez ulicę z remizy strażackiej, aby powitać swego wielkiego ulubieńca, Delberta Peacha, miejscowego pijaczka.

Dopingowały go w jego wysiłkach, aby przestać być człowiekiem i zejść do reszty na

psy.

- Poszedł! Poszedł! - krzyczał bez skutku. - Do cholery, nie jestem suką!

Wtoczył się w drzwi na dole, zatrzaskał je przed nosem swoich przyjaciół i wdrapał się po schodach, podśpiewując:

Miało się tryperka, syfa miało się,

Tryper to drobnostka, syf niestety nie.

Delbertowi Peachowi, który był zarośnięty i cuchnął, starczyło tej piosenki tylko do połowy schodów, gdyż poruszał się wolno. Przystawił się więc na "Gwiazdzisty sztandar" i sapiąc, czkając i nucąc, wkroczył do biura Eliota.

- Panie Rosewater! Panie Rosewater!

Eliot miał głowę pod kołdrą i mimo iż spał głębokim snem, jego dłonie kurczowo ścisnęły całun. Peach, aby ujrzeć oblicze Eliota, musiał pokonać uścisk jego dłoni.

- Panie Rosewater, czy pan żyje? Czy nic panu nie jest?

Eliot miał twarz wykrzywioną wysiłkiem walki o kołdrę.

- Co? Co? Co? - zawołał, szeroko otwierając oczy.

- Bogu niech będą dzięki! Śniło mi się, że pan nie żyje!

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Miałem sen, że zeszyły z nieba anioły, zabrały pana do siebie i posadziły pana po prawicy Słodkiego Jezusa.

- Nie - powiedział Eliot półprzytomnie. - Nic takiego nie miało miejsca.

- Ale któregoś dnia tak będzie. I wtedy płacz i szloch tego miasta dojdzie do pana tam, w górze.

Eliot miał nadzieję, że tam w górze nie będzie już słyszał płaczu i szlochu, ale nie powiedział tego na głos.

- Chociaż pan nie umiera, panie Rosewater, wiem, że pan już nigdy nie wróci.

Pojedzie pan do Indianapolis, gdzie jest ruch, światła, piękne domy, i znowu zasmakuje pan w eleganckim świecie, zapragnie pan dalszych wrażeń, co jest

rzeczą

naturalną u kogoś, kto tak jak pan próbował eleganckiego życia, i zanim się pan obejrzy, znajdzie się pan w Nowym Jorku, w najelegantszym towarzystwie, jakie tam

jest. I dlaczego nie miałby pan tak zrobić?

- Panie Peach - tu Eliot przetaił oczy - gdybym kiedyś trafił do Nowego Jorku i zaczął znowu żyć w tym najelegantszym towarzystwie, to wie pan, co by się ze mną

stało? Z chwilą, gdybym się znalazł w pobliżu jakiegokolwiek żeglownego kawałka wody, piorun strąciłby mnie prosto w paszczę wieloryba, i ten wieloryb

popłynąłby do

Zatoki Meksykańskiej, potem w górę Missisipi, Ohio, Wabash, w górę Rzeki Białej

i

Zgubionej, skąd ten wieloryb przeskoczyłby do Międzystanowego Kanału Rosewatera,

kanalem dopłynąłby do miasta i wypłułby mnie przed Partenonem. I byłbym z

powrotem.

* * *

- Niezależnie od tego, czy pan wróci, panie Rosewater, chciałbym panu zrobić prezent na drogę z pewnej dobrej nowiny.

- I cóż to za nowina, panie Peach?

- Dziesięć minut temu postanowiłem skończyć z alkoholem raz na zawsze. To

jest mój prezent dla pana.

* * *

Zadzwoił czerwony telefon. Eliot rzucił się do aparatu, gdyż była to gorąca linia straży pożarnej.

- Halo! - Zacisnął wszystkie palce lewej dłoni z wyjątkiem środkowego. Nie był to gest nieprzyzwoity: po prostu szykował palec, który naciśnie czerwony guzik i uruchomi straszliwą syrenę na dachu remizy.

- Czy pan Rosewater? - zagruchał kobiecy głos.

- Tak! Tak! - zawołał Eliot, podskakując. - Gdzie się pali?

- W moim sercu, panie Rosewater.

Eliot wpadł we wściekłość, co nie powinno być dla nikogo niespodzianką.

Słynął z tego, że nienawidził żartów, kiedy w grę wchodziła straż pożarna. Była to

jedyna rzecz, jakiej nienawidził. Rozpoznał głos Mary Moody, flądry, której bliźnięta

chrzczył poprzedniego dnia. Była pięciodolarową dziwką podejrzaną o podpalenia i karaną za kradzieże sklepowe. Eliot zwymyślał ją za użycie gorącej linii.

- Niech cię szlag trafi za dzwonenie pod ten numer! Powinnaś zgnić w

więzieniu! Głupie skurwysyny, które wykorzystują linię straży pożarnej do

prywatnych rozmów, powinny iść do piekła i smażyć się tam przez wieczność!

- I Eliot cisnął słuchawkę.

Kilka sekund później zadzwonił czarny aparat.

- Tu Fundacja Rosewatera - odezwał się Eliot czule. - Czym możemy służyć?

- Panie Rosewater - odezwał się łkający głos - to jeszcze raz Mary Moody.

- Co się stało, moja droga? - Pytał najzupełniej szczerze. Gotów był

zamordować tego, przez kogo płakała.

* * *

Pod oknami Eliota zatrzymał się czarny chrysler Imperial z szoferem za

kierownicą. Szofer otworzył tylne drzwi. Pokonując ból w starych kościach,

wysiadł

senator Lister Ames Rosewater z Indiany. Jego wizyta była niespodzianką. Senator starczym krokiem wszedł po schodach. Ten żalony sposób poruszania się był u niego czymś nowym. Postarzał się okropnie i demonstracyjnie to podkreślał.

Na górze zrobił coś, co robiło bardzo niewielu gości: zapukał do drzwi Eliota i spytał,

czy może wejść. Eliot, wciąż jeszcze w swojej wonnej bieliźnie z demobilu, pośpieszył

do ojca i rzucił mu się na szyję.

- Ojcie, ojcie... co za cudowna niespodzianka.

- Niełatwo mi przyszło wybrać się tutaj.

- Chyba nie sądziłeś, że nie będziesz tu mile widziany.

- Nie mogę patrzeć na ten chlew.

- Na pewno jest tu dużo lepiej niż tydzień temu.

- Czyżby?

- Tydzień temu mieliśmy tu gruntowne porządki.

Senator drgnął, trącił czubkiem buta puszkę po piwie.

- Mam nadzieję, że nie na mój rachunek. To, że ja się obawiam epidemii cholery, nie znaczy, że ty też musisz się jej obawiać - powiedział spokojnie.

- Czy znasz pana Delberta Peacha?

- Ze słyszenia. - Senator kiwnął głową. - Dzień dobry panu, panie Peach.

Słyszałem o pańskim udziale w wojnie. O ile się nie mylę, dezercerował pan dwukrotnie? Czy może trzykrotnie?

Peach, który spochmurniał i starał się zejść z oczu tak majestatycznej postaci, wymamrotał, że nigdy nie służył w wojsku.

- W takim razie chodziło o pańskiego ojca. Najmocniej przepraszam. Trudno określić wiek człowieka, który rzadko się myje i goli.

Peach potwierdził swoim milczeniem, że to prawdopodobnie jego ojciec trzykrotnie dezercerował.

- Zastanawiam się, czy moglibyśmy na chwilę zostać sami - zwrócił się senator do Eliota - czy też byłoby to sprzeczne z twoimi poglądami na temat stopnia jawności

i serdeczności, jaki powinien obowiązywać w naszym społeczeństwie?

- Wychodzę - powiedział Peach. - Wiem, kiedy jestem zbyt czyny.

- Przypuszczam, że miał pan wiele okazji, aby się tego nauczyć - odezwał się senator.

Peach, który zmierzał już do drzwi, zatrzymał się na tę obelgę, zaskakując nawet samego siebie tym, że zauważył, iż został obrażony.

- Jak na człowieka, który zabiega o głosy zwykłych, szarych obywateli, senatorze, potrafi pan niewątpliwie być dla nich nieprzyjemny.

- Jako pijak, panie Peach, musi pan zapewne wiedzieć, że pijaków nie wpuszcza się do lokali wyborczych.

- Ja głosowałem. - Było to oczywiste kłamstwo.

- Jeżeli tak, to prawdopodobnie oddał pan głos na mnie. Większość ludzi głosuje na mnie, mimo iż nigdy nie podlizywałem się obywatelom Indiany, nawet w latach wojny. A wie pan, dlaczego głosują na mnie? Bo wewnątrz każdego Amerykanina, choćby nie wiem jak nisko upadł, siedzi taki jak ja chudy, mówiący przez nos, stary pierdoła, nienawidzący złodziei i degeneratów jeszcze bardziej niż ja.

* * *

- Hej, ojcie, spodziewałbym się każdego, tylko nie ciebie. Co za przyjemna niespodzianka. Wyglądasz cudownie.

- Czuję się parszywie. Mam też parszywe wiadomości dla ciebie. Uważałem, że lepiej będzie, jeżeli ci je przekażę osobiście.

Eliot zmarszczył czoło.

- Kiedy ostatni raz miałeś stolec?

- Nie twój interes!

- Przepraszam.

- Nie przyszedłem tutaj po środki na przeczyszczenie. Prasa związkowa twierdzi, że mam zatwardzenie od czasu uznania Ustawy o Uzdrowieniu Gospodarki za sprzeczną z konstytucją, ale nie w tej sprawie przyjechałem.

- Mówiłeś, że wszystko jest takie parszywe.

- No i co z tego?

- Zazwyczaj, kiedy ktoś przychodzi i się skarży, że wszystko jest parszywe, w dziewięciu wypadkach na dziesięć przyczyną jest zatwardzenie.

- Powiem ci, o co chodzi, mój chłopcze, i wtedy zobaczymy, czy pigułki na przeczyszczenie poprawią ci nastrój. Otóż młody prawnik z firmy McAllister, Robjent,

Reed i McGee, mający dostęp do poufnych materiałów na twój temat, wymówił. Pracuje teraz dla Rosewaterów z Rhode Island. Postawią cię przed sądem. Będą dowodzić, że jesteś niepoczytalny.

W tym momencie zadzwonił budzik. Eliot wziął go do ręki i podszedł do czerwonego guzika w ścianie. W napięciu obserwował wskazówkę sekundową i bezgłośnie poruszając wargami, odliczał sekundy. Wycelował środkowy palec lewej ręki w guzik i nagle pchnął, uruchamiając w ten sposób najgłośniejszą syrenę alarmową na półkuli zachodniej.

Przeraźliwy ryk syreny rzucił senatorem o ścianę, zgiął go wpół z rękami na uszach. W oddalonej o siedem mil Nowej Ambrozji pies zaczął biegać w kółko, gryząc

własny ogon. W barze na przystanku autobusowym jakiś przyjezdny oblał kawą siebie

i właściciela. W Kąciku Piękności Belli w suterenie sądu stotrzydziestopięciokilowa

Bella dostała lekkiego ataku serca. A dowcipnisie w całym okręgu przystanęli, aby

opowiedzieć wyświechtany i nieprawdziwy kawał o komendancie straży pożarnej, Charleyu Warmergramie, który miał biuro ubezpieczeniowe obok remizy: "Charley Warmergram na pewno spadł ze swojej sekretarki".

Eliot puścił guzik. Wielka syrena zaczęła połykać swój własny głos, powtarzając gardłowo bez końca: "Bul-bul-bul, bul-bul-bul".

Nigdzie się nie paliło. Było to po prostu południe w mieście Rosewater.

* * *

- Co za hałas! - poskarżył się senator, prostując się powoli. - Zapomniałem wszystko, co wiedziałem.

- To mogłoby być niezłe.

- Czy słyszałeś, co powiedziałem o tych z Rhode Island?

- Słyszałem.

- No i jak się czujesz?

- Jestem zmartwiony i przestraszony. - Eliot westchnął, spróbował uśmiechnąć się ze smutkiem, ale mu nie wyszło. - Miałem nadzieję, że nigdy nie będzie trzeba tego udowadniać, że nigdy nie będzie miało większego znaczenia, czy

jestem normalny, czy nie.

- Masz jakieś wątpliwości co do własnej normalności?

- Oczywiście.

- Od jak dawna?

Eliot szeroko otworzył oczy, szukając w myśli prawdziwej odpowiedzi.

- Chyba gdzieś od dziesiątego roku życia.

* * *

- Jestem pewien, że to żart.
 - To mnie pociesza.
 - Byłeś zdrowym, normalnym chłopcem.
 - Naprawdę? - Eliot był szczerze oczarowany sobą samym z dzieciństwa, wolał myśleć o tamtym chłopcu niż o upiorach, które go teraz ścigały.
 - Żałuję, że cię tu sprowadziliśmy.
 - Było mi tu bardzo dobrze. Nadal jest mi tu dobrze - wyznał Eliot z rozmarzeniem.
 Senator rozstawił szerszej stopy, aby mieć mocniejsze oparcie dla ciosu, który zamierzał zadać.
 - Możliwe, mój chłopcze, ale nadszedł czas, aby stąd wyjechać... i to na zawsze.
 - Na zawsze? - powtórzył Eliot ze zdziwieniem.
 - Ta część twego życia jest zakończona. Musiała się kiedyś skończyć. Za jedno będę wdzięczny temu padalcowi z Rhode Island: za to, że zmusił cię do wyjazdu stąd, i

to natychmiast.

- W jaki sposób?

- A jak masz zamiar się bronić przed zarzutem niepoczytalności w takim otoczeniu?

Eliot rozejrzał się i nie dostrzegł nic niezwykłego.

- Czy to... czy to wygląda jakoś szczególnie?

- Dobrze wiesz, że tak.

Eliot powoli pokręcił głową.

- Byłbyś zdziwiony, ilu rzeczy nie wiem, ojczu.

- Nie ma drugiej takiej instytucji nigdzie na świecie. Gdyby to pokazano na scenie i podniesiono kurtynę przy pustej scenie, widownia siedziałaby jak na szpilkach, chcąc zobaczyć tego nieprawdopodobnego wariata, który może mieszkać w takich warunkach.

- A gdyby ten wariat wyszedł i logicznie wyjaśnił, dlaczego tak mieszka?

- Nie przestałby być wariatem.

* * *

Eliot zgodził się z tym albo takie sprawiał wrażenie. Nie sprzeczał się, uznał, że

lepiej będzie umyć się i ubrać przed podróżą. Przetrzęsając szuflady biurka, znalazł

papierową torebkę zawierającą zakupy z poprzedniego dnia: mydło Dial, butelkę Absorbiny przeciwko grzybicy stóp, butelkę szamponu przeciwko łupieżowi, buteleczkę dezodorantu Arrid oraz tubkę pasty do zębów Crest.

- Cieszę się, widząc, że znowu zaczynasz dbać o swój wygląd, mój chłopcze.

- Hm? - Eliot czytał etykietkę na dezodorancie Arrid, którego nigdy dotąd nie używał. Nie używał dotąd w ogóle żadnego dezodorantu.

- Doprowadź się do porządku, ogranicz alkohol, wynieś się stąd i otwórz przyzwoite biuro w Indianapolis, Chicago albo w Nowym Jorku, a kiedy dojdzie do przesłuchania, przekonają się, że jesteś najnormalniejszym człowiekiem.

- Uhum. - Eliot spytał ojca, czy kiedyś używał tego dezodorantu.

Senator poczuł się urażony.

- Biorę natrysk codziennie rano i wieczorem. Uważam, że to załatwia sprawę wszelkich nieprzyjemnych odorów.

- Tu jest napisane, że można dostać wysypki i wtedy należy przerwać stosowanie.

- Jak masz się denerwować, to nie używaj tego. Woda i mydło są najważniejsze.

- Uhum.

- To jest właśnie jeden z problemów tego kraju - powiedział senator. - Ci specjaliści od reklamy sprawili, że wszyscy bardziej się przejmujemy swoimi pachami

niż Rosją, Chinami i Kubą razem wziętymi.

Wielce niebezpieczna w istocie rozmowa między dwoma bardzo łatwymi do zranienia ludźmi natrafiła na małą strefę ciszy. Mogli zgadzać się ze sobą i na chwilę

zapomnieć o strachu.

- Wiesz - powiedział Eliot. - Kilgore Trout napisał całą książkę o kraju, który poświęcił się walce z zapachami. Stała się ona ich celem narodowym. Nie mieli żadnych chorób, zbrodni ani wojen, więc wzięli się za zapachy.

- Kiedy staniesz przed sądem - rzekł senator - lepiej, żebyś nie wspominał o swoim entuzjazmie dla tego Trouta. Twoje zamiłowanie dla fantastyki naukowej może

być przez wielu ludzi uznane za dowód niedojrzałości.

Rozmowa znowu wkroczyła na niebezpieczny teren. W głosie Eliota słyszeć było nerwowe nutki, kiedy upierał się przy opowiedzeniu do końca powieści Trouta,

zatytułowanej "Przepraszam, czy pan coś czuje?".

- Ów kraj - mówił Eliot - podejmował zakrojone na olbrzymią skalę badania naukowe skierowane na walkę z zapachami. Finansowano je z indywidualnych składek zbieranych przez matki, które w niedziele wędrowały od drzwi do drzwi. Ideałem tych badań było znalezienie odpowiedniego dezodorantu na każdy zapach. I wówczas bohater, który był jednocześnie dyktatorem kraju, znalazł wspaniałe rozwiązanie, mimo iż nie był uczonym, i dalsze badania przestały być potrzebne. Trafił w samo jądro problemu.

- Uhum - mruknął senator, który nie znosił utworów Kilgore'a Trouta i wstydił się za syna. - Czy znalazł jakiś odczynnik likwidujący wszystkie zapachy? -

zapytał, aby przyśpieszyć zakończenie historii.

- Nie. Jak wspomniałem, bohater był dyktatorem i po prostu zlikwidował nosy.

* * *

Eliot kąpał się teraz w swojej obskurnej małej toalecie. Drżał, parskał i prychał,

obmywając się mokrymi papierowymi ręcznikami.

Jego ojciec, nie mogąc na to patrzeć, krążył po pokoju, odwracając wzrok od tych nieprzyzwoitych i mało skutecznych ablucji. Drzwi biura nie miały zamka i Eliot

na skutek nalegań ojca zastawił je szafką z kartoteką.

- Co będzie, jeżeli ktoś wejdzie i zobaczy cię nago? - spytał senator, na co Eliot

odpowiedział:

- Dla tych ludzi, ojczy, jestem istotą, której płeć nie ma znaczenia.

Przygnębiony tą nienaturalną bezpłciowością i innymi oznakami nienormalności, senator w zamyśleniu wyciągnął górną szufladę szafki kartotecznej.

Były tam trzy puszki piwa, nowojorskie prawo jazdy z 1948 roku oraz nie zaklejona

koperta adresowana do Sylwii w Paryżu i nie wysłana. Koperta zawierała wiersz miłosny Eliota do Sylwii z datą sprzed dwóch lat.

Senator, pokonawszy wstyd, przeczytał wiersz, licząc na to, że znajdzie w nim jakieś argumenty na obronę syna. Nie potrafił opanować zażenowania po przeczytaniu wiersza, który brzmiał tak:

Jestem malarzem w moich snach, wiesz?

A może nie wiesz. I rzeźbiarzem.
Długo cię nie widziałem.
I podnieca mnie
Fizyczny kontakt z materiałem.
Niektóre rzeczy, jakie bym z tobą robił,
Mogłyby być dla ciebie zaskoczeniem.
Na przykład, gdybym był z tobą, kiedy to czytasz,
Mógłbym cię prosić, abyś obnażyła brzuch,
Tak abym mógł paznokciem lewego kciuka
Przeciagnać prostą linię długości pięciu cali
Wzdłuż granicy włosów na twoim łonie,
A potem wcisnąłbym wskazujący palec
Prawej ręki
Tuż przy prawym skraju
Twego sławnego pępka.
I pozostawiłbym go tam bez ruchu
Przez jakieś pół godziny.
Dziwne?
No myślę.
Senator był wstrząśnięty. Zmroziły go zwłaszcza słowa o uwłosieniu łonowym.
Widział w życiu bardzo niewiele nagich ciał ludzkich, może pięć lub sześć, i
uwłosienie
łonowe było dla niego czymś najbardziej wstydlwym i nieprzyzwoitym na świecie.
Eliot wyszedł z toalety, cały goły, owłosiony, wycierając się ścierką do naczyń.
Ścierka była nowa, jeszcze z metką. Senator skamieniał, czując się osaczony ze
wszystkich stron przez przeważające siły brudu i grzechu.
Eliot nic nie zauważył. Spokojnie wycierał się dalej, potem wyrzucił ścierkę do
kosza. Zadzwoił czarny telefon.

- Fundacja Rosewatera. W czym możemy pomóc?
- Panie Rosewater - odezwał się kobiecy głos - mówili o panu w radiu.
- Tak? - Eliot, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął się bawić swoimi włosami
łonowymi. Nie było to nic nadzwyczajnego. Po prostu rozciągał ciasno skręconą
sprężynkę włosa i puszczał go z powrotem.
- Mówiono, że chcą udowodnić, że jest pan pomyłony.
- Nie przejmuj się tym, moja droga. Od zamiaru do wykonania droga daleka.
- Oh, panie Rosewater, chyba umrzemy, jeżeli pan wyjedzie i nigdy już nie
wróci.
- Daję ci słowo honoru, że wrócę. Odpowiada ci to?
- Może oni nie pozwolą panu wrócić?
- Czy myślisz, że naprawdę jestem wariatem?
- Nie wiem, jak to powiedzieć.
- Jak ci wygodniej.
- Boję się, że ludzie będą uważać pana za pomyłonego dlatego, że poświęca pan
tyle uwagi takim jak my.
- Czy widziałas tych innych, którym można poświęcać uwagę?
- Nigdy nie wyjeżdżałam z naszego okręgu.
- Warto spróbować, moja droga. Chcesz, to po powrocie zafunduję ci
wycieczkę do Nowego Jorku?
- O, Boże! Ale pan już nie wróci!
- Dałem ci słowo honoru.
- Wiem, wiem, ale my czujemy to w kościach, to wisi w powietrzu. Pan nie
wróci.
Eliot znalazł teraz włos cudo. Rozciągał go i rozciągał, aż się okazało, że ma
przeszło trzydzieści centymetrów długości. Eliot spojrział w dół, potem podniósł

wzrok
na ojca, nieprawdopodobnie dumny, że jest posiadaczem takiego cuda.

Senator był purpurowy.

– Planowaliśmy różne sposoby pożegnania pana, panie Rosewater – mówiła kobieta. – Pochody, transparenty, flagi i kwiaty. Ale nie ujrzy pan nikogo z nas. Za

bardzo się boimy.

– Czego?

– Nie wiem. – I odłożyła słuchawkę.

* * *

Eliot naciągnął swoje nowe gatki. Skoro tylko opięły go należycie, ojciec odezwał się ponuro:

– Eliot...

– Słucham? – Eliot z satysfakcją przeciągnął kciukiem pod gumką w pasie. –

Te rzeczy naprawdę dobrze wszystko trzymają. Zapomniałem już, jakie to przyjemne uczucie.

Senator wybuchnął:

– Dlaczego mnie tak nienawidzisz?! – krzyknął.

Eliot był zdumiony.

– Nienawidzę? Ojczy, to nieprawda. Ja nie nienawidzę nikogo.

– Każde twoje słowo i każdy gest mają na celu zranić mnie jak najboleśniej!

– Nie!

– Nie mam pojęcia, co ci takiego zrobiłem, za co mi teraz odpłacasz, ale jestem pewien, że rachunki zostały wyrównane.

Eliot był wstrząśnięty.

– Ojczy... proszę cię...

– Odejdź! Zranisz mnie tylko jeszcze bardziej, a ja już więcej nie zniosę.

– Na miłość boską...

– Miłość! – powtórzył senator z goryczą. – Kochałeś mnie, prawda? Tak mnie kochałeś, że zdeptałeś wszystkie moje nadzieje i ideały. I na pewno kochałeś też Sylwię, prawda?

Eliot zasłonił uszy.

Staruszek wściekał się dalej, bryzgając drobnymi kropelkami śliny. Eliot nie słyszał słów, ale z ruchu warg odczytywał przerażającą opowieść o tym, jak zrujnował

życie i zdrowie kobiety, której jedynym błędem było to, że go pokochała.

Senator wypadł z biura i odjechał.

Eliot odsłonił uszy i skończył się ubierać, jakby nie zdarzyło się nic

szczególnego. Usiadł, aby zawiązać sznurowadła. Gdy skończył, wyprostował się i zastygł sztywny jak trup.

Zadzwonił czarny telefon. Eliot nawet nie drgnął.

13

Jednak jakaś część świadomości Eliota śledziła zegarek. Dziesięć minut przed porą przyjazdu autobusu odtajał, powstał, zacisnął wargi, strzepnął jakiś pyłek

z

garnituru i wyszedł z biura. Nie pamiętał kłótni z ojcem. Szedł zamaszystym krokiem

chaplinowskiego szlifibruka.

Schylił się, aby poklepać łby psów, które powitały go na ulicy. Nowe ubranie

uwierało go, piło w kroku i pod pachami i szeleściło, jakby było podszyte

gazetami,

przypominając mu nieustannie, jak elegancko jest wystrojony.

Z baru dobiegała rozmowa. Eliot słuchał, nie wchodząc. Nie poznawał głosów,

mimo iż należały do jego przyjaciół. Trzech mężczyzn prowadziło smutną rozmowę o

pieniądzach, których nie mieli. Rozmowę przerywały częste chwile milczenia, gdyż

Z

myśleniem było u nich prawie równie kiepsko, jak z pieniędzmi.

- Tak - odezwał się wreszcie jeden - bieda nie hańbi człowieka. - Była to pierwsza część ulubionego powiedzonka humorysty z Indiany, Kina Hubbarda.

- Tak - powiedział drugi z mężczyzn, kończąc dowcip - ale co to za różnica?

* * *

Eliot przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do biura ubezpieczeniowego Charleya Warmergrama, komendanta straży pożarnej. Charley nie był nędzarzem i nigdy nie zwracał się do Fundacji po żadne wsparcie. Był jedną z siedmiu osób w okręgu, które rzeczywiście nieźle prosperowały w systemie autentycznie wolnej konkurencji. Bella od Kącika Piękności była drugą z tych osób. Oboje zaczęli od zera,

oboje byli dziećmi hamulcowych z linii Nickel Plate. Charley był o dziesięć lat młodszy

od Eliota. Miał sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, szerokie bary, wąskie

biodra, płaski brzuch. Był nie tylko komendantem straży pożarnej, lecz także szeryfem

federalnym oraz inspektorem miar i wag. Był też wraz z Bellą współwłaścicielem La

Boutique de Paris, sympatycznego małego sklepiku z pasmanterią i galanterią w nowym centrum handlowym dla zamożnych mieszkańców Nowej Ambrozji. Jak wszyscy prawdziwi bohaterowie, Charley miał jedną zgubną wadę. Nie chciał wierzyć,

że ma rzeżączkę, podczas gdy prawda wyglądała tak, że miał.

Słynna sekretarka Charleya wyszła na miasto. Jediną osobą w biurze poza Charleyem był Noyes Finnerty, zamiatający właśnie podłogę. Noyes grał jako obrotowy w nieśmiertelnej drużynie szkoły imienia Noaha Rosewataera, która ukończyła rozgrywki w 1933 roku bez jednej porażki. W 1934 Noyes udusił swoją szesnastoletnią żonę za powszechnie znaną niewierność i poszedł do więzienia na dożywocie. Teraz dzięki Eliotowi zwolniono go warunkowo. Miał pięćdziesiąt jeden lat, nie miał krewnych ani przyjaciół. Eliot dowiedział się, że Noyes jest w więzieniu,

przypadkiem, przeglądając stare roczniki gazet, i uparł się, że uzyska dla niego warunkowe zwolnienie.

Noyes był spokojnym, cynicznym, zamkniętym w sobie osobnikiem. Nigdy za nic Eliotowi nie podziękował. Eliot nie czuł się tym ani zaskoczony, ani zraniony. Był

przyzwyczajony do niewdzięczności. Jedną z jego ulubionych powieści Kilgore' a Trouta była w całości poświęcona niewdzięczności. Nosila tytuł: "Pierwszy okręgowy

sąd podziękowań". Chodziło o sąd, do którego można było kogoś zaskarżyć, jeżeli się

uważało, że jest niewystarczająco wdzięczny za coś, co się dla niego zrobiło. W razie

gdy pozwany przegrywał, sąd dawał mu do wyboru: podziękować publicznie powodowi albo iść na miesiąc do więzienia o chlebie i wodzie. Według Trouta, osiemdziesiąt procent skazanych wybierało odsiadkę.

* * *

Noyes znacznie szybciej niż Charley zorientował się, że z Eliotem jest coś nie w porządku. Przerwał zamiatanie i przyglądał mu się z uwagą. Był złośliwym obserwatorem. Charley, urzeczony wspomnieniem tylu pożarów, przy których on i Eliot zachowywali się tak dzielnie, niczego nie zauważył, dopóki Eliot nie

pogratulował mu zdobycia nagrody, którą w rzeczywistości zdobył przed trzema laty.

- Eliot, chyba żartujesz?

- Dlaczego miałbym żartować? Uważam, że to wielki honor. - Mówili o

nagrodzie imienia Horatio Algera, przyznanej Charleyowi w roku 1962 przez Federację Klubów Młodych Konserwatywnych Republikańskich Biznesmenów Stanu Indiana.

- Eliot - powiedział Charley zaniepokojony - to było trzy lata temu.

- Naprawdę?

Charley wstał zza biurka.

- A ty i ja siedzieliśmy w twoim biurze i postanowiliśmy odesłać tę cholerną plakietkę z powrotem.

- Tak było?

- Prześledziliśmy historię tej nagrody i uznaliśmy, że to jest pocałunek śmierci.

- Dlaczego?

- To ty wygrzebałeś te dane, Eliot.

Eliot zmarszczył się lekko.

- Zapomniałem. - To lekkie zmarszczenie czoła było częścią formalnością, gdyż zupełnie go nie zmartwiła ta oznaka krótkiej pamięci.

- Zaczęli to przyznawać w czterdziestym piątym. Przede mną przyznali ją szesnaście razy. Jeszcze nie pamiętasz?

- Nie.

- Z szesnastu laureatów nagrody imienia Horatio Algera sześciu siedziało za kratkami za malwersacje lub oszustwa podatkowe, czterej byli oskarżeni z różnych paragrafów, dwaj sfalszowali dokumenty dotyczące ich udziału w wojnie, jeden zaś poszedł autentycznie na krzesło elektryczne.

* * *

- Eliot - powiedział Charley z narastającym niepokojem - czy słyszałeś, co przed chwilą mówiłem?

- Słyszałem - odparł Eliot.

- Co powiedziałem?

- Nie pamiętam.

- Przed chwilą powiedziałaś, że słyszałeś.

- On słyszy tylko wielkie pstryknięcie - odezwał się Noyes Finnerty, podchodząc, aby lepiej się przyjrzeć Eliotowi. W tym jego zbliżaniu się nie było sympatii, tylko czysto kliniczne zainteresowanie. Zachowanie Eliota również było kliniczne, jakby przyjazny lekarz świecił mu latarką w oczy, szukając tam czegoś. - O,

chłopie, ale mu pstryknęło.

- Co ty, do cholery, wygadujesz? - spytał go Charley.

- To jest coś, czego się człowiek uczy nasłuchiwać w więzieniu.

- Nie jesteśmy teraz w więzieniu.

- To się zdarza nie tylko w więzieniu. Tyle że w więzieniu człowiek uczy się słuchać. Jak się tam pobędzie dłużej, człowiek zaczyna ślepnąć i wszystko idzie mu w

uszy. To pstryknięcie to jest to, czego się nasłuchuje. Wy dwaj, czy myślicie,

że

jesteście sobie bardzo bliscy? Gdyby tak było naprawdę - a to wcale nie znaczy,

że

musisz go lubić, wystarczy go znać - słyszałbyś to jego pstryknięcie na

kilometr.

Poznajesz człowieka, a on ma w sobie głęboko coś, co go gryzie, i możesz nigdy się nie

dowiedzieć, co to jest, ale właśnie to coś zmusza go do robienia tego, co robi,
i przez to
facet wygląda, jakby miał w oczach tajemnicę. I mówisz mu: "Spokojnie,
spokojnie,
nie denerwuj się". Albo go pytasz: "Dlaczego robisz stale te same głupstwa,
kiedy
wiesz, że znowu wpadniesz przez nie w tarapaty?". Ale wiesz, że nie ma po co z
nim
dyskutować, bo on ma to coś w środku. To coś powie mu "Skacz!" i on skacze.
Powie
mu "Ukradnij!" i on kradnie. Powie mu "Płacz!" i on płacze. Jeżeli nie umrze
młodo
albo nie osiągnie wszystkiego, co chciał, bez większych kłopotów, to ta rzecz w
nim
ucichnie, jak nakręcana zabawka. Pracujesz z tym człowiekiem w więziennej pralni
od
dwudziestu lat. Znasz go od dwudziestu lat. Pracujecie razem i nagle słyszysz to
jego
pstryknięcie. Odwracasz się, żeby na niego spojrzeć. Przerwał pracę. Jest
uspokojony,
wygląda na ogłupiałego. Wygląda ślicznie. Patrzysz mu w oczy, a tam już nie ma
tajemnicy. Nie potrafi wtedy nawet powiedzieć, jak się nazywa. Wraca do pracy,
ale
już nigdy nie będzie taki sam. To coś, co mu tak doskwierało, nigdy już nie
włączy się
z powrotem. Umarło, umarło na dobre. I ta część jego życia, w której popełniał
rzeczy
szalone, jest zamknięta!
Noyes, który zaczął z takim chłodem, był teraz napięty i spocony. Dłonie
dławiące miotłę w śmiertelnym uścisku miał zupełnie białe. I chociaż naturalny
tok
jego opowieści wymagał w tym miejscu spokoju, aby zademonstrować, jak ładnie
uspokoił się jego sąsiad z pralni, Noyes nie był w stanie udawać spokoju. Ruchy
jego
rąk na kiju od miotły stały się nieprzyzwoite i z podniecenia język zaczął mu
się plątać.
- Zamknięta! Zamknięta! - nalegał. Najbardziej go teraz wściekała miotła.
Usiłował ją złamać na kolanie i warczał do Charleya, właściciela miotły. -
Cholera nie
chce się złamać! Nie chce się złamać! Masz szczęście, skurwielu - powiedział do
Eliota, nadal usiłując złamać miotłę - tobie już pstryknęło! - I obsypał Eliota
prze-
kleństwami.
Wreszcie cisnął miotłę i z okrzykiem "Pieprzona nie da się złamać!" wybiegł z
pokoju.
* * *

Eliot pozostał niewzruszony podczas całej tej sceny. Łagodnym głosem spytał
Charleya, co ten człowiek ma przeciwko miotłom. Powiedział też, że chyba musi
już
iść do autobusu.
- Czy... dobrze się czujesz, Eliot?
- Wspaniale.
- Naprawdę?
- Nigdy w życiu nie czułem się lepiej. Czuję się tak, jakbym... jakbym...

- Tak?
- Jakby w moim życiu miał się rozpocząć jakiś nowy cudowny okres.
- To musi być przyjemne uczucie.
- O tak! O tak!

* * *

W takim nastroju Eliot wkroczył do baru U Słodkiej Kandy na przystanku autobusowym. Na ulicy panował nienaturalny spokój, jak przed pojedynkiem rewolwerowym, ale Eliot nie zwrócił na to uwagi. Miasteczko było przekonane, że wyjeżdża na zawsze. Ci najbardziej uzależnieni od Eliota usłyszeli pstryknięcie tak dobitnie, jakby to był wystrzał armatni. Snuto wiele gorączkowych, niedowarzonych planów odpowiedniego pożegnania, takich jak defilada strażaków, demonstracja z transparentami głoszącymi najważniejsze hasła, łuki tryumfalne ze strumieni strażackich sikawek. Wszystkie plany się rozpadły. Nie było nikogo, kto by coś takiego zorganizował, poprowadził. Większość ludzi czuła taką pustkę wewnętrzną na myśl o wyjeździe Eliota, że zabrakło im siły lub odwagi, by stanąć, choćby w ostatnim rzędzie tłumu, i słabo pomachać ręką. Wiedzieli, jakimi ulicami przejdzie Eliot, i prawie wszyscy omijali je z daleka. Eliot tymczasem zmienił zalany blaskiem chodnik na wilgotny cień Partenonu i szedł wzdłuż kanału. Emerytowany robotnik z wytwórni pił, rówieśnik senatora, łowił ryby na bambusową wędkę, siedząc na rozkładanym stołeczku. Na chodniku, między jego butami, stało tranzystorowe radio. Radio grało "Ol' Man River". "Czarni pracują, biali bawią się wciąż" - rozlegały się słowa pieśni. Stary człowiek nie był pijakiem ani zбочeńcem czy kimś takim. Był po prostu starym wdowcem przeżartym rakiem, jego syn w lotnictwie strategicznym nie pisał do niego i w ogóle stary nie miał zbyt ciekawej osobowości. Alkohol mu szkodził. Fundacja przyznała mu dotację na morfinę zapisaną przez lekarza. Eliot pozdrowił go i stwierdził, iż nie pamięta ani jego nazwiska, ani na czym polega jego nieszczęście. Odetchnął głęboko. Dzień był zbyt piękny, aby zajmować się smutnymi sprawami. Na drugim końcu Partenonu, mającego sto sześćdziesiąt metrów długości, stał mały kiosk ze sznurowadłami, żyłetkami, napojami orzeźwiającyymi oraz egzemplarzami "Amerykańskiego Detektywa". Prowadził go człowiek nazwiskiem Lincoln Ewald, podczas drugiej wojny światowej zaciekle sympatyk nazizmu. W czasie wojny Ewald uruchomił krótkofalówkę, aby przekazywać Niemcom dane o dziennej produkcji Wytwórni Pił Rosewatera, która produkowała noże dla spadochroniarzy oraz płyty pancerne. Jego pierwszy meldunek, a Niemcy nie prosili go o żadne komunikaty, stwierdzał, że jeżeli zbombardują miasto Rosewater, to cała amerykańska gospodarka zwiędnie i umrze. Nie chciał za tę informację pieniędzy. Pogardzał pieniędzmi; mówił, że dlatego właśnie nienawidzi Ameryki, iż pieniądź jest tu królem. Chciał dostać Krzyż Żelazny i prosił, aby mu go przysłać w zwykłej kopercie bez nadruków.

Jego komunikat został odebrany głośno i wyraźnie na krótkofalówkach dwóch leśników z parku narodowego Turkey Run, w odległości czterdziestu dwóch mil. Leśnicy dali znać do FBI i Ewalda aresztowano pod adresem, na który miał być wysłany Krzyż Żelazny. Umieszczono go w zakładzie dla umysłowo chorych, gdzie trzymano go do końca wojny.

Fundacja zrobiła dla niego bardzo niewiele poza wysłuchaniem jego poglądów politycznych, czego nikt inny nie chciał robić. Eliot kupił mu jedynie tani gramofon i

komplet płyt do nauki niemieckiego. Ewald ogromnie pragnął uczyć się niemieckiego,

ale uniemożliwiał mu to stan ciągłego podniecenia i gniewu.

Eliot zapomniał nazwisko Ewalda i minąłby go, nie zwróciwszy na niego uwagi.

Jego złowieszczą małą budkę trędowatego łatwo można było przeoczyć wśród ruin wspaniałej cywilizacji.

- Heil Hitler - odezwał się Ewald głosem ptaka-gwarka.

Eliot przystanął i spojrzał przyjaźnie w stronę, z której dobiegał głos. Budka

Ewalda była obwieszona egzemplarzami "Amerykańskiego Detektywa", co wyglądało jak zasłony w groszki. Groszkami były pępki modelki Randy Herald, która żądała raz

za razem mężczyzny mogącego zrobić jej genialne dziecko.

- Heil Hitler - powtórzył Ewald, nie rozchylając zasłony.

- Heil Hitler panu - odpowiedział Eliot z miłym uśmiechem. - I do widzenia.

* * *

Gdy tylko Eliot zszedł ze stopni Partenonu, ogłuszyło go barbarzyńskie słońce.

Porażonym przez moment wzrokiem dostrzegł postacie dwóch wałkoni na stopniach sądu, jak dwa zwęglone strachy na wróble otoczone obłokiem pary. Usłyszał z dołu,

jak Bella w swoim Kąciku Piękności beszta jakąś kobietę za to, że nie dba o paznokcie.

Przez chwilę Eliot nie spotkał nikogo, chociaż dostrzegł, że ktoś patrzył na niego z okna. Mrugnął i pomachał temu komuś. Kiedy doszedł do szkoły imienia Noaha Rosewatera, zamkniętej na cztery spusty na okres wakacji, zatrzymał się przed

masztem flagowym i pograżył w łzawej melancholii. Poruszył go dźwięk linki objijającej się ponuro o wydrążony metalowy maszt.

Eliot chciał się z kimś podzielić swoimi uwagami na temat tego dźwięku, a że w pobliżu nie było nikogo poza psem, który za nim szedł, więc zwrócił się do psa.

- To jest bardzo amerykański dźwięk, wiesz? Zamknięta szkoła i spuszczone flaga. Taki smutny amerykański dźwięk. Powinieneś posłuchać tego kiedyś, kiedy zajdzie słońce i zerwie się lekki wieczorny wiatr i na całym świecie ludzie zasiadają do

kolacji.

Poczuł ucisk w gardle. Było to przyjemne uczucie.

* * *

Gdy Eliot mijał stację benzynową, pomiędzy dwóch pomp wysunął się młody człowiek. Był to Roland Barry, który przeżył szok nerwowy dziesięć minut po złożeniu

przysięgi wojskowej w forcie Benjamin Harrison. Został uznany za stuprocentowego inwalidę. Szok nastąpił, kiedy kazano mu iść pod prysznic wraz z setką innych mężczyzn. Jego renta inwalidzka nie była żartem. Roland nie mógł mówić inaczej niż

szeptem. Spędził tego dnia wiele godzin między pompami, udając przed przechodniami, że ma tam coś do roboty.

- Panie Rosewater? - szepnął.

Eliot uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

- Musi mi pan wybaczyć... nie pamiętam pańskiego nazwiska.

Roland był bardzo niskiego o sobie mniemania, więc nie zdziwił się wcale, że człowiek, którego odwiedzał przynajmniej raz dziennie w ciągu ostatniego roku, zapomniał go.

- Chciałem panu podziękować za uratowanie mi życia - powiedział.

- Za co?

- Może moje życie jest niewiele warte, ale pan mi je uratował, panie Rosewater.

- Na pewno pan przesadza.

- Pan był jedynym człowiekiem, który nie uważał, że to, co mi się przytrafiło, jest śmieszne. Może mój wiersz też nie wyda się panu śmieszny. - Tu wcisnął

Eliotowi

do ręki kartkę. - Płakałem, kiedy to pisałem, takie to było dla mnie śmieszne.

Wszystko jest dla mnie teraz takie śmieszne. - I uciekł.

Eliot, zdumiony, przeczytał następujący wiersz:

Jeziora - rogi,

Rzeki - oboje,

Harfy - zatoki,

Altówki - źródła.

Kaskady - kotły,

Morza - organy,

Trąbki - strumienie,

Flety - fontanny.

Woda jest dobra,

Muzyka też.

Myśmy jagnięta

Gnane na rzeź.

Dzięki, Rosewater.

Braknie mi słów.

Łzy, skrzypce, kwiaty

I serca. Kwiaty

I łzy. Bądź zdrów!

Eliot dotarł do przystanku autobusowego bez dalszych przygód. W barze oprócz właściciela siedziała tylko jedna klientka - czternastoletnia nimfetka będąca w

ciąży ze swoim ojczymem, który to ojczym siedział obecnie w więzieniu. Fundacja pokrywała jej koszty opieki lekarskiej. Fundacja również złożyła doniesienie na jej

ojczyma do policji, a następnie wynajęła mu najlepszego z możliwych adwokata.

Dziewczyna nazywała się Tawny Wainwright. Kiedy przyszła ze swymi

kłopotami do Eliota, ten spytał ją, jak się czuje.

- Bo ja wiem - powiedziała - chyba nie najgorzej. To równie dobry sposób jak każdy inny, żeby zostać gwiazdą filmową.

Teraz piła coca colę i czytała "Amerykańskiego Detektywa". Rzuciła na Eliota jedno przelotne spojrzenie. Jedno i ostatnie.

* * *

- Poproszę jeden do Indianapolis.

- W jedną stronę czy powrotny?

Eliot nie wahał się.

- W jedną stronę, proszę.

Tawny o mało nie zgubiła okularów. Zdążyła je złapać.

- W jedną stronę do Indianapolis! - powiedział właściciel głośno. - Proszę bilet. - Ze złością ostemplował bilet Eliota, wręczył mu go i szybko się

odwrócił. On

też już więcej na niego nie spojrział.

Eliot, nieświadom napiętej atmosfery, podszedł do stojaków z książkami i czasopismami, aby poszukać jakiejś lektury na drogę. Skusił go "Amerykański Detektyw", otworzył pismo i trafił na historię siedmioletniej dziewczynki, której

niedźwiedź odgryzł głowę w parku Yellowstone w roku 1934. Odłożył pismo na stojak

i zamiast tego wybrał kieszonkowe wydanie powieści Kilgore'a Trouta. Miała tytuł "Pangalaktyczna trzydniowa przepustka".

Na dworze wyniośle zatrąbił autobus.

* * *

W chwili, gdy Eliot wsiadał do autobusu, pokazała się łkająca Diana Moon Glampers. Niosła swój biały telefon typu Princess, ciągnąc wyrwany ze ściany przewód.

- Panie Rosewater!

- Słucham?

Wyrznęła telefonem o chodnik przy drzwiach autobusu.

- Nie potrzebuję więcej telefonu. Nie mam do kogo dzwonić i nie mam nikogo, kto zadzwoniłby do mnie.

Eliot współczuł kobiecie, choć jej nie poznawał.

- Przepraszam... nie bardzo rozumiem.

- To ja, panie Rosewater! Jestem Diana! Diana Moon Glampers!

- Miło mi panią poznać.

- Miło poznać?

- Naprawdę... ale... o co chodzi z tym telefonem?

- Telefon był mi potrzebny tylko ze względu na pana.

- Co pani mówi? - powiedział z powątpiewaniem.

- Na pewno ma pani wielu innych znajomych.

- Panie Rosewater - mówiła przez łyży Diana, opierając się bezwładnie o autobus - pan jest moim jedynym przyjacielem.

- Na pewno może pani zdobyć nowych - podsunął jej Eliot z nadzieją w głosie.

- O, Boże! - zawołała.

- Mogłaby pani włączyć się do jakiejś grupy przy kościele.

- Pan jest moim kościołem! Pan jest dla mnie wszystkim! Rządem. Mężem.

Przyjaciółmi.

Wobec tych stwierdzeń Eliot poczuł się niezręcznie.

- To bardzo miło z pani strony. Życzę pani powodzenia. A teraz naprawdę muszę już iść. - Pomachał jej ręką.

- Do widzenia.

* * *

Eliot zaczął czytać "Pangalaktyczną trzydniową przepustkę". Wokół autobusu był jeszcze jakiś ruch, lecz Eliot nie podejrzewał, że może to mieć jakiś związek z jego

osobą. Książka tak go natychmiast pochłonęła, że nie zauważył, kiedy autobus ruszył.

Była to pasjonująca historia uczestnika czegoś w rodzaju kosmicznej wyprawy Lewisa

i Clarke'a. Bohaterem powieści był sierżant Raymond Boyle.

Ekspedycja dotarła do miejsca, które wyglądało na absolutny i ostateczny koniec wszechświata. Wszystko wskazywało na to, iż poza układem słonecznym, w którym się znajdowali, nie ma już nic. Ekspedycja montowała aparaturę, mającą odebrać najsłabsze choćby sygnały pochodzące z czegokolwiek w tej czarnej aksamitnej pustce.

Sierżant Boyle był Ziemianinem. Jedynym Ziemianinem w składzie wyprawy. Prawdę mówiąc, był jedyną istotą z Drogi Mlecznej. Pozostali członkowie pochodzili z różnych zakątków wszechświata. Wyprawa stanowiła wspólne przedsięwzięcie około dwustu galaktyk. Boyle nie leciał jako technik, lecz jako nauczyciel angielskiego. Rzecz polegała na tym, że Ziemia jako jedyna planeta w całym znanym wszechświecie posługiwała się językiem. Był to unikalny ziemski wynalazek. Wszyscy poza tym posługiwali się telepatią, dzięki czemu Ziemianie, gdziekolwiek się pokazali, mogli liczyć na dobre posady nauczycieli języków.

Mieszkańcy Kosmosu woleli używać języka zamiast telepatii, ponieważ przekonali się, iż posługując się językiem, można znacznie więcej zdziałać. Język ogromnie ich uaktywniał. Telepatia, kiedy wszyscy mówią wszystkim wszystko, stwarza rodzaj ogólnego zubożenia na wszelką informację. Język natomiast, ze swoją powolnością i precyzyjną terminologią, umożliwia skupienie się na jednej rzeczy naraz i opracowywanie dalekosiężnych planów.

Boyle został wywołany z lekcji angielskiego i kazano mu natychmiast zameldować się u dowódcy wyprawy. Nie miał pojęcia, o co chodzi. Wszedł do kajuty dowódcy i zsalutował staremu. W rzeczywistości dowódca niczym nie przypominał starego. Pochodził z planety Tralfamdorii i był wzrostu ziemskiej butelki od piwa.

Zresztą do butelki od piwa też nie był podobny. Wyglądał jak mały gumowy przepychacz do zlewu z drewnianą rączką.

Dowódca nie był sam. Towarzyszył mu kapelan wyprawy, pochodzący z planety Glinko-X-3. Padre przypominał olbrzymią meduzę w zbiorniku z kwasem siarkowym na kółkach. Minę miał ponurą. Musiało się zdarzyć coś okropnego.

Najpierw kapelan powiedział Boyle'owi, żeby był dzielny, a potem dowódca zakomunikował mu, iż ma złe wiadomości z domu. Dowódca powiedział, że z okazji śmierci bliskich przysługuje mu nadzwyczajna trzydniowa przepustka i powinien natychmiast szykować się do drogi.

- Czy to... mama? - spytał Boyle, powstrzymując łzy. - Tato? A może Nancy? - Nancy była córką sąsiadów. - Dziadek?

- Synu - powiedział dowódca - weź się w garść. Przykro mi to mówić, ale to nie ktoś umarł, tylko coś umarło.

- Co umarło?

- Umarła, mój chłopcze, Droga Mleczna.

Eliot oderwał wzrok od książki. Okręg Rosewater pozostał w tyle. Nie tęsknił za nim.

* * *

Kiedy autobus zatrzymał się w Nashville, stolicy okręgu Brown, Eliot powtórnie uniósł wzrok, by przyjrzeć się stojącemu tam wozowi straży pożarnej. Pomyślał o kupieniu dla Nashville jakiegoś przyzwoitego sprzętu, ale po namyśle uznał, że nie warto. Nie sądził, aby ci ludzie potrafili się z nim należycie obchodzić.

Nashville było ośrodkiem sztuk i rzemiosł, nic więc dziwnego, że Eliot ujrzał w czerwcu człowieka wydmuchującego bombki choinkowe.

* * *

Eliot nie rozglądał się już więcej, dopóki autobus nie wjechał na przedmieścia Indianapolis. Zdumiał się, widząc, że całe miasto stoi w ogniu. Nigdy nie widział pożaru całego miasta, ale nieraz czytał o czymś takim i widział to we śnie.

Miał u siebie w biurze schowaną książkę i nawet on sam nie wiedział, dlaczego ją ukrywa, dlaczego wyjmując ją zawsze z poczuciem winy i dlaczego się boi, że zostanie przyłapany w trakcie lektury. Miał do niej taki stosunek, jak purytanin o słabej woli do pornografii, choć trudno było o bardziej niewinną pod względem erotycznym książkę niż ta, którą ukrywał. Nosiła tytuł "Bombardowanie Niemiec" i jej autorem był Hans Rumpf.

Fragment, do którego Eliot stale wracał, czytając z nieprzytomnym wyrazem twarzy i spoconymi dłońmi, opisywał pożar Drezna.

W miarę jak płomienie przedzierały się przez dachy płonących budynków, kolumna rozgrzanego powietrza osiągnęła wysokość przeszło czterech kilometrów i średnicę prawie dwóch i pół kilometra... Ta pełna zawirowań kolumna była zasilana u podstawy chłodniejszym powietrzem napływającym przy powierzchni ziemi. Na odcinku od półtora do dwóch i pół kilometra od ognia szybkość wiatru na skutek tego ciągu powietrza wzrastała z siedemnastu do pięćdziesięciu trzech kilometrów na godzinę. Na skraju strefy ognia prędkości musiały być znacznie większe, gdyż znaleziono drzewa o metrowej średnicy wyrwane z korzeniami. Po krótkim czasie temperatura przekroczyła punkt zapalny wszystkich materiałów palnych i cały obszar stanął w płomieniach. W takim ogniu następuje pełne spalanie, to znaczy nie pozostają żadne ślady materiałów palnych, i dopiero po dwóch dniach teren ostygł na tyle, że można się było do niego zbliżyć.

Eliot, uniósłszy się ze swego miejsca w autobusie, zobaczył Indianapolis w ogniu. Był przytłoczony majestatem kolumny ognia, mającej przynajmniej osiem mil średnicy i pięćdziesiąt wysokości. Kontury kolumny były idealnie ostre i nieruchome,

jakby odlane ze szkła. W obrębie tych granic spirale matowoczerwonych iskier krążyły

w dostojnej harmonii wokół rozżarzonego do białości rdzenia. Jego białość robiła wrażenie czegoś boskiego.

14

Potem Eliotowi wszystko przesłoniła czerń, czerń taka jak ta, co rozciągała się za krańcem wszechświata. Kiedy się ocknął, siedział na płaskim obramowaniu nieczynnej fontanny. Był cały w plamach słońca przedzierającego się przez koronę sykomy. W drzewie śpiewał ptak.

- Pit-ti-it? - śpiewał. - Pit-ti-it. It-it-it.

Eliot znajdował się w otoczonym wysokim murem ogrodzie i ogród ten był mu znajomy. W tym miejscu wielokrotnie rozmawiał z Sylwią. Był to ogród prywatnej kliniki psychiatrycznej doktora Browna w Indianapolis, do której wiele lat temu przywiózł Sylwię. Na obrzeżu fontanny były wyryte słowa:

Zawsze udawaj, że jesteś dobry, a oszukasz nawet Boga.

Eliot stwierdził, że ktoś ubrał go do gry w tenisa, całego na biało, i że ma nawet

na kolanach rakiety, zupełnie jak manekin na wystawie w domu towarowym.

Eksperymentalnie zacisnął dłoń na rączce rakiety, aby się przekonać, czy rakietka jest

prawdziwa i czy on sam jest prawdziwy. Obserwując grę skomplikowanych splotów mięśni swego przedramienia, poczuł, że jest tenisistą, i to dobrym. Nie musiał się

zastanawiać, gdzie grywa w tenisa, gdyż ogród z jednej strony graniczył z kortami,

których siatkę oplatał powój i pachnący groszek.

- Pi-ti-it?

Eliot spojrział w górę na ptaka, na całą tę zielen i zrozumiał, że ten ogród w

centrum Indianapolis nie mógłby przetrwać pożaru, który widział. A więc pożaru nie było. Przyjął to ze spokojem.

* * *

Nie spuszczał wzroku z ptaka. Żałował, że sam nie jest ptakiem, że nie może wleciec na czubek drzewa i nigdy już nie schodzić. Chciał być tak wysoko, ponieważ na powierzchni ziemi działo się coś, co napawało go niepokojem. Na betonowej ławce w odległości niespełna dwóch metrów siedziało ramię przy ramieniu czterech mężczyzn w ciemnych garniturach, wpatrując się w niego z napięciem, jakby oczekiwali od niego czegoś ważnego. Eliot zaś miał uczucie, że nie ma nic ważnego, co mógłby im dać lub powiedzieć. Zaczęły go boleć mięśnie karku. Nie mógł bez końca trzymać głowy odchylonej do tyłu.

- Eliot...?

- Słucham - powiedział, uświadamiając sobie, iż mówi do ojca. Powoli jego wzrok ześliznął się w dół, jak chory ptak opadający z gałęzi na gałąź. Wreszcie jego

oczy znalazły się na jednej linii ze wzrokiem ojca.

- Miałeś nam powiedzieć coś ważnego - przypomniał mu ojciec.

Eliot zobaczył, że na ławce siedzą trzej starzy mężczyźni i jeden młody, wszyscy sympatyczni i oczekujący w skupieniu na jego słowa. W młodym człowieku rozpoznał doktora Browna. Drugi stary mężczyzna to był Thurmond McAllister, adwokat rodziny. Trzeci stary człowiek był mu obcy. Eliot nie znał jego nazwiska, a mimo to nie

czuł skrępowania, gdyż rysy mężczyzny, przywodzące na myśl życzliwego małomiasteczkowego grabarza, nastrojały do niego przyjaźnie.

* * *

- Czy trudno panu znaleźć słowa? - podsunął doktor Brown. Lekarz powiedział to z odcieniem niepokoju i poruszył się na siedzeniu, podkreślając wymową ciała wagę odpowiedzi Eliota.

- Trudno mi znaleźć słowa - zgodził się Eliot.

- No cóż - powiedział senator - skoro nie potrafisz wyrazić tego słowami, to oczywiście rzecz nie może być argumentem w sądzie.

Eliot kiwnięciem głowy potwierdził słuszność tego stwierdzenia.

- Czy... czy zacząłem coś na ten temat mówić?

- Oświadczyłeś nam tylko - powiedział senator - że wpadłeś na pomysł, który zakończy całą tę aferę pięknie, czysto i natychmiastowo. A potem spojrzaleś na drzewo.

- Hm - mruknął Eliot. Udawał, że się przez chwilę zastanawia, wreszcie wzruszył ramionami. - Cokolwiek to było, wyleciało mi z pamięci.

* * *

Senator Rosewater klasnął w swoje upstrzone plamami dłonie.

- Na szczęście nie brak nam pomysłów, jak wybrnąć z tej historii. - I z obleśnie tryumfalnym uśmiechem klepnął McAllistera w kolano. - Prawda? - Potem za plecami adwokata poklepał po plecach nieznanego.

- Prawda? - Był wyraźnie oczarowany nieznanym.

- Mamy po naszej stronie najbardziej pomysłowego człowieka na świecie! - Aż się roześmiał, tak był zadowolony z tych pomysłów. - Ale mój chłopiec - powiedział

senator, wyciągając ramiona do Eliota - sam jego wygląd i postawa, to jest nasz koronny argument. Taki szczupły! Taki czysty! - Stare oczy senatora błyszczały.

- Ile

on stracił na wadze, doktorze?

- Osiemnaście i pół kilograma.

- Jego dawna sportowa waga - entuzjasmował się senator. - Ani grama tłuszczu. I jak gra w tenisa! Bezlitosny! - Zerwał się na nogi i wykonał żalostną pantomimę tenisowego serwu. - Godzinę temu, w tych murach, byłem świadkiem najlepszego meczu tenisowego w moim życiu. Rozniosłeś go, Eliot!

- Uhum. - Eliot rozejrzył się w poszukiwaniu lustra lub czegoś innego, w czym mógłby się przejrzeć. Nie miał pojęcia, jak teraz wygląda. W fontannie nie było wody

poza małą wanienką dla ptaków, wypełnioną nieapetyczną zupą z liści i sadzy.

- Czy nie wspomniał pan, że ten facet, z którym Eliot wygrał, był zawodowym tenisistą? - zwrócił się senator do doktora Browna.

- Wiele lat temu.

- I Eliot go rozniósł! A to, że facet ma kłopoty z psychiką nie wpływa na jego grę, prawda? - Nie czekał na odpowiedź. - I kiedy Eliot, podskakując, zszedł zwycię-

ski z kortów, aby uścisnąć nasze dłonie, chciało mi się śmiać i płakać zarazem.

"I to

jest człowiek - powiedziałem sobie - który ma jutro udowodniać, że nie jest wariatem! Ha, ha!"

Eliot, pogrążony na duchu tym, że czterej obserwujący go dzentelmeni nie mają wątpliwości co do jego zdrowia psychicznego, wstał, jakby chciał się przeciągnąć.

W rzeczywistości chodziło mu o to, aby znaleźć się bliżej wanienki dla ptaków.

Korzystając ze swojej sportowej reputacji, wskoczył do pustej fontanny i wykonał głęboki skłon, udając, że wyładowuje nadmiar siły życiowej. Jego ciało wykonało ćwiczenie bez wysiłku, było jak odlane ze sprężystej stali.

Energiczny ruch zwrócił uwagę Eliota na coś, co wypychało mu tylną kieszeń spodni. Wyciągnął to coś i stwierdził, że trzyma w ręku numer "Amerykańskiego Detektywa". Rozłożył gazetę, spodziewając się ujrzeć Randy Herald domagającą się zapłodnienia genialnym nasieniem. Zamiast tego zobaczył na pierwszej stronie swoje

własne zdjęcie w strażackim kasku. Było to powiększenie z grupowego zdjęcia ich oddziału z okazji święta czwartego lipca.

Obok był tytuł:

NAJNORMALNIEJSZY CZŁOWIEK W AMERYCE?

(Szczegóły wewnątrz numeru)

* * *

Eliot zajrzał do środka, podczas gdy pozostali rozprawiali z ożywieniem o przewidywanym wyniku jutrzejszego przesłuchania. Eliot znalazł drugie swoje zdjęcie

na rozkładówce. Nieostra fotografia przedstawiała go, jak gra w tenisa w domu wariatów.

Na sąsiedniej stronie dzielnie znosząca swój los mała rodzina Freda

Rosewatera zdawała się przyglądać jego grze. Wyglądali jak małorolni dzierżawcy.

Fred sporo stracił na wadze. Było też zdjęcie Normana Mushari, ich adwokata.

Usamodzielnivszy się w interesach, Mushari zaopatrzył się w fantazyjną kamizelkę

i grubą złotą dewizkę do zegarka. Cytowano jego słowa:

"Moi klienci domagają się jedynie dla siebie i swoich potomków tego, co im się zgodnie z prawem i urodzeniem należy. Nadęci plutokraci z Indiany zaangażowali grube miliony i zmobilizowali wpływowych przyjaciół od oceanu do oceanu, aby nie dopuścić do konfrontacji ze swymi kuzynami w sądzie. Przesłuchanie było odkładane

siedmiokrotnie pod najbardziej błahymi pozorami, gdy tymczasem Eliot Rosewater gra sobie w tenisa w domu wariatów, jego służalcy zaś zaprzeczają gromko wieściom o jego chorobie.

Jeżeli moi klienci przegrają tę sprawę, stracą swój skromny dom wraz z przeciętnym wyposażeniem, używany samochód, małą żaglówkę swego dziecka, polisy ubezpieczeniowe Freda Rosewatera, oszczędności całego życia oraz tysiąc dolarów pożyczonych od wiernego przyjaciela. Ci dzielni, normalni, przeciętni Amerykanie postawili wszystko, co mają, na amerykański wymiar sprawiedliwości, który nie powinien, nie może, nie ma prawa ich zawieść".

Na stronie poświęconej Eliotowi zamieszczono też dwa zdjęcia Sylwii. Na starym tańczyła w Paryżu twista z Peterem Lawfordem. Najnowsze pokazywało ją, jak

wstępuje do belgijskiego klasztoru, w którym obowiązuje reguła milczenia.

Eliot mógłby się zastanowić nad tym dziwnym końcem i początkiem kariery Sylwii, gdyby nie usłyszał, jak ojciec zwraca się serdecznie do starego nieznajomego

per "panie Trout".

* * *

- Trout! - zakrzyknął Eliot. Był tak zaskoczony, iż na chwilę stracił równowagę i musiał się przytrzymać wanienki dla ptaków. Naczynie było tak niepewnie ustawione

na swoim piedestale, że zachwiało się niebezpiecznie. Eliot wypuścił z dłoni

"Detektywa" i oburącz chwycił wanienkę. I wtedy zobaczył w wodzie swoje odbicie.

Patrzył stamtąd na niego wychudzony, rozgorączkowany podstarzały chłopiec.

Wielki Boże - pomyślał. - F. Scott Fitzgerald na dzień przed śmiercią.

* * *

Pilnował się, aby nie wykrzyknąć nazwiska Trouta po raz drugi, kiedy się odwracał. Rozumiał, że mogłoby to zdradzić, jak bardzo jest chory; domyślał się, że

widocznie poznał Trouta podczas swego zaćmienia. Eliot nie rozpoznał go z tego prostego powodu, iż wszystkie okładki książek pokazywały go z brodą, tymczasem nieznajomy był bez brody.

- Na Boga, Eliot - odezwał się senator. - Kiedy zażądałeś, abym tu sprowadził Trouta, powiedziałem doktorowi, że jesteś nadal pomyłony. Mówiłeś, że Trout potrafi

lepiej od ciebie wytłumaczyć znaczenie tego, co robiłeś w Rosewater. Byłem gotów spróbować wszystkiego, ale ściągnięcie go tutaj było najmądrzejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

- Zgadza się - powiedział Eliot, siadając ostrożnie na skraju fontanny.

Sięgnął za siebie, podniósł gazetę, rozłożył ją i po raz pierwszy spojrzął na datę.

Spokojnie dokonał obliczenia. Nie wiadomo jak, nie wiadomo gdzie, zgubił cały rok.

* * *

- Mów to, co ci każe pan Trout - rozkazał senator - i wyglądaj tak jak dzisiaj,

a

wówczas nie widzę sposobu, żebyśmy mogli jutro przegrać.

- Obiecuję, że będę mówił to, co pan Trout mi każe, i nie zmienię najmniejszego szczegółu swojej charakteryzacji, byłbym jednak bardzo wdzięczny, gdyby pan Trout po raz ostatni przypomniał mi, co mam mówić.

- To bardzo proste - odezwał się Trout. Głos miał niski i bogaty.

- Tyle razy to już wałkowaliście - wtrącił senator.

- Mimo to - powiedział Eliot - chciałbym to jeszcze raz usłyszeć.

- No więc - zaczął Trout, zacierając dłonie, którym się przyglądał - to, co pan robił w Rosewater, nie było bynajmniej szaleństwem. Był to najdonioślejszy prawdopodobnie eksperyment społeczny naszych czasów, gdyż podjął w bardzo małej skali

problem, którego przerażające skutki zostaną kiedyś upowszechnione w skali światowej w wyniku doskonalenia maszyn. Problem polega na tym, jak kochać ludzi niepotrzebnych.

Z czasem prawie wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety staną się bezużyteczni jako producenci towarów, żywności, usług i nowych maszyn, jako źródła nowych idei

w dziedzinie ekonomiki, budownictwa i zapewne medycyny również. Tak więc, jeżeli nie potrafimy znaleźć powodów i metod, aby cenić istoty ludzkie za to tylko, że są

istotami ludzkimi, to możemy, jak to już nie raz proponowano, zacząć myśleć o ich

likwidacji.

* * *

- Amerykanów długo uczono pogardy dla ludzi, którzy nie chcą albo nie mogą znaleźć pracy, pogardy nawet dla siebie samych. Możemy podziękować duchowi czasów pionierstwa za to podyktowane zdrowym rozsądkiem okrucieństwo.

Nadchodzą jednak czasy, a może już nadeszły, kiedy to przestanie być rozsądne.

Będzie tylko okrutne.

- Biedny człowiek nadal może się wydostać z bagna, jeżeli tylko ma inicjatywę

- powiedział senator. - I za tysiąc lat będzie tak samo.

- Możliwe, możliwe - odparł łagodnie Trout. - Może nawet mieć tyle

inicjatywy, że jego dzieci zamieszkają w takiej utopii jak Pisquontuit, gdzie, jak sądzę,

zgnilizna duchowa, głupota, odrętwienie i niewrażliwość szerzą nie mniejsze spustoszenia niż choroby zakaźne w okręgu Rosewater. Ale nędza jest stosunkowo niegroźną chorobą nawet dla najwątleszej amerykańskiej duszyczki, podczas gdy bezużyteczność zabija silnych i słabych i zawsze jest śmiertelna.

Musimy znaleźć na nią lekarstwo.

* * *

- Pańskie oddanie sprawie ochotniczych straży pożarnych jest również jak najbardziej zdrowe, ponieważ stanowią one, kiedy zabrzmiał alarm, prawie jedyny przykład bezinteresowności w tym kraju. Śpieszą na ratunek każdej istoty ludzkiej bez

względu na cenę. Najbardziej zniechęcony człowiek w mieście ujrzy swoich wrogów

gaszących ogień, jeżeli w jego zniechęconym domu wybuchnie pożar. A kiedy będzie wygrzebywał z popiołu resztki swego zniechęconego majątku, usłyszy słowa

pocieszenia i współczucia od samego komendanta straży. - Trout rozłożył ręce. -

Oto

mamy ludzi ceniących człowieka jako takiego. Jest to niezwykle rzadki przypadek i od

nich musimy się uczyć.

* * *

- Na Boga, pan jest wspaniały! - zawołał senator do Trouta. - Powinien pan być rzecznikiem prasowym! Potrafiłby pan przedstawić wrzód na nosie jako coś korzystnego dla społeczeństwa! Co robił człowiek z pańskimi talentami w dziale realizacji bonów?

- Realizowałem bony - wyjaśnił Trout łagodnie.

- Panie Trout, a co się stało z pańską brodą? - spytał Eliot.

- To było pańskie pierwsze pytanie.
- Niech mi pan jeszcze raz odpowie.
- Byłem głodny i załamany. Kolega wiedział o wolnej posadzie, zgoliłem więc brodę i się zgłosiłem. Post scriptum. Zostałem przyjęty.
- Z brodą pewnie by pana nie przyjęli.
- Zgoliłbym ją, nawet gdyby mi pozwolili ją zachować.
- Dlaczego?
- Niech pan pomyśli, co to by było za świętokradztwo: Chrystus realizujący bony premiowe.
- * * *
- Nie mogę się nacieszyć tym Troutem - oświadczył senator.
- Dziękuję.
- Wolałbym tylko, żeby pan przestał mówić, że jest socjalistą. Nie jest pan żadnym socjalistą! Działa pan w systemie wolnej konkurencji!
- Bo nie mam innego wyboru, proszę mi wierzyć.
- Eliot obserwował wzajemny stosunek dwóch interesujących starsuszków. Trout nie czuł się bynajmniej urażony, jak, według Eliota, powinien, sugestią, że byłby świetny jako wzór zakłamania, czyli rzecznik prasowy. Troutowi senator wyraźnie się podobał jako pełne życia i całkowicie konsekwentne dzieło sztuki i nie miał zamiaru niczego w nim zmieniać ani naruszać. Senator zaś podziwiał Trouta jako łotra, który wszystko potrafi uzasadnić, nie rozumiejąc, iż Trout mówi wyłącznie to, co uważa za prawdę.
- Wyobrażam sobie, jaką pan by potrafił sformułować platformę wyborczą, panie Trout!
- Dziękuję, panie senatorze.
- Prawnicy też myślą w ten sposób: wymyślają cudowne wyjaśnienia beznadziejnych afer. Ale im to jakoś nigdy nie wychodzi. U nich to zawsze brzmi jak uwertura "Rok 1812" grana na fujarce. - Senator odchylił się na oparcie, rozpromieniony. - Niech nam pan dalej opowiada, jakie to wspaniałe rzeczy Eliot robił w stanie zamroczenia alkoholowego.
- * * *
- Sąd - wtrącił McAllister - zainteresuje się niewątpliwie wnioskami, jakie Eliot wyciągnął ze swego eksperymentu.
- Trzymać się z daleka od alkoholu, pamiętać, kim się jest, i zachowywać się odpowiednio - podsumował gładko senator. - I nie usiłuj zastąpić ludziom Boga, bo cię obślinią, zabiorą ci, ile się tylko da, będą łamać przykazania dla samej przyjemności uzyskania przebaczenia... a kiedy odejdiesz, oczernią cię. Tego Eliot nie mógł puścić mimo uszu.
- Co to znaczy oczernią?
- O, do diabła, kochają cię i nienawidzą, płaczą po tobie i wyśmiewają się z ciebie, wymyślają codziennie nowe kłamstwa na twój temat. Biegają w kółko jak kury z odciętymi głowami, jakbyś naprawdę był Bogiem i pewnego dnia odjechał. Eliot poczuł, jak mu się ściska serce, i zrozumiał, że nigdy już nie będzie miał siły wrócić do Rosewater.
- A według mnie - powiedział Trout - najważniejszym wnioskiem jest to, że ludzie mogą przyjąć każdą ilość bezinteresownej miłości.

- Czy to jest coś nowego? – spytał skrzekliwie senator.
 - Nowe jest to, że ktoś potrafił darzyć ludzi taką miłością przez dłuższy okres czasu. Jeżeli jeden człowiek potrafił coś takiego zrobić, to może inni też potrafią. To dowodzi, iż nasza pogarda w stosunku do ludzi niepotrzebnych i okrucieństwo, z jakim ich traktujemy dla ich własnego dobra, nie są nieodłączną częścią natury ludzkiej. Dzięki przykładowi Eliota Rosewatera miliony i dziesiątki milionów mogą się nauczyć, jak kochać ludzi i pomagać im w potrzebie.
 Trout, zanim wypowiedział ostatnie słowo na ten temat, przebiegł wzrokiem po wszystkich twarzach. To ostatnie słowo brzmiało: "Radość".

* * *

- Pi-ti-it?
 Eliot znowu spojrział w górę na drzewo, zastanawiając się, co on sam sądzi o okręgu Rosewater, ale jego poglądy na ten temat zaplątały się gdzieś tam w koronie sykomory.

- Gdyby tylko było dziecko... – westchnął senator.
 - No cóż, jeżeli rzeczywiście chce pan mieć wnuki – powiedział żartobliwie Mc Allister – może pan wybierać spośród pięćdziesięciu siedmiu, według ostatnich obliczeń.

Wszyscy, prócz Eliota, powitali to gromkim śmiechem.
 - Co to za historia z tymi pięćdziesięcioma siedmioma wnukami?
 - Twoja progenitura, mój chłopcze. – Senator zachichotał.
 - Nie rozumiem.
 - Twoje samosiejki.

Eliot wyczuwał, że kryje się za tym jakaś bardzo istotna tajemnica, i zaryzykował zdradzenie się z tym, jak bardzo jest chory.
 - Nie rozumiem – rzekł.

- Tyle jest w okręgu Rosewater kobiet, które twierdzą, że jesteś ojcem ich dzieci.

- Ależ to bzdura.
 - Oczywiście – powiedział senator.

Eliot wstał cały napięty.

- To... to niemożliwe!
 - Zachowujesz się tak, jakbyś pierwszy raz o tym słyszał. – Senator rzucił niespokojne spojrzenie w stronę doktora Browna.

Eliot zasłonił oczy.

- Przepraszam, wygląda na to, że wszystko, co dotyczy tej sprawy, uciekło mi z pamięci.

- Czy dobrze się czujesz, mój chłopcze?

- Tak. – Odślonił oczy. – Czuję się doskonale. Mam tylko tę lukę w pamięci i byłbym wdzięczny, gdybyście ją teraz zapełnili. Jak do tego doszło, że tyle kobiet

zaczęło to o mnie mówić?

- Nie mamy na to dowodu – powiedział McAllister – ale Mushari objeżdżał okręg, przekupując ludzi, żeby źle o panu mówili. Historia z dziećmi zaczęła się od

Mary Moody. Pewnego dnia po wizycie Mushariego oświadczyła, że jest pan ojcem jej bliźnięt, Foxcrofta i Melodii. I to wywołało widocznie jakąś manię wśród kobiet...

Kilgore Trout kiwnął głową, potwierdzając tę diagnozę.

- I potem kobiety z całego okręgu zaczęły twierdzić, że jest pan ojcem ich

dzieci. Co najmniej połowa z nich najwyraźniej sama w to wierzy. Jest tam jedna piętnastolatka, której ojczym siedzi w więzieniu za to, że zrobił jej dziecko.

Teraz ona
twierdzi, że to pan.

- To nieprawda!

- Oczywiście, Eliot - powiedział jego ojciec. - Uspokój się. Mushari nie odważy się wyciągnąć tego przed sądem. Cały ten plan wymknął mu się z rąk i obrócił

przeciwno niemu. Jest to tak oczywisty przypadek manii, że żaden sędzia nie zechce

tego słuchać. Przeprowadziliśmy badanie krwi Foxcrofta i Melodii i twoje ojcostwo

jest wykluczone. Nie mamy zamiaru badać pozostałych pięćdziesięciu pięciu dzieci.

Niech idą do diabła.

- Pi-ti-it?

Eliot spojrział na drzewo i nagle spłynęło na niego wspomnienie wszystkiego, co zdarzyło się w ciemnościach: szamotanina z kierowcą autobusu, kaftan bez-pieczestwa, kuracja wstrząsowa, próby samobójstwa, potem tenis i wszystkie przygotowania strategii na przesłuchanie sądowe.

I wraz z tą potężną wewnętrzną falą wspomnień wrócił pomysł na rozwiązanie całej sprawy natychmiastowo, pięknie i czysto.

- Powiedzcie mi - odezwał się - czy wszyscy możecie przysiąc, że jestem normalny?

Wszyscy z zapalem przytaknęli.

- Czy nadal stoję na czele Fundacji? Czy nadal mam prawo podpisywać czeki na jej rachunek?

McAllister odpowiedział mu, że oczywiście tak.

- Jak wygląda bilans?

- Przez ostatni rok nie wydatkował pan nic, nie licząc kosztów prawnych i opłat za pobyt tutaj oraz trzystu tysięcy dolarów dla Uniwersytetu Harvarda i pięćdziesięciu tysięcy dla pana Trouta.

- W ten sposób wydał w tym roku więcej niż w zeszłym - wtrącił senator. Była to prawda. Cała działalność Eliota w okręgu Rosewater kosztowała mniej niż jego pobyt w klinice.

McAllister powiedział Eliotowi, że rozporządza sumą około trzech i pół miliona dolarów. Eliot poprosił go o pióro i książeczkę czekową, po czym wystawił czek na

milion dolarów dla swego kuzyna Freda.

Senator i McAllister podskoczyli i powiedzieli, że proponowali już Fredowi pewną sumę, ale Fred przez swego adwokata wyniośle odmówił.

- Oni chcą mieć wszystko! - dodał senator.

- Wielka szkoda - powiedział Eliot - bo dostaną tylko ten czek i ani grosza więcej.

- O tym zadecyduje sąd i Bóg jedyny wie, jaka będzie decyzja - ostrzegł go McAllister. - Nigdy nic nie wiadomo. Nigdy nic nie wiadomo.

- Gdybym miał dziecko - powiedział Eliot - przesłuchanie nie miałoby sensu, prawda? Przecież dziecko dziedziczyłoby Fundację automatycznie, niezależnie od tego, czy jestem normalny, czy nie, a pokrewieństwo Freda jest zbyt dalekie, aby dawało mu tytuł do czegokolwiek?

- To prawda.

- Mimo to - powiedział senator - milion dolarów to o wiele za dużo dla tego wieprzka z Rhode Island!

- No to ile?

- Sto tysięcy będzie aż nadto.

Eliot podarł czek na milion dolarów i wypisał następny na jedną dziesiątą tej sumy. Podniósł wzrok i stwierdził, że wszyscy wpatrują się w niego z napięciem, gdyż

dopiero teraz dotarło do nich znaczenie jego słów.

- Eliot - odezwał się drżącym głosem senator - czy chcesz nam powiedzieć, że masz dziecko?

Eliot posłał mu uśmiech Madonny.

- Tak.

- Gdzie? Z kim?

Eliot łagodnym gestem wezwał go do cierpliwości.

- Wszystko we właściwym czasie.

- Jestem dziadkiem! - zawołał senator. Uniósł swoją starą głowę i podziękował Bogu.

- Panie McAllister - powiedział Eliot - czy jest pan zobowiązany wykonywać moje polecenia niezależnie od tego, co powie na ten temat mój ojciec albo ktokolwiek inny?

- Jako radca prawny Fundacji jestem do tego zobowiązany.

- Dobrze. Polecam panu zatem przygotować bezzwłocznie dokumenty, uznające za moje wszystkie dzieci z obszaru okręgu Rosewater, których matki oświadczyły, że są moje, niezależnie od grupy krwi. Niech mają pełne prawa do dziedziczenia jako moi synowie i córki.

- Eliot!

- Niech od tej chwili noszą nazwisko Rosewater. Niech pan im powie, że ojciec je kocha, niezależnie od tego, co z nich wyrośnie. I niech pan im jeszcze powie... -

Eliot umilkł i uniósł raketę tenisową, jakby to była czarodziejska różdżka. - I niech

pan im powie - powtórzył - aby rosły i się mnożyły.

* Przekład Zygmunta Kubiaka